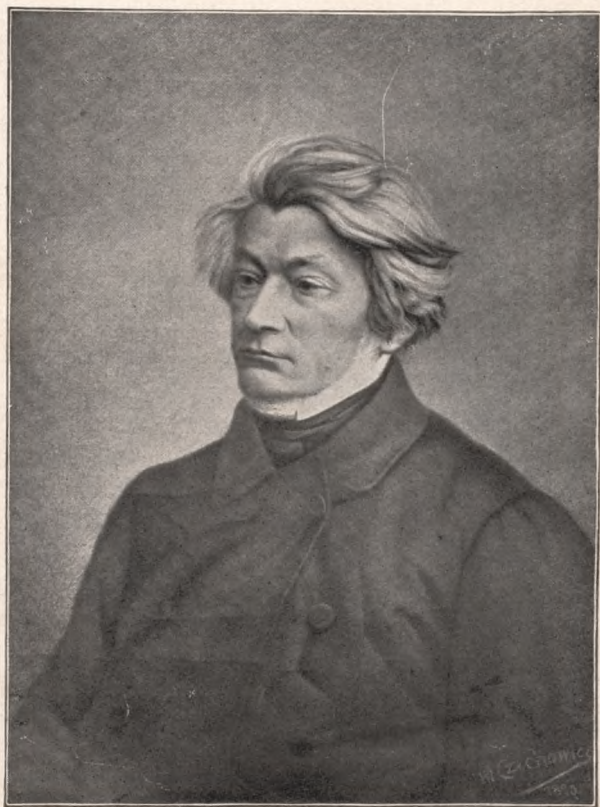




A. Mickiewicz

DZIEŁA
A. MICKIEWICZA

== TOM I. ==



MIKOŁÓW

NAKŁADEM I DRUKIEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKI.



104546 1/1

884(081)

„Zbiory Slaskie”

AKG K Mi 130 | 80 | F 16.51

OD WYDAWCY.

Kiedy nam zabrakło królów i wodzom oręż wypadł z dłoni, gdy nad ziemią ojczystą zawisła ołowiana chmura niewoli a dyplomaci z niechęcią, ledwie że nie z pogardą wspominali Polskę — na te czasy dał nam Bóg wieszczą, nieśmiertelnej pamięci Adama Mickiewicza, aby naród się dźwignął jego wielkością.

Wsławił on imię Polski w latach jej najgłębszego poniżenia szerzej, aniżeli wielkie czyny wielkich królów naszych i hetmanów, bo dzieła jego znają i uwielbiają i zachwycają się nimi narody cywilizowane całego świata. Okrył naród sławą i podniósł wysoce jego godność, bo genialny polot jego natchnienia wysunął cywilizację naszą na szczyty, gdzie królują duchy najwyższe.

Od jego słońca zaś zapłonęły światła inne. Był on ożywczym duchem nowoczesnej poezji naszej i prozy artystycznej, które są i pozostaną na wieki istotną chlubą naszą.

Był też ostoją i dźwignią ducha narodowego. Źródłem jego twórczości bowiem i sprężyną jego działania wszelakiego była przepastna i płomienna miłość, o której w natchnionej *Improwizacji* tak mówi bez przesady:

Ja kocham cały naród! objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciół, kochanek, małżonek, jak ojciec.

Tę miłością głęboką, ożywczą tchną wszystkie jego co ważniejsze utwory. Uczą one kochać przeszłość dziejową, pomimo jej win, bo z niej płynie niezłomna wiara w nieśmiertelność narodu. Męczeństwo jego jest mu nieomylnym zadatkiem chwalebnego zmartwychwstania ojczyzny: stąd płynie ożywcza pociecha i wymowne: W górę serca! Miłość ojczyzny, bezinteresowna, ofiarna, skupiająca wszystkie pragnienia w jednym przewodnim dążeniu, żeby tę ojczyznę uj-

rzeć wolną, wielką i szczęśliwą, jest podług jego przekonania jedynym ale też niewątpliwym środkiem do przyspieszenia tej chwili. Że naród nie zwątpił o lepszej przyszłości, że nie skarłał na ducha, lecz zachował te cnoty, które go obrońniły od ostatecznego upadku, że odzyskał wreszcie swoją niepodległość polityczną — to jest w wysokim, bodaj czy nie najwyższym stopniu jego zasługą.

Ogromem zasługi jego narodowej mierzy się dług wdzięczności naszej względem niego. A jak go spłacić, wskazał nam pisząc:

O gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy.
Oby je wzięły wieśniaczki do ręki,
Te księgi proste jako ich piosenki.

Nie ziściło się to życzenie za życia wieszczka w pełnej mierze ani w późniejszych latach niewoli narodowej, przeważnie z winy państw zaborczych. Dziś naród wolny nie omieszcza sobie uświadomić, co winien największemu wodzowi swemu w wiekowej walce o zdobycie tej wolności.

Nasza Spółka Wydawnicza, która już tyle najróżniejszych wydań poezyj Mickiewicza w obiegu puściła pod jarzmem obcem, uważa za swój pierwszorzędny obowiązek przyczynić się, o ile to w jej siłach, do tego, aby nie zabrakło ksiązek z dziełami wieszczka dla żadnej rodziny polskiej.

Wydajemy tym razem wszystkie utwory poetyczne Mickiewicza i powieściowe, o ile to zgodne z jego wolą. Dajemy nadto co znamiennejsze i aktualniejsze rozprawy jego literackie i artykuły polityczne. Wreszcie uważaliśmy za wskazane dać z Listów jego to wszystko, co oświeśla poglądy i charakter tego męża opatrznosciowego, który był zarazem wzorem cnót rodzinnych, towarzyskich i obywatelskich.

Podjęliśmy się tego nakładu w błogiem przeświadczeniu że przyczyni się on choć w części do ziszczenia innego życzenia wieszczka:

Ja kocham cały naród
~ Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić.

Spółka Wydawnicza K. Miarki.

ADAMA MICKIEWICZA ŻYCIE I DZIEŁA.

Urodził się w samą wigilję Bożego Narodzenia jako drugi z kolei syn ¹⁾ Mikołaja Mickiewicza i Barbary z Majewskich, którzy oboje pochodzili z drobnej szlachty i oprócz kamienicy w Nowogródku posiadali zaścianek Zaosie. Kronikarz Strykowski wywodzi Mickiewiczów wprawdzie z starożytnego rodu książęcego, herbu „Poraj“ a przydomku „Rymwid“, wszelako od kiedy ta rodzina jest znana z dokumentów, należy ona stale do szlachty zaściankowej. Świetniejszą była przeszłość Nowogródka, gdzie ojciec Adama piastował urząd adwokata sądowego i sędzi ziemskiego. Położony malowniczo nad Niemnem, był on niegdyś stolicą książąt litewskich a następnie województwa nowogródzkiego i posiadał liczne pamiątki historyczne, w szczególności też ruiny dawnego zamku, uwiecznionego przez poetę w „Grażynie“. Po rozbiorach Polski upadł ten gród sławny do rzędu miścin powiatowych i był do wsi raczej niż do miasta podobny. Tu i w Zaosiu spędził Adam lata dziecięce i chłopięce.

Wspomina o nich z lubością w wieku dojrzałym nazywając ten okres życia swojego „sielskim i anielskim“ ²⁾. Ale to też wszystko, co o jego wczesnej młodości wiemy z wyjątkiem cudownego uzdrowienia, o które potracą w wstępnych wierszach „Pana Tadeusza“ ³⁾. Nie było zresztą nic szczególnego do zapisania. Nie okazywał on bowiem w swojej młodości nadzwyczajnych przebiegów talentu ani wyjątkowych cech cha-

¹⁾ Najstarszy, Franciszek, był urzędnikiem, potem oficerem w powstaniu listopadowym, po którym, nie mogąc wrócić na Litwę, pozostał w Wielkopolsce; młodszy, Aleksander, był profesorem prawa na uniwersytecie w Kijowie i Charkowie; Jerzy zginął jako lekarz wojskowy w kampanji tureckiej; najmłodszy Antoni umarł w młodym wieku.

²⁾ W wierszu: „Polaly się lzy me“. Porównaj też wiersz: „Ach już i w rodzicielskim domu“ (patrz tom IV).

³⁾ Podobno wypadł on przez okno na ulicę.

rakteru. Nie był dzieckiem cudownem. Umysł jego rozwijał się stopniowo, podług tych samych prawideł, jak u innych dzieci, a życie płynęło równym trybem, bez znaczniejszych zaburzeń zewnętrznych i bez silniejszych wstrząśnień wewnętrznych, zwłaszcza że rodzice i służba domowa byli ludźmi umiarkowanymi, wolnymi od gwałtownych namiętności. To go uchroniło od przesadnej wrażliwości i od nadmiernego przedelikacenia nerwów i zapewniło mu równowagę umysłową, jaką rzadko który z wielkich poetów się cieszył. Matka jego, odznaczająca się głęboką wiarą i pobożnością⁴⁾ przeszczepiła te cnoty w duszę syna, czego dowodem późniejsze czyny jego i dzieła. Ojciec zaś, który wygłaszał z pamięci całe ustępy *Jerozolimy Wyzwolonej* w tłumaczeniu Piotra Kochanowskiego i podobno sam wiersze pisywał, przekazał synowi zamiłowanie do poezji. Służba wreszcie karmiła jego umysł dziecięcy, żądny „bajek“, klechdami i baśniami, które mu dostarczały materiału do jego pierwszych „Ballad i Romansów“.

Mając lat dziewięć zaczął uczęszczać do nowogrodzkiej szkoły księży dominikanów. Ale obowiązkowa nauka nie przypadła mu do smaku; wołał płatać figle a przede wszystkim czytywał namiętnie książki. Chociaż więc posiadał znakomitą pamięć, przesiedział w dwóch klasach po dwa lata. Kiedy jednak w maju 1812 r. stracił ojca, spoważniał: przykładął się pilnie do nauki i przejmował się żywo troskami domowymi matki. Dzięki tej przemianie powierzono mu dozór domowy uczni, i obowiązek ten spełniał ku zupełnemu zadowoleniu.

W półtora miesiąca po śmierci jego ojca przechodziły wojska Napoleońskie pod dowództwem brata cesarza, Hieronima Bonaparte, przez Nowogródek, a król Hieronim zamieszkał chwilowo w domu Mickiewiczów, który był najlepszy w mieście. Te pochody wywarły na Adamie niezatarte wrażenie, które miało kiedyś odżyć w „Panu Tadeuszu“ i w mesjanistycznej idei Napoleońskiej, podczas kiedy odwrót wojsk Napoleońskich z Moskwy posłużył mu do wspaniałego w swej grozie opisu ucieczki wojska krzyżackiego w „Konradzie Wallenrodzie“. Na razie jednak szły nauki spokojnie dalej, dopóki nie ukończył szkoły nowogrodzkiej. Opuścił ją w lipcu

⁴⁾ Świadczy o tem poeta w wstępnych wierszach „Pana Tadeusza“, gdzie mówi o swoim cudownem uleczeniu, i w Prologu do III części „Dziadów“.

1815 r. z świadectwem, w którem zapisano: „zdatność do nauki dobra, postępek dobry, obyczaje dobre“.

Z tem świadectwem udał się Mickiewicz jeszcze tego samego roku na studia uniwersyteckie do Wilna, gdzie został przyjęty jako kandydat stanu nauczycielskiego. Zapewniało mu to przyzwoite utrzymanie, ale na odwrót nakładało obowiązki urzędowania nauczycielskiego przez kilka lat w jakim zakładzie wychowawczym. Zapisawszy się początkowo na wydział matematyczno-fizyczny, przeszedł po pół roku na kurs literatury i historii, idąc za wrodzonym popędem i pociągnięty nadto wziętością, jaką się u młodzieży akademickiej cieszyli profesorowie wykładający na tym wydziale.

Uniwersytet wileński, wówczas jedyny, gdzie wykładano po polsku, stał dzięki zabiegom swego kuratora, księcia Adama Czartoryskiego, pod względem naukowym na takim poziomie, że mógł się równać z poważanymi uniwersytetami zagranicznymi. Posiadał bowiem profesorów naogół znakomitych, a pomiędzy nimi Jana i Jędrzeja Śniadeckich, mężów europejskiej sławy. Ulubieńcami młodzieży byli atoli: 1. Ernest Grodek, znakomity znawca języków starożytnych i piśmiennictwa klasycznego, 2. Leon Borowski, nauczyciel wymowy i poezji, obeznany dokładnie z literaturą polską, francuską, włoską, hiszpańską, niemiecką i angielską, 3. wreszcie Joachim Lelewel, historyk posiadający już wtenczas, choć jeszcze młody, rozległą wiedzę i bystry zmysł krytyczny. Od innych nauczycieli skorzystał Mickiewicz ogromnie dużo dla swojego ogólnego wykształcenia; ci trzej położyli podwaliny pod jego twórczość poetycką. Pierwszemu zawdzięcza on obok nadzwyczajnej biegłości w języku łacińskim⁵⁾ dokładną znajomość piśmiennictwa klasycznego; drugiemu szerokie wiadomości z literatury polskiej i z literatur obcych oraz głębsze wnikięcie w istotę i formy piękna i umiejętność jasnego, ścisłego wypowiadania myśli; trzeci dał mu jasny, szeroki pogląd na dzieje świata i nauczył go oceniać poszczególne zjawiska rzeczowo, niezależnie od osobistych upodobań czy uprzedzeń, a co za tem idzie przedstawiać ludzi i wypadki bezstronnie, przedmiotowo.

W innym kierunku zaś wpłynęły nań bardzo dodatnio stosunki koleżeńskie. Życie umysłowe w mieście doszło wtedy

⁵⁾ Mógł on po latach oblać profesurę literatury łacińskiej w akademii w Lausanne i układać wiersze, godne Horacjusza, największego poety łacińskiego.

do niebywałego rozwoju. Wychodziło tam kilka pism,⁶⁾ istniały różne towarzystwa, w teatrze gospodarzył Wojciech Bogusławski, zasłużony twórca teatru narodowego. Oddziaływało to oczywiście podniecająco na młodzież akademicką, budząc w niej ducha narodowego i popychając ją do współpracy na niwie narodowej. Żeby te zabiegi skupić i pokierować niemi celowo, założono 1 października 1817 r. towarzystwo filomatów, czyli przyjaciół nauki, którego organizatorem był Tomasz Zan, przewodniczącym Józef Jeżowski a duszą Mickiewicz. Postawili oni sobie jako cel: przez krzewienie oświaty hodować cnoty obywatelskie, w szczególności przenoszenie dobra społecznego ponad interes prywatny, osobisty, a przyjmowali do swego grona tylko najidealniejszych kolegów o wypróbowanym charakterze,⁷⁾ do których należeli m. i.: Jan Czczot i Franciszek Malewski, Onufry Pietraszkiewicz i Teodor Łoziński. Kiedy zaś okazała się potrzeba rozszerzenia działalności filomackiej, założyli w kwietniu 1919 r. towarzystwo filaretów, czyli miłośników cnoty i objęli nad niem kierownictwo. Ustawy związkowe, przewidujące nadto niesienie kolegom pomocy materialnej i naukowej, zostały zatwierdzone przez rektora uniwersytetu; pomimo to nie występowano jawnie, żeby nie wywoływać podejrzeń rządu rosyjskiego. Dopiero później założono towarzystwo promienistych, niby dla urządzania wspólnych godziwych zabaw, z którym się nie tajono. Niestety rząd rosyjski nie pozwolił mu długo istnieć.

Te stosunki towarzyskie zadzierzgnęły się w węzły najserdeczniejszej przyjaźni, która umilała Mickiewiczowi lata uniwersyteckie, a w życiu późniejszym najprzyjemniejszych dostarczała mu wspomnień i niejedną ciężką ośładzała chwilę. W tej szlachetnej pracy związkowej uzacniał się też jego charakter, wzmagał się duch poświęcenia, rozwijały się dążenia społeczne i uczucia narodowe potężniały. W otoczeniu przyjaciół wreszcie, a poniekąd i pod ich wpływem, rozbudził się

⁶⁾ Dziennik Wileński, organ profesorów, Tygodnik Wileński, organ młodzieży, Pamiętnik Magnetyczny, zaznajamiający publiczność ze skutkami magnetyzmu, Wiadomości Brukowe, organ Towarzystwa Szubrawców, którego celem było uzdrowienie społeczeństwa przez ośmieszanie ujemnych przejawów życiowych. Towarzystwo to, do którego należały najpoważniejsze osobistości, zostało rozwiązane ukazem rządowym roku 1822.

⁷⁾ Powody tego ścisłego wyboru podaje poeta w wierszu: „Już się z podgodych niebios“.

jego duch poetycki. Powiewem zaś, który go rozdmuchał na dobre, była miłość do panny Maryli Wereszczakównej, którą poznał w r. 1818 podczas wakacyj w Tuhanowiczach, gdzie mieszkała z owdowiałą już matką i braćmi. Nie odznaczała się ona nadzwyczajną urodą, ale, należąc do rodziny dość zamożnej, posiadała wykształcenie i ogładę towarzyską, które ją wyróżniały od znanych mu dotychczas panien, przede wszystkim zaś wywierały jej piękna dusza i marzycielskie poetyckie usposobienie niepokonany urok na młodego filomata. I ona polubiła go nawzajem. Nie doszło coprawda narazie do wyznań, a może ani nawet do głębszych uczuć miłosnych, wszelako, jak Mickiewicz zwierzył się do swego przyjaciela, Aleksandra Chodźki, wywarła Maryla na jego twórczość poetycką wpływ bardzo poważny.⁹⁾

Nastrojom poetycznym, w które go szlachetne uczucia przyjaźni i miłości wprawiały, dawał on wyraz tem skwapliwiej, że jedynie na tej drodze mógł zdobyć znaczenie i sławę, któraby wyrównała przedział towarzyski między nim, ubogim studentem, a Marylą. Tej różnicy i wpływających z niej dla ich miłości przeszkód był sobie Mickiewicz świadom. Dowodzi tego choćby ogłoszona przezeń w roku 1819 powiastka o księżniczce Żywiłi, w której się kocha rycerz Poraj; jest to niedwuznaczne przeciwstawienie stosunku Maryli do Mickiewicza, herbu „Poraj“. Także następna powiastka jego *Karylla* przedstawia smutne dzieje miłości panny bogatej i ubogiego pasterza.

Utwory jego z czasów uniwersyteckich trzymają się jeszcze utartych wzorów poezji, zwanej klasyczną. Nie dopuszczała ona do głosu ani żywszych uczuć ani śmielszych połówków wyobraźni, lecz jedynie to, co dostrzegają zmysły i rozum dyktuje. Nie było w niej miejsca dla wierzeń i podań ludowych, natomiast uchodziły wzmianki z mitologii jako ozdoba odnośnych utworów. Nie dozwalała na wyrażenia gminne, lecz żądała stylu wykwintnego i domagała się wierszowania podług pewnych ciasnych przepisów, na wzór poezji starożytnej. Otóż tych prawideł przestrzega Mickiewicz w swoich utworach ówczesnych i takie poglądy na poezję rozwija

⁹⁾ Dnia pewnego, powiada Mickiewicz, Maria, zasłuchawszy się w ciekawej powieści rybaka, zwróciła się do mnie i rzekła: „Oto mi prawdziwa poezja, napisz pan coś podchnego!“ Te słowa przeniknęły mię do głębi, i od tego czasu datuje poetyczny mój kierunek.

w swoich „Uwagach nad Jagiellonidą”⁹⁾. Tymczasem był wtedy już i u nas znany nowy kierunek poetycki, zwany romantycznym, zapoczątkowany w Niemczech, gdzie był już wydał plon nader bogaty. Wnosił on do poezji orzeźwiające prądy, otwierając do niej naościę drzwi dla uczucia i wyobraźni, pozwalając czerpać pomysły z wierzeń i pieśni gminnych, dając szeroką swobodę w wierszowaniu i doborze wyrażen. Na poezję romantyczną zwracał uwagę studentów profesor Borowski w Wilnie; szersze warstwy inteligencji zaznajomiły się z nią przez francuską książkę o Niemczech pani de Stael, znanej pod pseudonimem „George Sand”. W Warszawie ogłosił Brodziński 1818 r. rozprawę o klasyczności i romantyczności, a czasopisma nasze przynosiły polskie tłumaczenia niemieckich utworów romantycznych. Prawda, że profesor Jan Śniadecki zwalczał te nowe prądy w literaturze z krańcową bezwzględnością, wszelako nie był on zawodowym literatem, i zdanie jego nie było zdolne przytłumić powiewu romantycznego, któremu ulegały coraz liczniejsze zastępy młodzieży. Mickiewicz skłonił się ku romantyzmowi wyraźnie dopiero po opuszczeniu Wilna.

Ukończywszy w r. 1819 swoje studia został on powołany na profesora szkoły powiatowej w uroczu, nad ujściem Wilji do Niemna, położonem Kownie. Niestety, piękności przyrody były w jego nowem położeniu jedynym dodatnim czynnikiem. Uczniowie tępi i przyciśnieni ubóstwem; nauczyciele gnuśni, wypełniający swoje obowiązki ospale, niby przymusową pańszczyznę; brak programowego rozkładu nauk i odpowiednich podręczników — oto warunki, w jakich mu przyszło wykonywać swój zawód. Udało mu się wprawdzie z czasem rozbudzić zagwożdżone umysły uczni i zdobyć uznanie przełożonej władzy szkolnej; wszelako te skutki trzeba było zbyt drogo okupywać nadmierną pracą ze szkodą zdrowia, na którym zapadał coraz poważniej. Nic dziwnego, że nie mógł się przywiązać do tej szkoły, że się owszem do niej zniechęcał.

Z nowymi kolegami nie łączyły go żadne węzły ideowe ani serdeczne, a poza nimi nie było dlań w mieście towarzystwa oprócz domu lekarza miejscowego, którego żona dażyła go życzliwą przyjaźnią i przejściowo nawet pewien urok

⁹⁾ Jagiellonida Tomaszewskiego wyszła drukiem 1818 roku. Z uwag Mickiewicza o tym utworze wynika, że znał on wtedy już nieomal wszystkie arcydzieła epickie świata.

nań wywierała. Ale i tu nie znalazł on zrozumienia ani należytego oddźwięku dla swoich filomackich ideałów. Czuł się samotnym. Żył w Kownie, ale duch jego obcował w gronie dawnych przyjaciół wileńskich, z którymi wymieniał częste listy i jak najczęściej starał się widywać. Wracał myślą do Tuhanowicz, do Maryli, i miłość ich, zawsze idealna i niewinna, stawała się coraz głębszą i płomienniejszą. W tych warunkach wzmaga się jego wrażliwość uczuciowa a rozczytywanie się w poetach niemieckich podsyca jego wyobraźnię. Na dobitkę spadają nań w krótkich przerwach ciosy, jeden boleśniejszy od drugiego.

We wrześniu 1820 r. zachorował w Wilnie podczas wakacyj i nie mógł stanąć na termin oznaczony w szkole, za co otrzymał od przełożonej władzy niesłusznie surowe upomnienie. Odczuł je tem więcej, że on właśnie poświęcał się szkole nad miarę a na odwrót doznawał od zwierzchności różnych utrudnień. W miesiąc później odumiera go matka. Jak głęboką żałobą ten zgon go okrył, świadczy wymownie list pisany po pięciu miesiącach do jednego z przyjaciół:¹⁰⁾ „Matka, było to i moje udręczenie największe i największa pociecha. Nie mogłem jej nic pomóc, alem się nadzieją cieszył, że kiedyś może pomyślny los mój i jej będzie ulgą, będzie szczęściem. Sny te uleciały z dymem! Zostałem jeden. Nic mnie już tak bardzo nie wiąże. Braciom cokolwiek pomocy — zresztą sam jeden“. A kiedy te słowa pisał, krwawiła już świeża rana serdeczna, najdotkliwsza ze wszystkich. Dnia 2 lutego 1821 r. wyszła Maryla, ulegając woli rodziny, za bogatego obywatela Wawrzyńca Puttkamera, pomimo że kochała Mickiewicza całą swoją piękną duszą a on ją nawzajem. Ból serdeczny targnął silnie i nim i nią i trawił ich dusze przez długie lata, a choć się z czasem za troskliwym staraniem przyjaciół wileńskich zbliznił, miłość ich pozostała żywą w swej anielskiej piękności, nie zamacając spokojnego pożycia pp. Puttkamerów, w których domu, tak samo jak w rodzinie Wereszczaków, zawsze wysoki szacunek chowano dla Mickiewicza.

Pod wpływem tych doświadczeń osobistych dojrzewał charakter poety, subtelniała przenikliwość jego w odgadywaniu tajników psychicznych i w rozwiązywaniu zawikłań życiowych. Duch jego, nieściągany powodzeniem światowym

¹⁰⁾ List do Pietraszkiewicza z dnia 9 lutego 1821 roku.

do tego co poziome i znikome, nabierał coraz to swobodniejszego polotu nad poziomy i obejmował sprawy ludzkie z coraz to górnieszego stanowiska. Żyjąc zaś samotnie znajdował w Kownie poza zajęciami szkolnemi jeszcze dużo czasu na kształcenie siebie i korzystał zeń skwapliwie. Studjował więc pilnie dzieła odnoszące się do historii i literatury, śledził uważnie wszelkie przejawy na polu literackiem, nauczył się po niemiecku i angielsku, aby móc poznać utwory literackie tych dwóch narodów w ich własnym języku, i unosił się szczególnie nad Byronem a jeszcze więcej nad Schillerem. I pióro jego nie próżnowało; owszem, pisał w Kownie nawet bardzo dużo. Pracował mianowicie w dalszym ciągu nad utworami podjętymi jeszcze w Wilnie, jak np. nad Woltera Joanną d'Arc, zwaną przezeń żartobliwie „Darczanką“, nad Demostenem i nad innemi dramatami; dokonał tłumaczeń wielu utworów, zarówno klasycznych jak romantycznych. Pisywał wreszcie rzeczy oryginalne. Większa część tych jego prac nie ukazała się nigdy drukiem, jedne dlatego, że obrażałyby uczucia katolików, jak np. utwór heroiczno-komiczny pod tytułem *Mieszko, Książę Nowogródka*, pisany jeszcze za czasów studenckich a niezawodnie też „Darczanka“; inne dlatego, że poeta upatrywał w nich zanadto wielkie niedoskonałości artystyczne, jak np. liczne próby dramatyczne.¹¹⁾ Inne wreszcie doczekały się wykończenia dopiero w latach późniejszych. W czasie swojej kowieńskiej profesury wydał Mickiewicz tylko dwa tomiki poezyj.

Pierwszy ukazał się w Wilnie r. 1822,¹²⁾ i zawierał siedemnaście niewielkich poemacików, a mianowicie dziesięć ballad,¹³⁾ trzy romanse czyli raczej romance¹⁴⁾ i czworo wierszy różnej treści.¹⁵⁾ Miały do niego wejść jeszcze *Oda do*

¹¹⁾ Dnia 28 kwietnia 1828 pisze Adam do Odyńca: Gdybyś jeszcze dziesięć dramatów spalił, będziesz miał czas dwadzieście dobrych napisać. Ja kilka ich całych w ogień rzuciłem, kilka w połowie dokonanych...

¹²⁾ Ten tom miał takie przypisanie: Janowi Czeczottowi, Tomaszowi Zanowi, Józefowi Jeżowskiemu i Franciszkowi Malewskiemu, przyjaciółom moim, na pamiątkę szczęśliwych chwil młodości, którą z nimi przeżyłem — poświęcam.

¹³⁾ *Romantyczność, Świtez, Świtezianka, Rybka, Powrót taty, To lubię, Pani Twardowska, Tukaj, Lilje* oraz *Rękawiczka* (tłumaczenie z niemieckiego).

¹⁴⁾ *Pierwiosnek, Kurhanek Maryli, Dudarz.*

¹⁵⁾ *Hymn na dzień Zwiastowania N. M. P., Żeglarz, Warcaby, Przypomnienie (sonet).*

młodości i wiersz Do malarza;¹⁶⁾ ten trzeba było wycofać jako zanedbawczo jawnie odslaniający miłość poety do Maryli, tamten przez wzgląd na cenzurę.¹⁷⁾ Zjawienie się tego tomika było w naszej literaturze zdarzeniem przełomowym.

Poezja romantyczna miała u nas coprawda licznych miłośników, ale nie posiadała dotychczas znamienitszych przedstawicieli poetów. Oto występuje Mickiewicz i zapowiada śmiało z przekonującą wiarą zwycięski pochód romantyzmu. Uzasadnia w Przemowie¹⁸⁾ prawa obywatelskie romantyzmu w nowoczesnej literaturze, stwierdza w wysuniętej na czoło tego zbioru romancy,¹⁹⁾ że na poezję romantyczną u nas wprowadzie jeszcze za wcześnie, bo jeszcze dymy mrozy bezdusznego klasycyzmu i pleśń przestarzałych przesądów jeszcze nie znikła, ale wie, że te pierwiosniki romantyczne są zapowiedzią triumfu wiosny nad zimą. W następującej balladzie Romantyczność rzuca już wręcz rękawicę klasykom przedstawionym w osobie Starca²⁰⁾ oburzając się na „durzenie ludzi i pokazywanie duchów“, wypowiadając swe przekonanie, że duch na pół obłąkanej z bólu Karusi — przedstawicielki romantyzmu — dostrzega to, czego zmysły nie dostrzegają; oświadcza, że czucie i wiara przemawiają doń silniej, niż mędrca szkiełko i oko. I chcąc tego niejako dowieść, czerpie treść do ballad swoich, w tym tomie umieszczonych, z klechd i pieśni ludowych przenoszących nas w fantastyczny świat czarów i duchów,²¹⁾ co nie jest ani konieczną ani dodatnią cechą ballad i czego w późniejszych tego rodzaju utworach zaniechał.

I co do formy oznaczał ten występ Mickiewicza niesłychany przewrót. Język jego jest, w przeciwieństwie do wymuszonego stylu ówczesnych klasyków, prosty, szczery, rodzimy. Poeta daje dowody, że umie pisać poprawnie, wytwornie, niegorzej od koryfeuszów klasycyzmu, ale nie wstydzi się też zwrotów swobodniejszych i wyrażań prowincjonalnych,

¹⁶⁾ Do Krzysztofa von Damel, który zrobił dla poety miniaturę Maryli.

¹⁷⁾ Oda do młodości obiegła w licznych odpisach, była znana szerzej publiczności już przed wydrukowaniem.

¹⁸⁾ O poezji romantycznej — patrz tom V.

¹⁹⁾ Pierwiosnek — mający przedstawiać poezję romantyczną.

²⁰⁾ W osobie starca ma poeta na myśli Jana Śniadeckiego, który w Dzienniku Wileńskim w kwietniu 1919 r. wystąpił gwałtownie przeciw romantyzmowi.

²¹⁾ Z wyjątkiem ballad: Powrót taty i Rękawiczka.

owszem wsuwa je niekiedy z rozmysłem dla lepszego uwydatnienia zamierzonego efektu. Nie krępuje on się też małodusznymi prawidłami metrycznymi. Tworzy najróżniejsze odmiany wierszów i zmienia je nawet w jednym poemacie, nieraz kilkakrotnie. Tak np., żeby uwydatnić w *Liljach* rozterkę sumienia, wprowadza rozmyślnie rozdzwięk rytmiczny, zastępując wiersz siedmiozłóskowy przejściowo ósmio- a nawet dziewięciozłóskowym.²²⁾ W *Hymnie na Zwiastowanie* N. M. P. mamy całą odmianę wierszy od 13-złóskowego do 3-złóskowego, co wysoce podnosi piękności muzyczne *Hymnu*. Wogóle służy Mickiewiczowi forma — wierszowanie i słowa — jedynie na to, żeby wiernie oddać uczucie czy myśl poety i żeby uwypuklić ich momenta charakterystyczne. Nie zaniedbuje formy, owszem zależy mu na jej doskonałości, ale nagina ją podług swojej woli artystycznej do chwilowego pędu natchnienia, do jego siły i nastroju.

A jaka różnorodność pomysłów poetyckich w tych utworach! W niezrównanym w swojej prostocie i naiwności *Powrocie taty* żywa, dziecięca wiara w skuteczność modlitwy — w *Hymnie na Zwiastowanie* N. M. P. prawie że zachwycenie duszy chrześcijańskiej i artystycznej; w *Tukaju*, na tle wiernie z okolic Zaosia przeniesionego krajobrazu studjum na temat przyjaźni — w *Odzie do młodości* niejako jasnowiedzenie cudu odrodzenia się ludzkości, którego dokona młodość ożywiona wszechludzką miłością; w tchnących grozą *Liljach* zbrodnicza żona ścigana wyrzutami sumienia — w humorem zaprawionej *Pani Twardowskiej* żona jedzą postrachem djabła. To lubię, *Świtezianka*, *Rybka*: w każdej z tych ballad wysunięty inny moment etyczny i odmienny koloryt krajobrazu; w *Pierwiosnku* a szczególnie w *Romantyczności* artystyczne przedstawienie zagadnień literackich — w *Kurhanku Maryli*, w którym poeta najdoskonalej oddał ton ludowy, rozlany łagodny smutek — w uscenizowanym dramatycznie *Dudarzu* odtworzony pod osłoną „myśli z pieśni gminnej“ rzewny smutek poety — w *Żeglarzu* harde borykanie się jego z miotającymi nim sprzecznymi uczuciami po doznanym zawodzie miłosnym, które go przywodzą prawie do rozpacz i myśli samobójczych, ale ostatecznie ustępują świadomości swoich walorów duchowych. Ostatnie wiersze

²²⁾ Na stronie 42 od słów „Męża zabójczyni, żona“ aż do „Zmrok zapada“.

tego poematu świadczą, że poeta doszedł do przekonania o swoim wyjątkowym wyposażeniu duchowym.

Rzecz oczywista, że obóz klasyków, który miał za sobą przeważnie starsze pokolenie inteligencji, wychowanców szkoły Stanisławowskiej, był do żywa oburzony tym występek młodego nowatora. Wśród młodzieży natomiast znalazł on licznych wielbicieli i naśladowców. Zaostrza się więc walka między klasykami i romantykami, zwłaszcza w uczelniach i czasopismach warszawskich, gdyż w Warszawie była siedziba najpoważniejszych przedstawicieli dawnej szkoły. Byli między nimi mężowie rozważniejsi, którzy, dostrzegając niedoskonałości niektórych pierwocin poetyckich Mickiewicza, poznali się jednak na jego niezwykłym talencie i czekali cierpliwie jego dalszego rozwoju. Inni zwalczali go w obłudnym zacietrzewieniu nie tyle rzeczowo jak złośliwie. On zaś nie odzywa się na owe zaczepki, przyjmuje je prawie że z uśmiechem do wiadomości, bo wie, że ten nowy kierunek zdobędzie z czasem pełne prawa obywatelskie w literaturze narodowej.

W rzeczy samej odniósł on już tem swoim wydaniem skutek niebywały. Rozeszło się ono w krótkim czasie tak, że trzeba było drukować drugi nakład bez wiedzy cenzury, którejby to niezwykle powodzenie było podejrzanem. A „najwięcej kupowali służący i pokojowe“, opowiadał Mickiewicz po latach Aleksandrowi Chodźce.

Otóż poezja jego przemówiła do przekonania ogółu. I to jest jej największą zaletą, to jej zwycięstwem nad poezją klasyczną. Ta była dla najwyższej klasy społecznej — on pisał dla wszystkich i był od wszystkich zrozumiany.

W r. 1823 wyszedł w Wilnie drugi tomik jego poezyj, zawierający *Grażynę* oraz *Dziadów* część II i IV.

Kto *Grażynę* czyta w tem samem tempie, jak np. ballady, nie jest nią zachwycony. Z osnowy tego poematu wynika bowiem konieczność załatwienia wszystkiego w największym pośpiechu, zanimby się Litawor nie zbudził. Skutkiem tego mamy tu niezwykłą zwartość akcji, nadmierną treściwość w układzie tego utworu, co jest jego wadą. To skupienie treści, za czem idzie i zwartość wiersza „sprawia, że uwaga czytelnika z wyteżeniem dąży do końca nie mając czasu zatrzymywać się na prześlicznych ustępach“, jak słusznie podnosi prof. Kallenbach. Trzeba ją czytać po kilkakroć

powoli i uważnie, a za każdym razem będą się przed nami odsłaniały coraz to nowe piękności jej stylu, pełnego staropolskiej jędrności i siły, przebogatego w śmiałe przenośnie i świetne obrazy. „Twardy jest styl tej powieści, jak żelazna zbroja, chropowaty jak chrząst tej zbroi, kiedy nią silnie potrząsają ramiona, ostry jak na starych obrazach fizjonomje rycerzy, a tak dziki i malarski, jak były dzikie i leśne serca mężów pogańskiej jeszcze Litwy i pancernych mnichów, co ją chrzcili i mordowali”.²³⁾ Romantyczny nastrój tego utworu podnosi się jeszcze przez tajemniczy urok nocy, utrzymany po mistrzowsku przez całą powieść i utrzymujący wszystko w tajemniczym półmroku. Poza tem panuje tu epicki spokój i powaga epicka a przewodzi cel patriotyczny — zachęta do poświęcenia się za ojczyznę.

Dziady były jako dramat fantastyczny zjawiskiem zupełnie nowem w naszej literaturze. Tytułu i oprawy dla tego utworu dostarczył starolitewski obrzęd obchodzony na cześć zmarłych przodków; treścią zaś są dzieje nieszczęśliwej miłości poety.²⁴⁾ Ten dramat był projektowany w czterech częściach, z których wtedy wydano tylko drugą i czwartą, podczas kiedy pierwszą znaleziono po śmierci poety w rękopisie a po trzeciej niema śladu. Tak zwana III część Dziadów wydana po dziewięciu latach w Paryżu nie wchodziła w pierwotny plan Dziadów wileńskich i została później dopiero przez autora do nich przyczepiona.

Oto w I części mamy szereg obrazków niespojonych z sobą w organiczną całość, które miały stanowić ekspozycję dramatu. Część II przedstawia obchód „Dziadów” — wywoływanie duchów. Jako ostatni z nich zjawia się duch Zosi, która „żyła na świecie ale nie dla świata” nie przywiązuje się do nikogo sercem, a po niej występuje widmo młodzieńca z czerwoną pręgą, które milczy uporczywie, nie znika na zaklęcie guślarza, tylko odchodzi za pasterką. W IV części zjawia się to samo widmo w wieczór „Dziadów” u księdza, opiekuna

²³⁾ Maurycy Mochnacki.

²⁴⁾ Dziady łączą w sobie dwa pierwiastki: sentymentalną miłość, którą należy odnieść do Goethego Wertera i J. Rousseau'a Nowej Heloizy oraz formę dramatu fantastycznego, którą był nadał Goethe Faustowi a Byron Manfredowi. Ale te dzieła obce nie służyły jako wzory w tworzeniu Dziadów, lecz były tylko pobudką do ich napisania.

sierót, swojego byłego nauczyciela, któremu opowiada dzieje swojej nieszczęśliwej miłości.

Działy są, jak rzeczone, tylko fragmentami, wykazują niedomagania w budowie i inne niedoskonałości; najlepiej był ich sobie świadom sam ich twórca, który siebie najsurowiej krytykował, i gdyby nie nagięła umowa z nakładcą, nie byłby ich wydał ku wielkiej szkodzie literatury naszej. Tu bowiem „odkąd poezja nasza istnieje, po raz pierwszy prawdziwe, głębokie, namiętne uczucie miłości, zawiedzione w swych pragnieniach przyoblekło się w wspaniałą szatę słowa, po raz pierwszy przemówiło głośno, potężnie“. A w tej miłości niema tu ani zmysłowości ani sztucznej galanterji ani mdłej sentymentalności, lecz jest wysoki idealizm, poślubiający tylko duszę kochanki, ale zarazem jest też prawdziwe uczucie ludzkie, które nie pozwala rozplywać się w marzeniach, lecz budzi pragnienia²⁵⁾. Miłość ta jest tu przedstawiona we wszystkich odcieniach, od najsubtelniejszych drgnień serca aż do najgwałtowniejszych wybuchów namiętności. A potęga bólu z powodu doznanego zawodu jest tu tak ogromna i tak bezlitośnie trawiąca, że strawił on w nim ideały ojczyzny, nauki, sławy, a życie stało się nieznosnym ciężarem. Wszystkie poruszenia serca zaś, od najdelikatniejszych aż do najgwałtowniejszych są oddane z niedoścignioną wyrazistością. Zaiste jest to poemat krwią serdeczną wyśpiewany, który się, dzięki ujawnionej w nim potęgze uczucia i mistrzowskiej formie, wysunął na szczyt ówczesnej literatury, pozostawiając daleko poza sobą *Wertera* Goethego i *Rousseau'a* *Heloizę*.

Oto są najgłówniejsze przejawy twórczości Mickiewicza w kraju.

Rok szkolny 1821—1822 spędził on w Wilnie, aby uzyskać dyplom magistra i żeby się zająć wydaniem swoich poezyj. Po upływie tego czasu musiał jednak wrócić do Kowna i wszelkie zabiegi o zmianę posady lub o pozwolenie na wyjazd za granicę zostały bez skutku, choć dalszy pobyt w Kownie był dlań zabójczy. Oto co pisze o nim Czeczot: „Uczyć dalej żadną miarą nie może, do ostatka straci zdrowie; mówi że go lekcje na cały dzień paraliżują. Lubo zdaje się być teraz spokojniejszym i jest nawet w istocie, jednak zawsze nudny, często bezsenny, ciągle tylko fajką i kawą żyje. Każdy widzi,

²⁵⁾ Porównaj wstęp Piotra Chmielowskiego do wydania warszawskiego z roku 1888.

sam pragnie, doktorowie radzą, że potrzebny mu koniecznie wojaż, ale jakż ma być jego wojaż? jakiegoż on pragnie? Czy się nie uczyć? broń Boże, chodzić a chodzić. Dziwna to jego będzie pielgrzymka! Ni to jemu razem pieniędzy dać można, ni pewnym być, że gdzieś nie okradną, albo sam od razu straci a potem zostanie w ciężkiej potrzebie... On zdaje się potrzebować ciągle nad nim czuwającego anioła stróża...²⁶⁾ Co się z nim dzieje? Zawsze w stanie nienaturalnym; zdrowie najgorzej mu służy; fajką, niespaniem i trudami ciężkimi obowiązków dobija siebie, a nie stara się wyjść z letargu, imaginacji nie ostudzi, bo z tem mu dobrze; ale za moment boskiego uniesienia, tego to wykradzenia się na chwilkę za ziemską granicę, odbiera potem ciężkie na ziemi męki. Perswazuje na nic się nie zdadzą... Co będzie, czas rozwiąże"...²⁷⁾ I w rzeczy samej czas niedaleki przyniósł rozwiązanie — jakiego nikt nie przypuszczał.

Niedługo po tym liście rozpoczęły się śledztwa w sprawie związków akademickich, a w październiku nastąpiły pierwsze aresztowania. Mickiewicza uwięziono w Kownie 23 października i osadzono wraz z kilkunastu innymi związkowcami w klasztorze bazylianów, pod Ostrą Bramą w Wilnie. Pod koniec grudnia pozwalala przekupiona straż schodzić się więźniom w celi Mickiewicza, co tenże upamiętnił w swoich *Dziadach* drezdeńskich. Tam też obchodzono Boże Narodzenie i stamtąd wyszedł wiersz jego *Rok nowy*, jedyny napisany w więzieniu i przesłany w odpowiedzi Maryli na jej serdeczne pożegnanie. Tam dowiedzieli się nasi filomaci o strasznych cierpieniach Zana i Suzina, więzionych w innych zakładach i o wywiezieniu na Sybir małych studentów. Po czterech miesiącach więzienia śledczego wypuszczono wszystkich prócz Zana, Czeczota i Suzina, którzy wzięli całą odpowiedzialność na siebie z aresztu, nakazując czekać w Wilnie na ostateczny wyrok.

R. 1824 pozwolił zarząd uniwersytecki Adamowi wyjechać do Kowna i Połagi dla uregulowania niezafatwionych wskutek nagłego uwięzienia spraw i dla poratowania zdrowia. W sierpniu zapadł wyrok skazujący Zana na rok twierdzy i wysłanie w dalekie od Polski gubernje, Czeczota i Suzina na pół roku fortecy i także wysłanie w głąb Rosji, Mickiewicza zaś

²⁶⁾ Czeczot do Franciszka Malewskiego dnia 21 stycznia 1823 roku.

²⁷⁾ Czeczot do Malewskiego dnia 30 maja 1823 roku.

i szesnastu innych związkowców na wywiezienie do Rosji i do rozporządzenia ministra oświaty, który miał ich użyć jako nauczycieli. Mickiewicz otrzymał od Nowosilcowa poświadczenie, że mógłby wykładać literaturę starożytną i estetykę po niemiecku, francusku, rosyjsku i po łacinie.

Dnia 24 października miał nastąpić wyjazd. Noc poprzednia została przeznaczona na pożegnanie kolegów. Jeden z nich, Domeyko tak ją opisuje²⁸⁾: „Nocy tej nigdy nie zapomnę. Zbrali się prawie wszyscy filomaci i wielu filaretów, nawet niektórzy z nowych uczniów uniwersytetu²⁹⁾. Tej nocy wszyscy byli raczej weseli, niż smutni; nie pozwalano sobie nawet ubolewać ani przypominać, co się ucierpiało. Odśpiewaliśmy wszystkie nasze pieśni, smutne i wesołe, filareckie i majowe, poczawszy od *Hej użyjmy żywota a kończąc na cichem skupieniu*. Dzwonek wzywający na pierwszą mszę w „Ostrej Bramie“ położył koniec biesiadzie. Adam słuchał mszy św. na galerji, klęcząc z twarzą ukrytą w dłoniach. Twarz potem była blada, ale najzupełniej spokojna. Wracając mówił do nas idących razem o obowiązku poddania się wyrokowi Opatrzności, która nigdy nie opuszcza nikogo, kto w niej z wiarą ufność położył“.

Opuszczając Wilno i Litwę nie przypuszczał nasz poeta, że tam już nigdy nie wróci.

Droga wiodła najprzód do Petersburga, dokąd przybył z Jeżowskim i Malewskim na początku listopada, właśnie na czas straszhwej powodzi. Dzięki wpływowej protekcji zostali wszyscy trzej na swoje życzenie przeznaczeni do Odesy i wyruszyli tamże na początku lutego. Po drodze zatrzymali się cokolwiek dłużej w Kijowie, gdzie Mickiewicz poznał dekabrystów Bestużewa i Rylejewa³⁰⁾, w Steblewie u pp. Hołowińskich i stanęli w Odesie w marcu 1825 r. Zaledwie jednak dotarli do celu, otrzymali rozkaz, aby sobie obrali inną miejscowość poza obrębem gubernij południowych. Zdecydowali się tedy na Moskwę, ale na odpowiedź przychylną przyszło im czekać ośm miesięcy. Mickiewicz skorzystał z tego czasu, wolnego od wszelkich zajęć obowiązkowych, żeby się nauczyć po włosku, poza tem oddał się życiu światowemu. Podwójna aureola, poety i wygnańca-patrioty sprawiła, że tamtejsze to-

²⁸⁾ Wspomnienia z przeszłości.

²⁹⁾ Był między nimi też Odynieć.

³⁰⁾ Dekabryści — spiskowcy rosyjscy, którzy w grudniu 1825 r. chcieli przeprowadzić zmianę ustroju rządowego.

warzystwo, szczególnie szlachta z województw kresowych, której tam wówczas dużo bawiło, cislęli się do niego i wyrwali go sobie nawzajem. Były i panie, które się ubiegały o panowanie nad sercem Gustawa z IV części *Dziadów*, mianowicie p. Karolina Sobańska i Joanna Zaleska. W towarzystwie pierwszej i jej brata Henryka Rzewuskiego, późniejszego autora świetnych powieści, podjął on dwumiesięczną wycieczkę do Akiermanu i na Krym, lecz ostatecznie zerwał z nią stosunki, a wyrazem tego rozdzwiku są wiersze *Pożegnanie* i *Danaidy*. Dłuższe i głębsze były uczucia, które go łączyły z panią Zaleską. Kiedy jednak w połowie listopada otrzymał pozwolenie na wyjazd do Moskwy, pożegnał Odesę bez żalu, owszem owo czcze i bezcelowe trawienie czasu na zabawach wywołało w nim niesmak i postanowił sobie „nie zniżać lotu”³¹⁾ uczuć i natchnień do poziomu namietności i osobistego użycia, czego też wiernie dotrzymał.

Wybrał się też natychmiast w drogę i pod koniec listopada był już w Moskwie. Tu chciano go początkowo wysłać do jednej z najodleglejszych szkół tego okręgu, ale księżna Zeneida Wołkońska, niewiasta niepospolitych zdolności i szerokiego serca, oraz książę Wiaziemski, znakomity poeta, wpłynęli na miarodajne czynniki, że rozkaz ten cofnięto. Dano mu tedy zajęcie w kancelarii generał-gubernatora, księcia Galicya. Nie odpowiadało ono wprawdzie jego zdolnościom, ale za to miał w księciu nader zacnego i życzliwego przełożonego. Podczas kiedy w Odesie żył „jak basza”, żył tu przez pierwsze dziesięć miesięcy „jak ostatni janczar”³²⁾. Prawda, że zajęcia kancelaryjne nie były uciążliwe i wyczerpywały się, jak się zdaje, na udoskonaleniu charakteru jego pisma³³⁾, które było zawsze wielce nieczytelne; ale po południowem cieple były tu mrozy tem przykrzejsze i środki utrzymania były ograniczone, a co najgorsza szedł wtedy po całym kraju dreszcz zgrozy po krwawem stłumieniu grudniowej petersburskiej rewolucji 1825 r. Uczucia swe dla szlachetnych ofiar tej rewolucji trzeba było na razie stłumić w sobie, ale kiedyś wybuchną one rzewną skargą w wierszu *Do Przyjaciół Moskali*. Pocięgą jedyną w tym czasie było to, że znalazło się tu koło niego aż pięciu przyjaciół

³¹⁾ W wierszu: *W dzień wyjazdu*.

³²⁾ List do Odyńca z dnia 22 sierpnia 1826.

³³⁾ List do Hołowińskiego z dnia 23 czerwca 1826.

filomatów i filaretów; osłoda zaś tych dni ciężkich była praca nad Sonetami, które wydał pod koniec 1826 r.

Sonet y erotyczne pochodzą z różnych lat. Niektóre z nich, jak Przypomnienie i Do Niemna sięgają jeszcze czasów uniwersyteckich, inne powstały później, ostatnie w Odesie pod wpływem Petrarki, włoskiego mistrza w sonetach. Nie są one zatem jednolite ani co do wartości literackiej ani co do nastrojów miłosnych; podczas kiedy jedne opiewają idealne uczucia poety dla Maryli, są inne przepojone salonową galanterją albo tchną żarem namiętności. Sonety Krymskie natomiast są pierwszorzędnem arcydziełem. Powiadamy arcydziełem, bo chociaż każdy z nich jest utworem samoistnym, stanowią one jednak, wszystkie razem wzięte, jednolitą całość. Szczególniejszą ich zaletą jest zlanie opisów przyrody z wylewami uczucia. Każdy opis zaś jest jakoby cudnym obrazeczkiem; a co sonet, to myśl inna, to inne uczucie, to nowe oświecenie stanu duszy poety. Nie mówi on o miłości, nie wspomina ojczyzny, a jednak wyraża się rzewne i tęskne usposobienie jego i żal za ojczyzną. Język tu wreszcie tak wspaniały, że te słowa i zdania dźwięczą jak czarowna muzyka.

Przyjęcie Sonetów w kraju było niejednolite. Jedni się nimi zachwycali, a zachwyty były tem gorętsze, że ten rodzaj poezji uważano za zupełną nowość w naszej literaturze, nie wiedząc, że pisywali sonety i Kochanowski i Szarzyński, Morsztyn i inni już w XVI wieku. Klasycy natomiast gorszyli się nimi twierdząc m. i., że trzeba by je przetłumaczyć na polskie; tak dziwnym zdawał się im język sonetów. W Rosji, a zwłaszcza w Moskwie zjednały one pocie u wielbienie największych powag literackich z Puszkinem na czele i otworzyły mu salony najznakomitszych rodzin rosyjskich. Zaczął więc znów bywać w wielkim świecie towarzyskim i literackim, co mu wymawiał Czeczot z Ufy³⁴⁾. Nieśluszenie. Stosunki, które poeta tu nawiązał, nie ubliżały jego godności osobistej ani narodowej i nie czyniły wyłomu w jego ideałach filomatycznych. Owszem, w tym świecie znakomości literackich i towarzyskich wyrosł on z zaściankowości litawskiej na męża pokroju europejskiego; znajomości te posłużyły bardzo poważnie do uzyskania znośniejszych warunków bytu dla niego i kolegów oraz do uzyskania pasz-

³⁴⁾ Patrz listy Mickiewicza z dnia 5 stycznia 1827 r.

portu na wyjazd za granicę; szerzyły w wybranych kołach rosyjskich uszanowanie nieszczęśliwego narodu polskiego i jego niedoli. Zresztą, jeżeli zwiedzał teatru i koncerta i świetne salony, czynił to poniekąd, żeby się bronić od trawiącej tęsknoty za krajem i pochmurnych myśli. „Rzekłbyś, że w całym tym okresie (pobytu w Rosji) jest on jak wygasły wulkan, który masą lodu przywalony z wierzchu, żywi w swym wnętrzu do czasu zarzewie, a na zewnątrz przy nizinach stroi się w gaje i murawę, dopóki nie wybije godzina, że rozedrze górę i wyzionie lawę³⁵⁾).

Tym żarem, który wewnątrz jego trawił, był ogrom uczuć patriotycznych mających wybuchnąć w Konradzie Wallenrodzie, a nie widział sposobu wypowiedzieć je tak, aby naród cały je zrozumiał a cenzura rosyjska się na jego zamiarze poznała. Ostatecznie znalazł sposób: „Własne bole i cierpienia patriotyczne zamknął w zbroi krzyżackiej. Całą głębią liryzmu swego, wszystko, czem od wyjazdu z ukochanej Litwy nasiąkło serce jego na ziemi ucisku i obłudy, wylał w przepiękną czarę, której artystycznie rzeźbiona powłoka nosiła pozorne znamiona historyczności“³⁶⁾. Na zamierzchłą przeszłość przedmiotu swojej powieści zwraca też uwagę w *Przemowie* mającej uspokoić cenzora. I osiągnął celu, uzyskał pozwolenie na drukowanie tego utworu. Prawda, trzeba było dla pewniejszego uspiania czujności cenzury zmienić pierwotny plan poematu ze szkodą jego przejrzystości, wszelako „czar nieśmiertelny Wallenroda tkwi w głębokim liryzmie, w niezrównanych strofach nabrzmiałych miłością ziemi rodzinnej, w onej precudnej „Pieśni Wajdeloty, którą dziś już cały naród ma na ustach“³⁶⁾ a ten czar nie doznał przez zmianę układu uszczerbku.

Zarzucano temu dziełu, prawda nie tyle z rzeczowych powodów, jak raczej ze względów osobistych i politycznych, że usprawiedliwia zdradę i otacza ją pewną aureolą. W rzeczy samej idzie Wallenrod do Krzyżaków z tą myślą, żeby zdobywszy u nich zaufanie i władzę, dopuścić się choćby zdrady, gdyby to dla dobra jego ojczystej Litwy miało być koniecznem; ale nie czyni tego z upodobania w zdradzie, lecz

³⁵⁾ Ignacy Domeyko w liście do ks. Jana Siemieńskiego z 26 października 1380 roku.

³⁶⁾ Prof. Józef Kallenbach w wstępie do tomu III *Pism A. Mickiewicza*, wydania Westa.

przeciwnie wzdyga się przed tym czynem, bo powiada:
.....stokroć przekłeta godzina,

W której, od wrogów zmuszony, chwycę się tego sposobu. Mamy tu więc raczej tragedję zdrady niż jej apoteozę; mamy w Konradzie raczej męczennika idei niż nikczemnika. Jeszcze żaden Polak nie stał się zdrajcą-Wallenrodystą, ale miliony, które ten poemat przeczytały, przejęły się tą miłością ziemi ojczystej i mowy ojczystej, która go wyśpiewała i zrozumiały może dopiero dzięki Pieśni Wajdeloty ogromną doniosłość poezji narodowej; ta pieśń jest jej najwspanialszym hymnem triumfalnym na jej cześć w naszej literaturze. Tak pojmowali współcześni ten poemat, przyjęty w kraju z niesłychanym zapalem. Nawet krytycy warszawscy nie mogli mu odmówić podziwu, a jeden z obozu klasyków, Andrzej Koźmian powiedział, że ten poemat nosi w swem łonie pioruny. Elektryzował on uczucia patryjotyczne od stu lat i będzie je elektryzował w najdalsze pokolenia nie tracąc nigdy na sile zapalnej.

W grudniu 1827 r. przybył Mickiewicz z księciem Galicy-nem do Petersburga, gdzie mu ziomkowie zgotowali na imieniny „wspaniałą kucję“³⁷⁾, podczas której wygłosił jeszcze wspanialszą improwizację w formie dramatu o Samuelu Zborowskim, zachwycając obecnych świetną charakterystyką odnośnych czasów i ludzi w przepięknych wierszach. Wróciwszy po dłuższej niebytności do Moskwy zastał ją dla siebie opustoszałą po wyjeździe pp. Zaleskich i po śmierci nieznaney z nazwiska serdecznej przyjaciółki. Przeniósł się więc na dobre do Petersburga, gdzie za wpływem księcia Galicy-cyna otrzymał stanowisko w kolegium spraw zagranicznych. Został on tu znaną mu już z Moskwy sławną pianistkę Marię Szymanowską, której córka Celina miała zostać po siedmiu latach jego żoną; zastał Puszkina, z którym wszedł w stosunek zażyłej przyjaźni, i zaznajomił się bliżej z malarzem Oleszkiewiczem, który rzucił w jego duszę pierwszy posiew mistycyzmu. W tym czasie czytywał dużo dzienników i zajmował się żywo polityką a owocem tych zajęć była wielka Historia przyszłości, pisana po francusku, której

³⁷⁾ Kucja oznacza w pierwszym rzędzie jedną z potraw podawanych na Litwie na wieczerzę w wigilię Bożego Narodzenia, w dalszym zaś też wieczerzę wigilijną.

przeszło 30 arkuszy wykończonych widział Odyniec, która jednak zaginęła.

Dorobek jego poetycki z czasów wygnania rosyjskiego jest poza Sonetami i Konradem Wallenrodem, nieznaczny. Było w tych latach więcej, niż kiedykolwiek, wierszy okolicznościowych, albumowych, które, aczkolwiek podają niepospolite myśli i uczucia w pięknej szacie, nie odzwierciedlają tego, co w duszy poety było wyższego natchnienia. W rzeczy samej nie mógł on mu dawać swobodnego polotu z powodu cenzury. Musiał je tłumić, jak to pięknie wyraża sonet wydany dopiero po śmierci jego: Poezjo, gdzie cudny pędzel twojej ręki. Niemniej przeto przyniosło pokłosie, dokonane przezeń w drukowanym r. 1829 własnym nakładem wydaniu swoich poezyj, ziarna bardzo wartościowe. Znalazły się tam oprócz kilku mistrzowskich tłumaczeń m. i. Popas w Upicie, ujęty w tonie gawędy szlacheckiej, zachwyconym z opowiadań Henryka Rzewuskiego a zapowiadającym z daleka nastrój Pana Tadeusza; są trzy ballady, a z nich dwie (Czaty i Trzech Budrysów) bardzo śliczne, jest wreszcie Farys, wspaniała kasyda na cześć Wacława Rzewuskiego³⁸⁾, opiewająca szaloną jazdę przez pustynię, w której pod tchnieniem czarującej wyobraźni poety wszystko się ożywia — piasek, kamienie, drzewa, wiatry. A ten jeździec pustynny, biorący śmiało wszelkie przeszkody, jest zarazem uzmysłowieniem dotychczasowej twórczości poety, który może o sobie powiedzieć bez przesady:

Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,

Wyżej, wyżej i wyżej — aż do niebios szczytu!

O poczuciu własnej siły świadczy też przemowa O krytykach i recenzentach warszawskich³⁹⁾ dana na wstępie tego wydania. Wywołana publicznymi drwinami z poetów romantycznych, była ona surową, nawet pogardliwą odprawą wyzwania pseudoklasyków i miała skutek o tyle dodatni, że zniewoliła do głębszego zastanawiania się nad kwestjami literackimi i nad duchem narodowej poezji, co przyspieszyło ostateczne, zupełne zwycięstwo kierunku romantycznego.

³⁸⁾ Wacław Rzewuski był synem Seweryna, targowiczana; żył przez dłuższy czas w Arabji, gdzie uzyskał godność niezależnego władcy (emira); wróciwszy na Podole żył z kozakami jako ich wódz.

³⁹⁾ Patrz V tom tego wydania.

Ogromny rozwój duchowy Mickiewicza w Rosji stwierdził poeta rosyjski Kozłów i zaświadczył w tych słowach: „Przybył on do nas silnym — a wyjedzie od nas potężnym“.

Dnia 15 maja 1829 r. opuścił poeta na statku angielskim Rosję a wylądowawszy w Lubece udał się przez Hamburg do Berlina, gdzie mu liczni na studjach bawiący Polacy przygotowali owacyjne przyjęcie. Nie podzielał on jednak ich zachwytów dla wykładów ówczesnego bożyszcza młodzieży akademickiej, Hegla, a wyniósł więcej uznania dla profesora historii Gansa, z którym się też zapoznał osobiście. Z Berlina wiodła droga do Drezna, w Saską Szwajcarję i do Pragi, gdzie się poznał z patriotą czeskim Wacławem Hankiem, który go zaznajomił z odrodzeniem literatury czeskiej. W Karłowych Warach przyłączył się doń Odynieć i obaj wyruszyli do Weimaru na 80-letnią rocznicę urodzenia Goethego przypadającą na 28 sierpnia. Zabawili tu dwa tygodnie, przyjmowani przez znudzonego hołdami licznie z kraju i zagranicy przybyłych wielbicieli, Goethego, grzecznie ale chłodno. Opuściwszy Weimar odbyli nasi wędrowcy wycieczkę po Renie i wybrali się przez Szwajcarję do Włoch. Na pograniczu tych obu krajów, w wiosce Splügen wraca Mickiewicz wspomnieniem do Maryli i tworzy śliczny wiersz, nabrzmiały rzewną tęsknotą za nią i za Litwą. Zwiedziwszy po drodze przelotnie co sławniejsze pamiątki i zabytki sztuki przybyli na dłuższy pobyt do Rzymu.

Przyjechali na porę zimową, dżdżystą i chłodną i przez kilka miesięcy nie użyli południa bynajmniej, przykuci do mieszkań, na dobitkę lichy ogrzewanych. Mickiewicz korzystał z wolnego czasu, żeby poznać lepiej starożytnych dziejopisów, przede wszystkim Liwjusza. Zresztą pochłaniały go w znacznej mierze stosunki towarzyskie, zwłaszcza że był wszędzie pożądanym gościem jako sławny poeta i jako człowiek z wielkoświatową oglądą. Z dawnych znajomych zastał tu ks. Wołkońską, która z czasem miała przejść na łono Kościoła rzymsko-katolickiego, Henryka Rzewuskiego z rodziną, młodego poetę Stefana Garczyńskiego, którego poznał i pokochał w Berlinie i innych. Najmilszym był mu jednak dom hr. Ankwiczów, gdzie panował serdeczny nastrój i dokąd go pociągał uroczy wdzięk siedmnastoletniej córki, Henryki Ewy. Serce jego, spragnione cieplejszych uczuć, przywiązało się do tej panienki, a z czasem zbudziła się u oboj-

ga wzajemna miłość, cicha, łagodna, zazdrośnie tajona przed światem a nawet bodaj czy nie przed samym sobą. Niestety i ta miłość miała zgotować poecie bolesny zawód. Kiedy bowiem potrafił o nią z daleka w wierszu *Do mego Cicerona*⁴⁰⁾ dumny pan Ankwicz przyjął to z widocznym niezadowoleniem odbierając zakochanej parze tem samem nadzieję uwieńczenia swoich uczuć dążgonnemi ślubami. Tymczasem jednak upływały mu dni uroczu na słodkich marzeniach, na miłych wieczorkach i, o ile pogoda pozwalała, na zwiedzaniu miasta i okolicy. W kwietniu zaś 1830 r. podjął wycieczkę do południowych Włoch i na Sycylię a następnie do Szwajcarii, gdzie poznał młodego Zygmunta Krasińskiego. Tu w Genewie pożegnał się z nim Odyniec wracając do kraju, on zaś zawitał 10 października ponownie do Rzymu. Przez cały ten czas leżała praca twórcza prawie zupełnie odłogiem, a główną tego przyczyną była dokonywująca się w nim poważna zmiana duchowa.

Głębokie uczucia religijne, które Mickiewicz był wyniósł z domu rodzicielskiego, ostygły do pewnego stopnia podczas studjów a jeszcze więcej w życiu wielkoświatowem. Pozostał on wprawdzie zawsze wierzącym, ale przestał spełniać przepisy kościelne. Takim poznał go Oleszkiewicz w Petersburgu, a chociaż poeta zbywał żartem jego mistyczne poglądy, utkwiły mu jednak głęboko w duszy słowa, któremi go malarz-mystyk żegnał, mianowicie że będzie on kiedyś „naczyniem wybranem“, że „łaska go napełni i przez niego spłynie na drugich“. I oto już podczas podróży po Niemczech toczyła się w duszy jego walka rozumu z uczuciem, pychy z pokorą, i doszedł do przekonania, że rozum nie obejmie i nie przeniknie wszechświata ducha, że trzeba przez pokorę zdobywać wiarę w prawdy objawione a z tej wiary płynie przeświadczenie o prawdzie. Pobyt w Rzymie utwierdził go w tych przekonaniach, których wyrazem są wiersze: *Rozmowa wieczorna*, *Rozum i wiara*, *Arcymistrz* i *Mędracy*. Wszelako odrodzenie jego religijne miało się dokonać w zupełności dopiero po powrocie z Szwajcarii do Wiecznego miasta. Czytał teraz przeważnie dzieła odnoszące się do zagadnień religijnych, szukał towarzystwa osób wyróżniających

⁴⁰⁾ Cicerone oznacza po włosku przewodnika. P. Henryka przewodniczyła podczas zwiedzania starożytnych pamiątek Rzymu i objaśniała takowe, posiadając szczegółową znajomość archeologii.

cych się cnotą i nauką teologiczną a w szczególności ks. Stan. Chołoniewskiego, który, jak przyznaje poeta, otworzył przed nim „nowe widoki na świat i ludzi i naukę”. Wreszcie poszedł do spowiedzi. I stało się, że tej samej nocy, w której się przygotowywał do Komunii św., miała p. Ankwiczówna sen, w którym go widziała w powłóczystej białej szacie, bawiącego się z barankiem, co nań wywarło ogromne wrażenie⁴¹⁾.

Niedługo potem nadeszła do Rzymu wiadomość o powstaniu listopadowem. Gorąca, żywiołowa miłość ojczyzny pchała go w szeregi powstańców, inne względy natomiast powstrzymywały go od tego kroku. Genjalna jego natura wzdrygała się przed nowożytną walką orężną; był też świadom doniosłości swoich zasobów duchowych dla rozwoju umysłowego w narodzie, podczas kiedy na polu walki byłby nieznaczoną jednostką; wreszcie nie wierzył on od samego początku w powodzenie powstania, mając w żywej pamięci kolosalność potęgi rosyjskiej. Wszak jeszcze w lipcu tego roku podyktowało mu wieszczę przeczucie beznadziejnym bólem przepojone wiersze *Do matki-Polki*. Czyż miał tedy ginąć w powstaniu jako ofiara bezcelowa, bezpożyteczna, mogąc oddać narodowi swemu słowem i piórem nieocenione usługi? I tak zmagał się z sobą w ciężkiej walce wewnętrznej — iść czy nie iść? Ostatecznie wyjechał w kwietniu z Rzymu do Paryża, a zniechęciwszy się niebawem do stosunków politycznych, które we Francji panowały, wybrał się do Wielkopolski, aby się dostać na teren powstańczy. W Wielkopolsce stanął — za fałszywym paszportem — w sierpniu, ale granice Królestwa były wtedy już tak pilnie strzeżone przez kordony pruskie, że nie było podobna się przez nie przedrzeć. Zresztą we wrześniu przepływały już pierwsze fale rozbitych powstańców na zachód.

Zrozumiawszy teraz doniosłość powstania i nieszczęsne skutki jego upadku, robił sobie ciężkie wyrzuty, że nie wziął w niem czynnego udziału i tę swoją rzekomą winę uzmysłowił małą raną na czole Konrada w III części *Dziadów*. Zrodziło się w nim gorące pragnienie zmycia tej winy czynami orężnymi i żył tylko nadzieją, że beczynnie ręki na pierśsiach w trumnie nie złoży, jak pisał w r. 1832 do Lelewela.

⁴¹⁾ Opowiadał o tem po roku z niebywalem u niego wzruszeniem i dodał: „Gdyby jasny piorun spadł u nóg moich, nie przeraziłby mnie tyle”.

Tem się tłumaczą w znacznej mierze późniejsze jego działania koło tworzenia legjonów we Włoszech i w Turcji.

Po ośmiomiesięcznym pobycie w gościnnej Wielkopolsce⁴²⁾, gdzie się też widział z starszym bratem swoim Franciszkiem, byłym oficerem powstańczym, udał się Mickiewicz do Drezna, gdzie się z nim złączyli Odyniec, Garczyński i Domeyko, którzy go zastali w nader smutnym stanie boleści i drażliwości wewnętrznej. Pod ich kojącym wpływem odzyskał z czasem równowagę umysłową a nawet przyszło natchnienie poetyczne w takiej sile, że sam się dziwił tej żywiołowej potędze twórczości, która mu nie pozwalała puszczać pióra z ręki. Pisze więc na podstawie opowiadań swoich przyjaciół śliczne wiersze potrojotyczne: *Reduta Ordona*, *Nocleg*, *Śmierć pułkownika*, *Pieśń żołnierska*; tu powstają za serce chwytający *Sen w Dreźnie* i *Pieśń pielgrzyma*; tu powstały nowe *Dziady*, które poeta w odniesieniu do wydanych w Wilnie dwóch części (II i IV) nazwał *Trzecią częścią Dziadów*.

Przedstawiają one, jak autor ich w *Przemowie* zapowiada, cierpienia narodu polskiego w niewoli rosyjskiej, w szczególności tortury duchowe młodzieży filareckiej, których był uczestnikiem. Zabliźnione już, odżyły w pamięci dzięki wydanej w r. 1831 broszurce Lelewela pod tytułem *Nowosilcow w Wilnie* i wskutek rozmów z Domeyką, w których do onych zdarzeń wileńskich codziennie wracano. Były one niejako wstępem długoletniego martyrologjum narodowego, które doprowadziło do powstania i do sroższych jeszcze po jego stłumieniu okrucieństw. Te dalsze dzieje męczeństwa Polski miały stanowić dalsze akty tego dramatu. Tragizm zaś tamtych katuszy jest oddany z taką siłą i grozą, że literatka tej miary co George Sand powiedziała o nich na podstawie francuskiego tłumaczenia te słowa: „Obrazy te są takie, jakich ani Byron, ani Goethe ani Dante nie byliby mogli namalować. Może i sam Mickiewicz miał w życiu swem jedną tylko chwilę tego nadnaturalnego natchnienia... Od czasów proroków Syonu, od czasu ich łez i jęków, żaden głos nie wznosił się z taką siłą, aby opiewać przedmiot tak ogromny, jakim jest upadek narodu“.

⁴²⁾ Wielkopolska jest jedyną dzielnicą Polski, którą poeta poznał osobiście. Ten pobyt posłużył mu później do scharakteryzowania „Buchmana“ w *Panu Tadeuszu*.

I oto nasuwa się pytanie, dlaczego Bóg dopuszcza tyle udręki na nieszczęśliwy naród? Rozwiązaniu tego zagadnienia są poświęcone dwie sceny, najznamienniejsze w całym dramacie: Improwizacja Konrada i Widzenie ks. Piotra.

Wiemy, że od wyjazdu Mickiewicza z Rosji, a może już i dawniej, toczyła się w duszy jego walka między pychą a pokorą, między rozumem a wiarą; wiemy też, że pod koniec 1829 r. zamierzał napisać dramat przedstawiający zapasy ducha ludzkiego, opętanego obłudną pychą, z potęgami wyższymi, a więc coś w rodzaju chrześcijańskiego Prometeusza. Niepomyślnie dla twórczości warunki nie pozwoliły mu tego zamiaru urzeczywistnić, ale nie przestał się tym przedmiotem zajmować, a Odyniec twierdzi stanowczo, że Improwizacja Konrada jest tylko zabytkiem i odbiciem głównej treści tego dramatu (nienapisanego), który głęboko tkwił w jego duszy". Twierdzenie to ma za sobą dużo prawdopodobieństwa i tłumaczy najprościej stosunek odnośnej sceny (II) do całości *Dziadów* drezdeńskich. Robi ona bowiem wrażenie samoistnej, zamkniętej w sobie, wykończonej całości, wyodrębniającej się niedwuznacznie swoją treścią i zawrotnym polotem myśli od ogólnego nastroju. Po długiej posusze natchnienia poetyckiego spadło ono nań w Dreźnie wprost ulewnie, temsamem przyszła pora na artystyczny odlew onych tytanicznych prądów prometeuszowych. A ponieważ w tym właśnie czasie dusza poety była miotana nadmiarem bólów patriotycznych, weszły one jako przymieszka poważna części składowych onego waru, który kotłował w jego umyśle. Tak powstała Improwizacja, która jest i skargą Polaka i buntem myśli ludzkiej przeciw wyrokowi Bożemu. Mickiewicz opowiadał, że napisał Improwizację w jednej nocy, może w nocy po owym pamiętnym dniu, kiedy to modląc się w kościele drezdeńskim poczuł „jakoby się nad nim bania z poezją rozbiła". I nazwał ją „zwrotnikowym punktem Byronowskiego kierunku", w którym „szał pychy rozumu dosięga ostatecznych granic". Możemy ją uważać za rodzaj spowiedzi, strasznej „jako szczere, namiętne wyznanie stanu duszy, wierzącej, żbolałej, spragnionej sprawiedliwości, a pojonej octem bezprawia. Wyznanie to wyrasta z przerażającą, zawrotną szybkością na wyzwanie rzucone Bogu, wyzwanie, jakiemu równego w sile natchnienia i mocy niema żadna dotychczas literatura".

Odpowiedzią na to dumne wyzwanie Konrada jest *Widzenie ks. Piotra*, pokornego braciszka zakonnego. Tamtego szturmy do nieba pozostają bez skutku, temu ono objawia posłannictwo i przyszłe losy ojczyzny, i to w postaci teorii mesjanizmu, porównującego męczeństwo Polski z męką Zbawiciela i przewidującego zmartwychwstanie narodu ku życiu chwalebnemu i ku uszczęśliwieniu ludów. Zarodki mesjanizmu znajdujemy już u Woronicza, w pieśniach powstańczych z r. 1830 i 1831, w *Mowie o narodowości polskiej* Brodzińskiego a szczególnie u Stefana Garczyńskiego — ale tu mamy tę teorię po raz pierwszy jasno sformułowaną, jakkolwiek co do niektórych szczegółów zamąconą mistyczną tajemniczością⁴³).

Mickiewicz chciał z tego utworu zrobić „jedyne dzieło godne czytania”. W rzeczy samej jest ono nie tylko niespożytym pomnikiem niebotycznej siły poetyckiej ale zarazem też żywiołowego patriotyzmu i żywej wiary w Opatrzność Boga. Nie mniej przeto należy stwierdzić, że wykazuje też pewne niedoskonałości. Poszczególne sceny wiążą się z sobą zbyt luźno a spójnią, która je łączy, jest wiara w obcowanie duchów z światem zmysłowym, która stanowi też właściwy łącznik *Dziadów* w drezdeńskich z wileńskimi. Podczas jednak kiedy duchy tam występujące są tworem wyobraźni ludowej, są one tu jestestwami rzeczywistymi w pojęciu teologicznym.

W dalszych aktach tego dramatu, których plan w myśli ułożony a po części nawet spisany zaginął, chciał poeta przedstawić Konrada w walce z systemem rosyjskim podczas pobytu przymusowego w Rosji. Obrazy dodane jako *Ustęp* do tego utworu miały przygotować przejście do tychże aktów dalszych. Są to małe co do rozmiarów arcydzieła poezji epicznej, odznaczające się niedościgłą w swej doskonałości charakterystyką odnośnych osób i stosunków.

Napisawszy *Dziady* udał się Mickiewicz w końcu czerwca 1832 r. do Paryża, gdzie je wydał drukiem. Zastał tu licznych ziomków emigrantów, podzielonych na partje i stronnictwa, zwalczające się nawzajem, obrzucając się podejrzeniami i oszczerstwami, niby „piekielną, stużęzyczną żmiję, pociętą na pierścienie i buchającą jadem na siebie”. Chcąc

⁴³) Znaczenia cyfry 44 oznaczającej przyszłego wskrzesiciela Polski nie umiał Mickiewicz sam wyjaśnić. Według francuskich mistyków oznacza 4 potężną tajemniczą postać; Mickiewicz podwaja tę cyfrę.

przeciwdziałać ostatecznemu rozbiciu emigracji napisał Księgi narodu polskiego i Księgi pielgrzymstwa polskiego, dwie niewielkie broszury w stylu prostym, biblijnym, przystępnym dla każdego. W pierwszej przedstawia naród polski jako naród wybrany, zestawiając jego dzieje z życiem Chrystusa zgodnie z Widzeniem ks. Piotra — nie żeby rozdmuchiwać pychę narodową, lecz żeby krzepić ducha i żeby zbołałym sercom dodać otuchy. W drugiej wyłuszcza obowiązki synów narodu wybranego, którzy powinni zaniechać sporów a wziąć się do rzetelnej pracy, szczególnie nad swoim własnem udoskonaleniem, bo powiada: „O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice“. Broszury te wydane własnym nakładem i po części bezpłatnie rozdane, znane pod nazwą *Ewangelji Mickiewicza*, nie pozostały wprawdzie bez dodatniego wpływu na ogół emigracji, nie zdołały jednak zażegnać zupełnie walk partyjnych w jej łonie. Tem mniej dokazały tego artykuły pisywane do *Pielgrzyma Polskiego*, gazety założonej za jego wpływem pod koniec r. 1832. Usunął się tedy od gwaru debat politycznych i zamknął się w szczupłym gronie przyjaciół, żeby się w spokoju oddać pracy nad *Panem Tadeuszem*.

Wydumał go, jak twierdzi Zaleski Bohdan, w Wielkopolsce, na wsi i zaczął od opisu dworu szlacheckiego. Kiedy jednak przybył do Paryża, została ta praca przez inne zajęcia zepchniętą na dalszy plan i żalił się na nie często, że mu dławią w pieluchach *Tadeuszka*, którym się pieścił jako najmłodszem i najukochańszem dzieckiem. W pogodniejszych godzinach jednak dorzucał dorywczo po kilkadziesiąt wierszy do swej „ulubionej powieści“, jak ją sam nazywał.

Na nieszczęście trzeba się było od niej oderwać na cały miesiąc, żeby znova tłumaczyć *Giaura*, którego pierwszy przekład, przywieziony z Dreżna, zagażał bez śladu. Uporawszy się z tą pracą wrócił do *Tadeusza* a „natchnienie płynęło strumieniem“. Wtedy to pisał po 100 i 150 wierszy na dzień za jednym zamachem, które czytywał przyjaciołom wieczorami jeszcze niezaschłe na papierze, zachęcając tych, którzy pisywali wiersze, aby przynosili luźne rapsody szlacheckie, które on wcieli do swej powieści. Tymto sposobem zostało kilkadziesiąt wierszy Witwickiego po dwukrotnem starannem opracowaniu wplecionych w opis matecznika. Pomimo skwarów letnich praca nie ustawała, choć wieszcz wędlniał i sechł, tak

że przyjaciele życzyli końca całemu poematowi. Wtem pod koniec czerwca otrzymał on list z Drezna, że Stefan Garczyński ciężko zaniemógł i wyruszył powoli do Szwajcarji na kurację. Nazajutrz był już w drodze do chorego przyjaciela i pielegnował go z największem poświęceniem aż do jego zgonu, który nastąpił 20 września w Awinjonie. Oddawszy mu ostatnią przysługę podjął dla wytchnienia podróż po południowej Francji. Tu w Lionie spotkał się z nim Bohdan Zaleski. Przechodząc koło jakiegoś hotelu ujrzał go z papierem w ręku dosłownie zaciętrzewionego nad Panem Tadeuszem. Wróciwszy na początku listopada do Paryża, zdążył już bez przerw pośpiesznie ku końcowi. W połowie lutego, kiedy przyjaciele, przybywszy do niego jak zwykle w szarej godzinie, gwarzyli po cichu, widząc go w drugim pokoju przy kominku szparko machającego piórem po papierze, powstał Adam z rozpromienioną twarzą i zawołał „Chwała Bogu! Oto w tej chwili podpisałem pod Panem Tadeuszem wielkie finis“. „Nazajutrz, pisze Zaleski, staropolskim obyczajem wysłuchaliśmy najprzód mszy św. a po mszy zaprosiliśmy go na obiad emigrancki, niewykwinny ale dostatni z gęstemi toastami na cześć Adama i jego nowonarodzonego infanta. Godowaliśmy jeszcze i w dniu następnym równie skromnie i po emigrancku“.

„Po tych uctach zażądał Adam, abyśmy wcześniej do niego przychodzili, „odbędzie się bowiem jeszcze jedna ceremonia, t. j. imieniny i chrzciny Pana Tadeusza“. Tak nazywał autor niezbędne poprawki w poemacie... Adam z piórem w ręku sam czytał Pana Tadeusza, księgę po księdze, a kiedy uczuwał zmęczenie odsuwał rękopis ku Witwickiemu albo ku mnie do czytania. Z początku branie inicjatywy tej cenzorskiej szło twardo; ten lub ów bakał jednak uwagi, które Adam po krótkim namyśle uznawał za niesłuszne lub słuszne i natychmiast własnoręcznie mazał lub podkreślał do poprawki: a czynił to z nieocenioną skromnością i nawet pokorą. Nieraz w czasie czytania wyrывał mi rękopis i podkreślał piękne wiersze bezlitośnie. Wypraszaaliśmy je jak najwymowniej od śmierci. Adam zbywał nas dowcipnem lub głębokiem słówkiem: „wiersz umorzony jak ziarno pszenicy rozrodi się tem bujniej...“ Jeden z nas czynił przy mowach Buchmana i przy swarach szlachty zaściankowej uwagę, że zniżają nieco nastrój poważnej epopei. Adam podkreślił znaczone przez niego wiersze, ale dodał: „He! wiem ja, mój

drogi, czego ty chcesz, ale nie tylko w tych tu miejscach co wskazałeś, lecz i w całym poemacie potrzebaby podnieść nastrój o jakie pół tonu. To na prędcie nie da się zrobić, klamka już zapadła... Poprawię się da Bóg w innej powieści, bodaj w synie Pana Tadeusza a najprawdopodobniej w dalszych częściach *Dziadów*⁴⁴⁾.

Pierwotny plan Pana Tadeusza przedstawiał się pod względem treści i objętości o wiele skromniej niż jego wykonanie. W grudniu 1832 r. donosił Mickiewicz Odyńcowi, że pisze poemat szlachecki w rodzaju Goethego *Hermana Doroty*. Miała to więc być sielanka o 4—5 rozdziałach, która miała otrzymać nazwę „Żegota” czy też poprostu „Szlachciec”. Ale napisawszy trzecią pieśń donosi poeta Garczyńskiemu (6 maja 1833 r.), że się zanosi na długą chryję. Wszelako jeszcze w listopadzie, kiedy już pięć pieśni było gotowych, sądził on, że mu już tylko trzy pieśni pozostaje napisać. W rzeczy samej napisał ich jeszcze siedm, wszystkich razem dwanaście. Stało się to dlatego, że opisującemu *Łow*y przyszła myśl wciągnięcia do poematu pierwiastku politycznego i stworzył przepyszny obraz agitującego wśród szlachty ks. Robaka. Z tego motywu wyrasta motyw nowy zajazdu, a stąd wynikła konieczność dokładniejszego nakreślenia typów szlachty uczestniczącej w zajęździe. Tak oto rozrastał się ten poemat w wielką epopeję narodową, przedstawiającą na świetnie zarysowanym tle wojen Napoleońskich dokonywujący się u nas przełom społeczny — schodzący z widowni politycznej ustrój szlachecki i zaranek odrodzenia narodowego.

Jest ona epopeją całkiem nowożytną, opartą wyłącznie na motywach czysto ludzkich, bez wszelkich przymieszek cudowności i mistycyzmu. O tyle jest ona utworem na wskroś samotwórczym, oryginalnym. „Nigdzie niema naśladownictwa. Nawet epickie przybory, zwroty, epiteta... nie mają żadnego wzoru, są zupełnie odrębne i samodzielne”. Jest mistrzowską w układzie; ekspozycja czyli wprowadzenie w rzecz (księga I) doskonała, wymiar umiejętny, przejrzysty; budowa jasna, wspinała w prostocie swych zarysów głównych pomimo mnóstwa epizodów. Są one wszystkie wykonane artystycznie, każdy jest skończonem arcydziełem, a jednak żaden z nich nie więzi uwagi nadmiernie, nie odrywa od myśli przewodniej,

⁴⁴⁾ List Bohd. Zaleskiego do syna Adama, z ostatnich dni października 1874 r.

od toku powieści, nie przeszkadza obejmować całokształtu tej struktury — niby genialnem dłutem rzeźbione części składowe, kolumny i kapitele wspianiałego tumu gotyckiego. I forma jest w całym poemacie od początku do końca doskonała, wykończona. „Wiersz trzynastozgłoskowy przyjęty w Polsce od wieków w epickich opowiadaniach, tak odpowiadający poważnemu ich spokojowi, zbudowany bez skazy, płynie lekko, potoczyście, a zawsze pełen jest naturalnej powagi! Myśl zawsze w odpowiednią ubrana szatę, raz strojną i świetną, to znowu skromną i prostą. Nigdzie rozbratu między formą a treścią. Język jędrny, silny, pełen barwy i bogactwa tudzież porównań znamienitej piękności, najczystszy, na wskroś polski“⁴⁵⁾).

Genjalnym jest obraz społeczeństwa naszego w początku XIX wieku, który poeta nam tu daje, w szczególności stanu szlacheckiego we wszystkich jego warstwach i we wszelakich stosunkach, prywatnych i towarzyskich, politycznych i religijnych, w jego drobnych i wielkich sprawach, z jego cierpieniami i nadziejami, z jego bytem codziennym i z chwilami podniosłego nastroju. Przesuwają się tu przed czytelnikiem najróżnorodniejsze typy, a każdy z nich ma jakiś rys znamienny wyróżniający go od innych i każdy wiernie z życia wzięty. Są to ludzie prawdziwi, rzeczywiści, z swemi doskonałościami i ułomnościami, zaletami i wadami; niema tu ani idealnych doskonałości ani zupełnie złych, bo ich niema na świecie. Jest to jeden z dowodów mistrzowskiego uczucia prawdy poety i zupełnej jego przedmiotowości epickiej. Jeden, ale nie jedyny. Bo oto przedstawiając różne warstwy narodu, maluje każdą z nich bez uprzedzenia i predylekcji, odsłaniając znamienne każdej z nich właściwości. I nie przenosi do czasów opisywanych w poemacie swojego ówczesnego usposobienia religijnego — ani mistycyzmu ani rygoryzmu ascetycznego, owszem nad drobnymi wadami i ułomnościami natury ludzkiej unosi się z lekką, łagodną ironją, z delikatnym wyrozumiałym uśmiechem męża dojrzałego. Nawet kiedy potrąca o swoje osobiste przeżycia — boć stosunek Jacka Sopłicy do Ewy i jej ojca jest odzwierciedleniem jego stosunku do p. Ankwiczówny wzgl. Wereszczakównej — czyni to panując w zupełności nad sobą i swemi uczuciami. Słowem, w całej

⁴⁵⁾ Hugo Zathay, Uwagi nad Panem Tadeuszem.

epopei rozlany jest pewien stoicki spokój i pogoda umysłu. Widzimy tylko dzieło mistrza, a nigdy i nigdzie jego twórcy.

W malowaniu przyrody ta sama przedmiotowość, co w przedstawianiu ludzi. Nie wmawia poeta w zjawiska przyrody właściwości ludzkich, uczuć ani psychicznych nastrojów. Przyroda występuje tu sama dla siebie, a ludzie dopiero odczuwają jej powab lub grozę. Dlatego to są obrazy przyrody w tym poemacie tak oryginalne, że choćby nigdzie nie było żadnej wzmianki, że to obrazy polskiej ziemi, każdy, kto na niej żył i ją kochał, pozna od razu, jaki kraj poeta maluje. I nie znajdziesz w całej naszej poezji, a bodaj czy w jakiej obcej, tej barwności i dźwięczności i grozy i błogiej, kojącej ciszy w opisach przyrody, co w Panu Tadeuszu. Ale bo też poeta patrzy na nią z radością dziecka, z uczuciem czystej duszy, z miłością, z której Polak między narodami słynny, że bardziej, niżli życie, kocha kraj rodzinny ⁴⁶⁾.

Ignacy Domeyko, jeden z najbliższych sercu wieszczą pisze o nim synowi jego: „Nic, jak mi się zdaje, nie pisał on z taką przyjemnością, jak to wielkie poema. Lubił mi czytywać w głos obrazy i sceny, które, rzekłbyś, żywcem wyrывał z lat swoich najrańszych i mówił: „Żegoto, jeżeli za co, to za Pana Tadeusza muszą mi kiedyś postawić Nowogrodzianie pomnik na placu w Nowogrodku“. W rzeczy samej dostarczały to miasto i okolica jego w przeważnej mierze wzorów na typy i sceny tego poematu. Oto jakie tam pannały stosunki za lat chłopięcych Adama wedle opisu tegoż Domeyki: „Stare miasto litewskich książąt, baszt na wyżynie ich zamku — a w opuszczonych murach świeże tradycje hucznych, zaciętych sejmików... Cudna przyroda okolic miasta i całego powiatu, najpiękniejszych może na ziemi litewskiej... Grunt żyzny, chłop zamożny; zaściankowa szlachta butna jeszcze i swobodna; po obywatelskich domach szczerą, wesolą gościnność; zjazdy, polowania, gwarne zapusty; po parafjach pobożne odpusty i liczne kiermasze; w sądach pieśniactwo, przy stołach „kochajmy się!“ Nie brakło tam oryginalnych typów szlacheckich. Wspomina o nich poeta pisząc podczas wakacyj 1819 r. do Jeżowskiego: „Nie wiesz, ile mnie bawi Nowogródek. Mnóstwo oryginałów z szczególniejszymi a zawsze coraz innymi charakterami

⁴⁶⁾ Porównaj Zathę, Uwagi.

daje obfitą materję do uwag filozoficznych, które pospolicie kończą się śmiechem“.

Oczywiście, że weszły do poematu także osoby z innych okolic. Tak poznał poeta kapitana Rykowa osobiście w Odesie; Buchmana podpatrzył w Wielkopolsce; niejeden epizod zawdzięcza niezawodnie. Henrykowi Rzewuskiemu, niejeden posłowi Trzcíńskiemu, byłemu adjutantowi generała Dąbrowskiego, który towarzysząc Mickiewiczowi z Drezna do Strasburga, opowiadał pocieszne sceny ze zjazdów, sejmików i hulanek szlacheckich. Przeważną część materiału dostarczyły atoli okolice Nowogródka tak, że kiedy po ukończeniu poematu przyszło do zastąpienia umieszczonych w pierwotnym tekście imion własnych rodowych, osobowych i miejscowych nazwami zmyślonemi, wedle wspomnianego świadectwa Zalesskiego, najpożyteczniejszym służył w tej rzeczy Domeyko, „który jako Litwin i spółpowietnik Pana Tadeusza doskonale znał ojczyste jego strony“.

Rzecz naturalna, że zabarwienie litewskie jest widoczne w całej epopei. Ale to nie ujmuje bynajmniej jej charakteru narodowo polskiego. Wszak istotne cechy szlachty ówczesnej były we wszystkich dzielnicach byłej Rzeczypospolitej te same, jakie tu widzimy. Wszędzie wysuwano zasadę, że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“, zadając jej kłam w praktyce; wszędzie napotymano zależność drobnej szlachty od magnatów, posuwającą się aż do służalstwa obok dumy osobistej, której obraza pociągała za sobą nieobliczalne skutki; wszędzie pieniactwo w stosunkach sąsiedzkich i rodowych obok wspólnej niechęci do obcego ciemniźciela kraju. Bracia szlachta czuli się na Litwie tak samo Polakami jak w Koronie i mianowali się Polakami⁴⁷⁾ i posiadali patriotycznego ducha polskiego. Widzimy go u Jacka, który się poczuwa do obowiązku także narodowej ekspiacji zbrodni dokonanej na Horeszce poniekąd w biernym sojuszu z Moskalami⁴⁸⁾; wi-

⁴⁷⁾ Mówiąc o szlachcie litewskiej powiada Podkomorzy: „a co Francuz wymyśli, to Polak polubi“ i na innem miejscu: „...„a nam starym serca rosną, że znowu o Polakach na świecie tak głośno“. — Podobnie Wojski zagniewany na małowówność gości „nazywał tę wieczerzę nie polską, lecz wilczą“ i mawiał „Polskę oniemić jest to Polskę zniemczyć“. — Taksamo Róbak: „Wojna o Polskę, bracie, będziemy Polakami“. — Nawet Ryków mówi: „Wy Polaki, ja Ruski“.

⁴⁸⁾ Ze nie odrzucił dóbr darowanych mu po Horeszkach, uczynił to żeby je ocalić dla Zosi i uważa je za jej własność.

dzimy w Soplicowie, gdzie nas zaraz na wstępie witają obrazy bohaterów narodowych i zegar wygrywający Marsz Dąbrowskiego, gdzie się tak sumiennie przestrzega zwyczajów ojczystych, a gdzie gospodarz na wiadomość o bliskim oswobodzeniu kraju dla dobra ojczyzny puszcza w niepamięć obelżywą burdę wywołaną przez Hrabiego i Gerwazego; widzimy u gości w domu jego zebranych, potępiających cudzoziemszczyznę i nasłuchujących tak skwapliwie nawet podczas uczt na wiadomości o Napoleonie; widzimy u szlachty zaściankowej, która się usunęła od Jacka po jego zbrodni na Horeszce dokonanej⁴⁹⁾, która gotowa zaraz oczyszczać kraj ze śmiecia moskiewskiego i zaciąga się tłumnie do wojska polskiego; widać u Jankła a nawet u hrabiego, który jako „pocziwy, dobry Polak“ wystawia oddział wojska narodowego swoim kosztem. A w dwóch ostatnich księgach jest pierwiastek patryjotyczny już na pierwszy plan wysunięty.

Jednemu tylko czynowi — zamordowaniu majora Płuta — „musimy odmówić jako czynowi epickiemu prawdy i podstawy dziejowej, ponieważ w Polsce skrytobójstwo należało do wypadków wyjątkowych i obcych duchowi narodowemu“⁵⁰⁾. Natomiast tłumaczy się ówczesnym ustrojem społecznym to, że w galerji typów epickich niema przedstawicieli stanu mieszczańskiego i włościańskiego ani matek Polek, które w dziejach naszych porozbiorowych tak zaszczytnie zajaśniały, jako kapłanki cnót chrześcijańskich i apostołki uczuć patryjotycznych⁵¹⁾. Ostatecznie możemy te braki poczytać jako niedoskonałości poematu, pomimo to pozostanie on najwspanialszem arcydziełem literackiem polskiem i słowiańskiem, a jednym z największych całego świata.

W końcu czerwca czy na początku lipca odbijał się w drukarni ostatni arkusz *Pana Tadeusza* a jednocześnie zjawiała się w Paryżu panna Celina Szymanowska, z którą się Mickiewicz przekomarzał w Petersburgu. Dnia 22 lipca 1834 roku odbył się ślub jego z p. Celiną, i nastąpiła doba szczęścia

⁴⁹⁾ Że brata Jacka wybrała sędzią, dowodzi to jej zdrowego zmysłu, że nie należy karać brata za winy brata.

⁵⁰⁾ Zathey, Uwagi nad *Panem Tadeuszem*.

⁵¹⁾ I to nie powinno dziwić, że jedynym przedstawicielem żydów jest tu idealny Jankiel; współwyznawcy jego dopiero z czasem przejmowali dążności wrogie narodowości polskiej.

domowego⁵²). Wszelako niebawem popadł poeta znowu w rozmyślania religijno-moralne, które już od lat opanowywały jego umysł coraz więcej. Zaleski opowiada, że już w zimie r. 1832—1833 odbywały się u Adama wspólne modlitwy, które wygłaszał najstarszy wiekiem Antoni Górecki z wielkiem namaszczeniem. A skończywszy Pana Tadeusza pisał wieszcz do Odyńca: „Przekonywam się, że się nadto żyło i pracowało dla świata tylko, dla pustych pochwał i celów drobnych. Zdaje mi się, że nigdy już pióra na fraszki nie użyję. To tylko dzieło warte czegoś, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć. Możebym i Tadeusza zaniechał, ale już był bliski końca“. Oto idąc za wrodzoną skłonnością zatapiał się w mistycyzmie, w zgłębianiu stosunku człowieka do Boga, nie tyle rozumem wiarą oświeconym, jak raczej uczuciem. Wczytywał się w dzieła mistyków: Tomasza z Kempis, Jakóba Boehmego, Anioła Ślązaka i Saint-Martina, z których wybrał „Zdania i uwagi“ i ogłosił w roku 1836. W grudniu 1834 r. przystąpił do „Braci Zjednoczonych“, których celem było ćwiczyć się w doskonałości i zachęcać do niej innych, a z których wyrosło Zgromadzenie O O. Zmarłych wstańców. Jednem z szczególniejszych zadań Braci Zjednoczonych było tłumaczenie dzieł mistycznych, które nasz wieszcz podsuwał współtowarzyszom. On sam chciał przełożyć dzieła Dionizego, zwanego Areopagita. Zamiaru swego atoli nie wykonał, ponieważ trzeba było pamiętać przedewszystkiem o takich pracach, któreby dostarczyły chleba dla niego i dla żony.

W tym celu podjął się napisania historii Polski i pracował nad tem dosyć długo, zachęcany przez Edwarda Raczyńskiego, magnata i wielce zasłużonego nakładcy dzieł polskich w Wielkopolsce, oraz fundatora Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. Praca ta jednak była zmuDNA i posuwała się powoli naprzód. Próbował tedy pisywać po francusku, spodziewając się stąd korzyści materialnych wystarczających na opędzenie potrzeb domowych, zwiększających się w miarę jak jego rodzina się pomnażała. Przesyłał więc krótkie artykuły do czasopisma *Revue des Etats du Nord*, które umieściło też jego powiastkę: *Tydzień miodowy sierżanta*; w r. 1837 podał do dziennika *Le Globe* wspomnienie pośmiertne o Puszkynie, wreszcie napisał po

⁵²) Patrz Listy z tego czasu

francusku dramat *Konfederaci Barscy* w pięciu aktach, oceniony przez literatów francuskich nader pochlebnie. To go zachęciło do tworzenia drugiego dramatu: *Jakób Jasiński*, czyli *dwie Polski*. Niestety dyrekcja teatru, której oddał *Konfederatów* uznała sztukę za nieprzydatną na scenę. Może względy polityczne kazały ją odrzucić, może przedstawiała za mało interesu dla ówczesnej publiczności francuskiej, a może też niedostawało jej zalet scenicznych. Jakielwiek tej odmowy były przyczyny, stała się wielka szkoda. Gdyby sztuki te zostały wystawione, jednałyby sprawie polskiej sympatje szerokich warstw publiczności francuskiej; dla autora byłoby to wielką wygraną, zabezpieczającą był rodziny i pozwalającą tworzyć swobodnie podług natchnienia. Co gorsza, troszczył on się mało o dzieło odrzucone, wskutek czego trzy akty *Konfederatów* zaginęły, dalsza praca nad *Jasińskim* zaś została zaniechana; a musiało to być dzieło wyjątkowo wartościowe, jeżeli je podjął na nowo jeszcze u schyłku życia swego⁵³).

Doraźnie jednak był ten zawód najdotkliwszym dla poety. Miał już córeczkę Marję, w połowie września urodził mu się syn, Władysław. Potrzeby domowe rosły, a środki na ich zaspokojenie zasychały. Przygniatały go troski, a musiały być bardzo dotkliwe, kiedy on, niedający się im łatwo opanować, pisał do Domeyki: „Ja zdaję się być zdrowy, wszakże niedobrze się mam na umyśle. Czuję się ciągle rozstrojony i drażliwy. Różne smutki, o których byłoby długo pisać, głębiej mi wyrdzały duszę, niż się sam spodziewałem...“ Niepowodzenia jednak nie złamały go na duchu, owszem energja jego w przeciwnościach rosła. Dowiedziawszy się, że w Szwajcarji, w mieście Lausanne, w którym był już kilkakrotnie w przejeździe, jest wolną posadą profesora literatury łacińskiej, postanowił się o nią ubiegać. W tym celu wybrał się tamże w październiku 1838 r. i dzięki życzliwości kilku wpływowych osobistości była rzecz już pomyślnie załatwiona pomimo trudności, jakie wyływały się stąd, że Mickiewicz był emigrantem nie posiadającym praw obywatelskich w Szwajcarji i że był katolikiem, podczas kiedy akademja lozańska była protestancką. Wtem dochodzi go nagle wiadomość z Paryża, że żona poważnie zachorowała i znajduje się w zakładzie dla umysłowo chorych. Cios to był straszny dla prze-

⁵³) Patrz Uwagi Wydawcy w tomie V strona 251.

śladowanego losem czułego męża i ojca, pozbawionego nadto stałych środków utrzymywania rodziny. Pospieszył oczywiście niezwłocznie do Paryża i doczekał się — w połowie maja 1839 roku wyleczenia żony.

Zabrał tedy ją i dzieci i wyruszył do Lausanne, gdzie 1 października otrzymał nominację na profesora tymczasowego z pensją 2700 franków i obowiązkiem wykładania po 4 godziny tygodniowo w gimnazjum⁵⁴⁾ a po dwie w akademji. „Bakalarstwo“, jak mówił, nie odpowiadało jego uzdolnieniu i wielkości, wymagało też dużo pracy przygotowawczej — a jednak było ono poniekąd odetchnieniem dla niego i rodziny. Wykłady jego „ściągają coraz więcej słuchaczy i zachwycają coraz bardziej tych, co mogą najlepiej o nich sądzić“. W uznaniu tych zalet profesorskich zarząd akademji dawał mu wszelkie możliwe ułatwienia i korzyści i wprost rzewnie błagał, aby zechciał pozostać na swoim stanowisku. I pod względem towarzyskim miał tu, czego pragnął, serdeczną uprzejmość w rodzinie pp. Jundziłłów i kilku rodzinach szwajcarskich oraz błogi spokój, niezamącony gwarem paryskich zaciekłości politycznych. Przyznaje też sam, że wspominałby swój pobyt w Lozannie „jak raj“, gdyby nie parokrotna choroba żony i dzieci — i gdyby nie tęsknota za ojczyzną. I mamy z tego czasu kilka pieśni⁵⁵⁾, przepojonych wprawdzie rzewną melancholią, ale ślicznych i stwierdzających już tem samem że są, iż czuł się tu swobodniejszym i szczęśliwszym, niż w ostatnich latach przedtem — i potem.

Porzucił Lozannę, aby objąć katedrę literatur słowiańskich w Kolegium Francuskim w Paryżu, świeżo za staraniem księcia Czartoryskiego ustanowioną. Skłoniły go do tego kroku dwoje powodów, obawa, aby dzieci jego nie dostały w Lozannie grasującego tamże nagminnie wola i aby na ważny postereunek w Paryżu nie wysunięto jakiego wroga polskości. Dnia 22 grudnia 1840 r. odbyła się pierwsza lekcja przy ogromnym napływie słuchaczy, pomiędzy którymi znajdowali się najznakomitsi przedstawiciele literatury francuskiej. Wykład, wygłoszony po francusku wywołał ogólne zadowolenie i wielkie pochwały w dziennikach francuskich. Po-

⁵⁴⁾ Początkowo miał miewać w gimnazjum po 8 godzin tygodniowo, ale na jego wniosekniżono mu je na połowę.

⁵⁵⁾ Wiersze: Nad wodą wielką i czystą — Gdy tu mój trup — Polały się łzy — Ach już w rodzicielskim domu.

nieważ w dwa dni później, w Wigilię przypadały imieniny Mickiewicza, wydali rodacy na cześć jego wieczerzę wigilijną a nazajutrz urządził Eustachy Januszkiewicz, księgarz-wydawca w tym samym celu obiad składkowy, pamiętny dla oceny stosunku Juliusza Słowackiego do naszego wieszcz.

Słowacki, syn zasłużonego profesora literatury polskiej w Krzemieńcu, urodzony 4 września 1809 r., czuł się przez Mickiewicza o tyle pokrzywdzonym, że on chciał być największym poetą w narodzie, aby tą swoją sławą uczcić matkę swoją, którą ubóstwiał. Miał do Adama i z tego powodu żal, że tenże przedstawił w III części *Dziadów* ojczyzna jego, dr. Becu, w niepochlebnem świetle jako zausznika Nowosilcowa, jakkolwiek poeta przez delikatność nie wymienił nazwiska jego. Otóż będąc w Paryżu wziął Słowacki udział w owym obiedzie. „Bawiono się wybornie. Chopin grał na fortepianie, Edmund Lariss, późniejszy szwagier Eustachego śpiewał tym głosem, który za duszę chwytał. Nastąpiła biesiada. Nasamprzód „z wieku i z urzędu“, żeby mówić z Panem Tadeuszem, zabrał głos pan marszałek nowogrodzki⁵⁶⁾. Naraz powstał Słowacki, aby improwizowanym wierszem oddać hołd „pierwszemu ze wszystkich wieszczów słowiańskich“. Zaczął od sławienia i błogosławienia, a skończył na żalach, na skargach namiętnych, wymawiał wieszczowi lekceważenie współzawodników, i „laur jego obmył w słów ognistych deszczu“⁵⁷⁾. Na to wyzwanie odpowiedział Mickiewicz improwizacją pełną upomnienia ale zarazem wielkiej czułości dla Juliusza; przypomniał, że jego matce jeszcze na Litwie przepowiedział przyszłą sławę syna i zakończył słowami:

Wiedźcie, że dla poety jedna tylko droga.

W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga.

Zdało się, że jakaś dziwna światłość otoczyła skronie mistrza. „Całe zgromadzenie osłabiało, zbladło, oczy wytrzeszczyło i po chwili wszyscy w płacz, w uściskania — pisze Stefan Zan do Domeyki. — Co to było za wrażenie, co za entuzjazm, daremnie z tego zdawać sprawę. On w tym dniu słowem

⁵⁶⁾ Kaszyc, na którego Mickiewicz dzieckiem spoglądał „jak na potentata“, nieco podejrzliwy, wielce ostrożny, wybredny smakosz, znany w emigracji jako „Talleyrand w łapciach“.

⁵⁷⁾ Niesłusznie, gdyż Mickiewicz był dla wszystkich swoich kolegów po piórze życzliwie usposobiony, upatrując w nich nie współzawodników, lecz współpracowników na niwie narodowej.

swojem, raczej czynem wszystkich niewiernych podbił pod swe nogi i w okamgnieniu nadzwyczajne zdziałał nawrócenie. Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy takiego ducha silnego ma choć jedno jej dziecko“. Jeszcze w 20 i w 30 lat po tym pamiętnym wieczorze najspokojniejsi, najzimniejsi z jego uczestników mówili o tej improwizacji z jakimś mistycznym zachwytem. Jedno tylko smętne serce Juljusza wyniosło z tej chwili gorycz beżmierną⁵⁸⁾.

W Nowy Rok, po drugiej lekcji odbyła się druga uczta, podczas której wręczono Mickiewiczowi srebrny puchar pamiątkowy. Improwizował on znowu, ale ponieważ w tej improwizacji padły słowa odnoszące się do ewentualnych przyszłych form rządu w Polsce, na które się wszyscy nie zgadzali, przysło uczucie zgody i miłości. Co gorsza, zaczęto przenosić niezadowolenie z rzekomych przekonań politycznych Mickiewicza na jego wykłady. Podczas więc kiedy Francuzi zachwycali się ich treścią i formą, Polacy szukali w nich kamienia obrazy w rozprawach prywatnych i partyjnych oraz w gazetach emigracyjnych i wielkopolskich. W rzeczy samej nie odznaczały się te wykłady profesorską erudycją i systematycznością, ale za to dawały genialne poglądy na właściwości odnośnych narodów słowiańskich w ich życiu politycznem i społecznem oraz w ich twórczości poetyckiej.

Szczęściem był Mickiewicz wyższym ponad partyjne zaczepki podjazdowe; przechodził koło nich z istotnie stoickim spokojem. Tem żywiej przejmuje się on smutkami domowymi, których mu Opatrzność nie szczędziła. Szczególnie nawiedzały rodzinę jego choroby, a żonę trzeba było znów oddać do domu obłąkanych. W tym czasie najcięższego przygnębienia przychodzi do niego rodak z Litwy, Andrzej Towiański, wyjawia mu pewne szczegóły jemu samemu tylko, jak sądził, wiadome i zapowiada, że wyleczy jego żonę. W rzeczy samej uchwyciwszy ją za rękę i szepnąwszy jej kilka słów do ucha, przywrócił jej równowagę umysłową. Od tej chwili pozostaje Mickiewicz przez kilka lat całkowicie pod jego wpływem.

⁵⁸⁾ Wylał ją poczęści w Benio wskim a do Krasińskiego napisał: „Podajmy sobie ręce i wysadźmy z Parnasu pijanego barda litewskiego“, nie przewidując, że i z Krasińskim wkrótce doprowadzi do równie gwałtownego zerwania.

Towiański był równocześnie z Mickiewiczem na uniwersytecie wileńskim, nie utrzymywał jednak z filomatami stosunków towarzyskich ani koleżeńskich, przeciwnie należał do Antyszubrawców, względnie do Towarzystwa literackiego, zwalczanego przez filomatów. Nie ukończywszy studjów przeszedł do sądownictwa wileńskiego, gdzie pozostał aż do powstania listopadowego. Nie brał w niem udziału, przeciwny uprzedzaniu wyroków Bożych, ale dawał powstańcom potajemnie pomoc. Po upadku powstania porzuca urząd i wyjeżdża do Petersburga w celach dziś bliżej nieznanych a odziedziczywszy po śmierci ojca majątek rodzinny, Antoszwińce, rozwija gorliwą akcję w kierunku społecznym i religijno-moralnym. Poza tem zatapia on się w mistycznym dociekaniu stosunku stworzenia do Stwórcy i tworzy swoistą teorię, nie we wszystkiem zgodną z nauką Kościoła. Wychodzi on z założenia, że Bóg oddziaływa ustawicznie bezpośrednio na dzieje ludzkości, że świat się stale udoskonala a mianowicie duchy, które są jego treścią istotną, wcielając się nie tylko w ludzi, lecz także w zwierzęta a nawet w kamienie. Duchy mogą się udoskonalać tylko w ciele, wyszedłszy z ciała otaczają ziemię aż do chwili ponownego wcielenia się, łącząc się z duchami odnośnego stopnia w osobne wspólnoty, w tak zwane kolumny. Kolumny duchów grzesznych jako cięższe są bliżej ziemi i odcinają ją od słońca łaski, niby ciemno chmury. Otaczające ziemię duchy starają się oddziaływać na człowieka, który ulega ich wpływom. Ale w dziejach bywają chwile, że ogół ludzkości uświadamia sobie obrzydliwość zła i wybucha tęsknotą za wielką przemianą; wtedy układa się kolumna światła „ze Świętych Pańskich złożona, na której czele jest sam Bóg“, po której spływa na ziemię zalew łaski. Taki zlew łaski sprowadził Chrystus, który wyznaczył siedm epok na przebieżenie dzieła udoskonalenia ludzkości. Pierwszym z siedmiuznaczonych przez Chrystusa posłańców jest Towiański. Praktycznym wynikiem tej doktryny jest dążność do bezwzględnego chrześcijaństwa, do wprowadzenia w życie wskazań Ewangelji bez kompromisów.

Otrzymałszy rzekomo objawienie z Nieba, żeby szerzyć Królestwo Boże opuścił nieletnie dzieci i dobrze zagospodarowany majątek i udał się wózkem, sam popędzając konie na zachód. W Poznaniu oznajmił swoje posłannictwo ks. arcy-

biskupowi Duninowi, ale nie znalazł u niego wiary. Przybył tedy w połowie grudnia 1840 r. do Paryża, właśnie na dni pogrzebu Napoleona, którego duchowi przypisywał poważne znaczenie w dziejach przyszłego doskonalenia się świata. Nie zatrzymując się tu jednak długo zwrócił się do Belgii, do generała Skrzyneckiego, na którym siłą swojego uduchownienia taki wywarł urok, że tenże chciał przed nim klękać w błocie na ulicy; zwiedził z nim pole bitwy pod Waterloo, którą uważał za Wielki Piątek Francji, narodu-Chrystusa — ale starania, żeby pozyskać generała dla swojej sprawy speliły ostatecznie na niczem, owszem tenże przestrzegł nawet Mickiewicza przed samozwańczym posłannikiem Bożym. Niestety, ostrzeżenie przyszło za późno. Od sierpnia 1841 r. był wieszcz już całkowicie pod wpływem „mistrza Andrzeja”. Nie trudno to wytłumaczyć. Wszak prądy mistyczne nurtowały w umysłowości Mickiewicza już z dawna; i wiara w obcowanie duchów z światem zmysłowym i w ich oddziaływanie na człowieka były mu, jak wykazują dzieła jego, wspólne z Towiańskim taksamo jak wysuwanie obowiązku odrodzenia wewnętrznego narodu jako nieodzownego warunku jego odrodzenia politycznego. A ponieważ żywa, subtelna wyobraźnia wieszczka przedstawiała mu nieraz obrazy tak plastyczne, że mogły uchodzić za objawienia ważnych zdarzeń przyszłych, wierzył w natchnienia i wizje. Jeżeli nadto uwzględnimy bezwzględną pewność, z jaką „mistrz” występował, wyjawienie tajemnic osobistych Adama i uleczenie jego żony a nadto stanowczą zapowiedź rychłego końca niewoli narodowej: łatwo zrozumieć oświadczenie poety, że wiara jego w słowa mistrza była wynikiem całego jego życia, wszystkich usposobień i prac duchowych. Uwierzywszy zaś w to posłannictwo, stał się Mickiewicz najgorliwszym apostołem mistrza, ku wielkiej szkodzi własnej i narodowej.

Pominąwszy nadmierne wysiłki fizyczne i umysłowe, z jakimi to żarliwe apostołstwo było połączone, pociągnęło ono za sobą bardzo bolesne dla poety oziębienie stosunków z dotychczasowymi przyjaciółmi, ściągnęło nań jako na towiańszczyka podejrzenia o dążności moskalofilskie⁵⁹⁾; wywołało rozterkę z przedstawicielami Kościoła, o ile że posuwano coraz

⁵⁹⁾ Towiański nie był może moskalofilem, ale ulegał prądom słowianofilskim; uczucia narodowo-polskie nie znajdowały w duszy jego dostatecznego oddźwięku, owszem chciał przeprowadzić swoją „sprawę z Rosją” względnie z jej monarchiami.

dalej nowatorstwa dogmatyczne i liturgiczne⁶⁰). Ostatecznie wystąpił Mickiewicz 19 marca 1844 r. publicznie na lekcji z ostrą krytyką kościoła urzędowego i polityki urzędowej, ogłaszając się apostołem Towiańskiego, którego rząd francuski przed dwoma laty wydał⁶¹); dnia 28 maja zaś wniósł na lekcji toast na cześć Napoleona, co było prawie że prowokacją ówczesnego rządu. W odpowiedzi na to wyzwanie zawiesił rząd jego wykłady mianując w jego miejsce innego profesora a Towarzystwo historyczno-literackie, którego był prezesem, zniewoliło go do złożenia tego urzędu.

Nastąpiły dla poety czasy bardzo ciężkie: rodzina bez dostatecznych środków utrzymania, w kole rozłam, z mistrzem rozdźwięk, który się kończy zupełnem zerwaniem stosunków — ale duch pomimo wszystko zawsze sprężysty i żądny czynów. W styczniu 1848 r. widzimy go w Rzymie, gdzie na dwukrotnej audjencji wzywa Piusa IX, aby wziął inicjatywę w odrodzeniu stosunków politycznych i w szerzeniu idei miłości. Papież udzielił mu błogosławieństwa, ale nie dał się oczywiście wciągnąć w fantastyczne plany mistyka marzyciela. Zabrał się tedy energicznie do tworzenia legjonu polskiego, który miał pod sztandarem narodowym walczyć o niepodległość włoską przeciw Austriakom. Odprowadziwszy jego zawiazki do Medjolanu, wrócił do Francji, skąd wysłał do Włoch jeszcze cztery oddziały liczące po stokilkadziesiąt osób. Ostatecznie zabrakło pieniędzy na utrzymanie legjonu i na wprowadzenie go do Galicji.

Nadzieje Mickiewicza ożywiły się, kiedy w grudniu 1848 roku Ludwik Napoleon został prezydentem Francji. Sądził on, że nadeszła pora odrodzenia Europy, a chcąc w tym kierunku współdziałać, założył w marcu 1849 r. dziennik polityczny *La tribune des peuples* (Trybuna Ludów), poświęcony sprawie wolności narodów, w szczególności tych, co swoją samodzielność utracili. Artykuły jego propagowały pewnego rodzaju mistyczny socjalizm, mając na widoku przede wszystkim wewnętrzną poprawę człowieka a usuwając kwestje materialne na dalszy plan; wzywał jednak, aby lud,

⁶⁰) Jeszcze w Antoszwińcach uprawiał Towiański z chłopami osobne nabożeństwa z odrębnymi ceremonjami; teraz wystąpiły w gronie jego wyznawców dążenia do wprowadzenia własnych sakramentów.

⁶¹) Wydalony roku 1843 z Francji udał się Towiański do papieża Grzegorza XVI. a gdy i tenże go z granic swojego państwa wydał, osiadł w Szwajcarii.

nie oglądając się na arystokrację i wyższą hierarchję, wybierał swoich przedstawicieli z pośród siebie. Ta agitacja nie była na rękę rządowi i trzeba było zaprzestać współpracy w dzienniku, aby nie zostać wydalonym z Francji. W r. 1852 został on stanowczo usunięty z profesury i zostawiono mu posadę bibliotekarza arsenału z mieszkaniem i 2000 franków rocznej pensji.

W marcu 1855 r. utracił żonę; w pół roku później wysłał go rząd francuski do Carogrodu, żeby zbadać stosunki panujące w pułkach kozackich, formowanych przez Michała Czajkowskiego i kwestję ich zużytkowania w wojnie krymskiej. Tu zachorował śmiertelnie. Dnia 26 listopada po cierpieniach nocy poprzedniej czuł się lepiej i był dość wesoły i opowiadał, że się zaczął uczyć po turecku dodając: „Lękam się tylko, by się ze mną tak samo nie stało, jak z jednym z królów naszych, o którym kronika mówi, że już nieźle sylabował, kiedy go śmierć zaskoczyła“. Potem mówił wiele o wojnie bieżącej i uważał, iż każdy z polskich emigrantów powinien w niej brać udział, oświadczając dosłownie: „Ja w tem przekonaniu opuszczałem Francję, powiedziałem ja sobie: gdybym wiedział nawet, że w Turcji mam gdzieś umrzeć na cholere, jadę jednak, bo tam dziś jest moja powinność, wolę bowiem być pisarzem w jakimś pułku kozaków polskich, niż kanclerzem instytutu francuskiego“. Wreszcie mówił wiele o swoich dzieciach i zakończył o najmłodszym, w którym wiele widział rzeczy uderzających na wiek jego dziecinny. Około pół 12 uczuł mdłości i lekkie rozwolnienie i położył się na łóżku, ale ani on sam ani jego przyjaciele nie byli zatrwożeni. Pod wieczór stwierdzono cholerę. Mickiewicz dowiedziawszy się o swoim groźnym stanie kazał przywołać ks. Ławrynowicza, Litwina i dał zlecenie towarzyszowi: „Powiedz moim dzieciom, niech się zawsze kochają między sobą“. Przybyło jeszcze trzech lekarzy i zrobiono mocne nacierania. Mickiewicz zawołał: „Oni mnie zedrą skórę, jak biednemu pułkownikowi Idzikowskiemu, a ona mi nazad nie porośnie“. O 9 dokończył życia z zupełną przytomnością umysłu, z smutnem wejrzeniem nic nie mówiąc. Ksiądz w ostatnim momencie namazał go olejem świętym. „Zostawił po sobie w spuściznie sześćcioro dzieci i dwie korony, jedną laurową, drugą cierniową“.

Zwłoki zabalsamowano i przewieziono 30 grudnia z honorami wojskowymi przy licznym zbiegu ludności na wojenny okręt francuski a 21 stycznia 1856 złożono je w Paryżu na cmentarzu w Montmorency, obok zwłok żony. W roku 1891 sprowadzono je uroczyście do kraju i pochowano przy grobach królewskich na Wawelu.

Zgasł, ale imię jego żyć będzie po wszystkie czasy we wszystkich narodach cywilizowanych, bo wszystkie one przyswoiły sobie dzieła jego tłumacząc je na język swój. A w narodzie polskim żyć będzie wiecznie duch jego, zaklęty w piśmach jego i będzie ożywiał wszelkie te uczucia szlachetne szczytnego zamięłowania cnoty różnorakiej i najwznioślejszego patriotyzmu, które się złożyły na jego istotę duchową.

Mikołów, w 66-tą rocznicę zgonu wieszczą.

OMYŁKA DRUKARSKA.

Na str. 106 wiersz dziewiąty od dołu ma być:
Gdyż będzie strach z Szerokim spotkać się w ogrodzie.

BALLADY I ROMANSE.

PIERWIOSNEK.

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek, pierwiosnek,
Błysnął ze złotych obsłonek.

JA.

Zawczasnie, kwiatku, zawczasnie!
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światelka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi śronu ząbek,
Lub chłodnej rosy perełka!

KWIATEK.

Dni nasze, jak dni motylka:
Życiem wschód, śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie.

Czy dla bogów szukasz datku,
Czy dla druha lub kochanki —
Upleć wianek z mego kwiatku!
Wianek to będzie nad wianki.

JA.

W podłej trawce, w dzikim lasku
Urosłeś, o kwiatku luby;
Mało wzrostu, mało blasku —
Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzeńki,
 Ni zawoje tulipana,
 Ni lilijowe sukienki,
 Ni róży pierś malowana.

Uplatam ciebie do wianka,
 Lecz skądże ufności tyle?
 Przyjaciele i kochanka
 Czy cię powitają mile?

KWIATEK.

Powitają przyjaciele
 Mnie, wiosny młodej aniołka;
 Przyjaźń ma blasku niewiele
 I cień lubi, jak me ziołka.

Czym kochanki godzien rączek,
 Powiedz, niebieska Marylko!
 Za pierwszy młodości pączek
 Zyskam pierwszą... ach, łzę tylko.

ROMANTYCZNOŚĆ.

Me thinks, I see... Where?
 — In my mind's eyes.

Shakespeare.

Zdaje mi się, że widzę... Gdzie?
 Przed oczyma duszy mojej.

„Słuchaj, dziewczeczko!”

— Ona nie słucha. —

„To dzień biały, to miasteczko,
 Przy tobie niema żywego ducha!
 Co tam wkoło siebie chwytasz?
 Kogo wołasz, z kim się witasz?”

— Ona nie słucha. —

To, jak martwa opoka,
 Nie zwróci w stronę oka,
 To strzela wkoło oczyma,
 To się łzami zaleje —
 Coś niby chwyta, coś niby trzyma,
 Rozpłacze się i zaśmieje.

„Tyżeś to, w nocy? To ty, Jasieńku!
Ach, i po śmierci kocha!
Tutaj, tutaj! Pomaleńku!
Czasem usłyszysz macocha...

Niech sobie słyszy! Już niema ciebie!
Już po twoim pogrzebie!
Ty już umarłeś? Ach, ja się boję!
Czego się boję mego Jasieńka?
Ach, to on! Lica twoje, oczki twoje,
Twoja biała sukienka,

I sam ty biały, jak chusta,
Zimny... Jakie zimne dłonie!
Tutaj połóż, tu, na łonie!...
Przyciśnij mnie, do ust usta!

Ach, jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś!... Tak... dwa lata!
Weź mię — ja umrę przy tobie!...
Nie lubię świata.

Źle mnie w złych ludzi tłumie!
Płaczę — a oni szydzą;
Mówię — nikt nie rozumie;
Widzę — oni nie widzą!

Śród dnia przyjdź kiedy!... To może we śnie?
Nie, nie... trzymam ciebie w ręku...
Gdzie znikasz, gdzie, mój Jasieńku!
Jeszcze wcześniej, jeszcze wcześniej!

Mój Boże! Kur się odzywa,
Zorza błyska w okienku...
Gdzie znikłeś? Ach, stój, Jasieńku!
Ja nieszczęśliwa!..."

Tak się dziewczyna z kochankiem pieści,
Bieży za nim, krzyczy, pada...
Na ten upadek, na krzyk boleści,
Skupia się ludzi gromada.

„Mówcie pacierze! — krzyczy prostota —
Tu jego dusza być musi.
Jasio być musi przy swej Karusi,
On ją kochał za żywota“.

I ja to słyszę, i ja tak wierzę;
Płaczę i mówię pacierze.

„Słuchaj, dziewczeczko! — krzyknie śród zgiełku
Starzec i na lud zawoła:
Ufajcie memu oku i szkiełku,
Nic tu nie widzę dokoła!

Duchy karczemnej tworem gawiedzi,
W głupstwa wywarzone kuźni.
Dziewczyna duby smalone bredzi,
A gmin rozumowi bluźni“.

„Dziewczyna czuje — odpowiadam skromnie —
A gawieź wierzy głęboko;
Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.

Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu;
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce —
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu...
Miej serce i patrzaj w serce!“

ŚWITEŻ.

BALLADA DO MICHAŁA WERESZCZAKI.

Ktokolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie,
Do Płuzyn ciemnego boru
Wjehawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteż tam jasne rozprzestrzenia łona
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczernioną,
A gładka, jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się doba
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą, i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklanna z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklanne stopy
Aż do nóg twoich ugina —

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga.
W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie uludzi;
Lecz, żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce,
Jakie się larwy szamocą!
Drzę cały, kiedy bają o tem starce,
I strach wspominać przed nocą...

Nieraz śród wody gwar, jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgłęb walczących, i wrzaski niewieście,
I dzwonów gwałt, i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza
I dziewic żałośnie modły.

Co to ma znaczyć? Różni różnie plotą;
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie.
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Z dawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w bliskiem robić mieście
I wielkie sypał wydatki;
Związano niewód, głęboki stóp dwieście,
Budują czołny i statki.

Ja ostrzegałem, że w tak wielkiem dziele,
Dobrze, kto z Bogiem poczyną.
Dano więc na mszę w niejednym kościele
I ksiądz przyjechał z Cyryna.

Staął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił.
Pan daje hasło — odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.

Topi się, pławki na dół z sobą spycha,
(Tak przepaść wody głęboka)
Prężą się liny, niewód idzie z cicha;
Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciagną ostatek wycierzy...
Powiem-że, jakie złowiono straszdyło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże: nie straszdyło wcale,
Żywa kobieta w niewodzie!
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży, a gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:

„Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści;
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

I ty, zuchwały, i twoja gromada
Wrazbyście poszli w głębinie.
Lecz, że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie —

Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz, żeście z Bogiem poczęli,
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje tej cudnej topieli.

Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

Świteż, i w sławne orężem ramiona,
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.

Nie ćmił widoku ten ostep ponury;
Przez żyzne wskroś okolice
Widać stąd było nowogródzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

Raz niespodzianie obległ tam Mendoga
Potężnem wojskiem car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
„Tuhanie! W tobie obrona stolicy —
Śpiesz, zwołaj twe towarzysze!”

Skoro przeczytał Tuhan list książęcy
I wydał rozkaz do wojny,
Staneło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

Uderzą w trąby, rusza młodź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec —
Lecz Tuhan stanie, i ręce załamie,
I znowu jedzie na dworzec.

I mówi do mnie: „Jaż własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsiecz?
Wszak wiesz, że Świteż niema innych szaińców,
Prócz naszych piersi i mieczy.

Jeśli rozdzielię szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A, jeśli wszyscy pociągnięciem na boje,
Jak będą córzy i żony?”

„Ojcze — odpowiem — lękasz się niewcześnie.
Idź, kędy sława cię woła!
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego anioła.

Okrzył Świtez miecza błyskawicą
I nakrył złotemi pióry
I rzekł mi: Póki męża za granicą,
Ja bronie żony i córy“.

Usłuchał Tuhan i za wojskiem goni.
Lecz, gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdala, szczęk i tentent koni
I zewsząd straszny wrzask: „Ura!“

Zagrzmiały tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

„Gwałtu! — wołają — zamykajcie bramę!
Tuż, tuż za nami Ruś wali!
Ach! Zgińmy lepiej, zabijmy się same!
Śmierć nas od hańby ocali“.

Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu;
Miecią bogactwa na stosy,
Przynoszą żagwie i płomień do gmachu
I krzyczą strasznemi głosy:

„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!“
Broniłam, lecz próżny opór...
Klęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topór.

Gotowa zbrodnia... Czyli wezwać hordy
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnemi wytepić się mordy?
„Panie — zawołam — nad pany,

Jeśli nie mogę ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u Ciebie!
Niechaj nas lepiej Twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie!“

Wtem jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną...
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy —
Już ziemi niema pode mną.

Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi...

Widzisz to ziele dokoła?

To są małżonki i córki Świtezi,

Które Bóg przemienił w zioła.

Białawem kwieciem, jak białe motylki,

Unoszą się nad topielą;

List ich zielony, jak jodłowe szpilki,

Kiedy je śniegi pobielą.

Za życia cnoty niewinnej obrazy,

Jej barwę mają po zgonie;

W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,

Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

Doświadczył tego car i ruska zgraja.

Gdy, piękne ujrzawszy kwiecie,

Ten rwie i szyszak stalony umaja,

Ten wianki na skronie plecie —

Kto tylko ściągnął do głębini ramie,

Tak straszna jest kwiatów władza,

Że go natychmiast choroba wyłamie

I śmierć gwałtowna ugadza.

Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,

Pozostał sam odgłos kary;

Dotąd w swych baśniach prostota go święci

I kwiaty nazywa *cary*“.

To mówiąc, pani zwolna się oddala;

Topią się statki i sieci,

Szum słychać w puszczy, poburzona fala

Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło nakształt rowu,

Lecz próżno za nią wzrok goni:

Wpadła i falą nakryła się znowu,

I więcej nie słychać o niej.

ŚWITEZIANKA.

BALLADA.

Jakiż-to chłopiec, piękny i młody,

Jaka-to obok dziewica

Brzegami sinej Świtezi wody

Idą przy świetle księżyca?

Ona mu z kosza daje maliny,

A on jej kwiatki do wianka;

Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny,

Pewnie to jego kochanka.

Każdą noc prawie, o jednej porze,

Pod tym się widzą modrzewiem.

Młody jest strzelcem w tutejszym borze —

Kto jest dziewczyna? Ja nie wiem.

Skąd przysła? — darmo śledzić kto pragnie,

Gdzie uszła? — nikt jej nie zbada.

Jak mokry jaskier, wschodzi na bagnie,

Jak ognik nocny, przepada.

„Powiedz mi piękna, luba dziewczyno,

Naco nam te tajemnice?

Jaką przybiegłaś do mnie drożyną?

Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?

Minęło lato, żółkniały liścia

I dżdżysta nadchodzi pora;

Zawsze mam czekać twojego przyjścia

Na dzikich brzegach jeziora?

Zawszeż po kniejach, jak sarna płocha,

Jak upiór, błądzisz w noc ciemną?

Zostań się lepiej z tym, kto cię kocha,

Zostań się, o luba, ze mną!

Chateczka moja stąd niedaleka,

Pośrodku gęstej leszczyny;

Jest tam dostatkiem owoców, mleka,

Jest tam dostatkiem zwierzyny“.

„Stój, stój — odpowie — hardy młokosie!

Pomnę, co ojciec rzekł stary:

„Słowicze wdzięki w męczyzny głosie,

A w sercu lisie zamiary“.

Więcej się waszej obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapaly...
Możebym prośby przyjęła twoje,
Ale — czy będziesz mnie stały?"

Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świetnym księżycu blasku...
Lecz czy dochowa przysięgi?

„Dochowaj, strzelcze, to moja rada;
Bo, kto przysięgę naruszy,
Ach, biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!"

To mówiąc, dziewczka więcej nie czeka;
Wieniec włożyła na skronie
I, pożegnawszy strzelca z daleka,
Na zwykle uchodzi błonie.

Próżno się za nią strzelec pomyka;
Rączył wybiegom nie sprostał:
Znikła, jak lekki powiew wietrzyka,
A on sam jeden pozostał.

Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grzązka,
Cisza wokoło, tylko pod nogą
Zwiędła szeleszcze gałązka.

Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędni strzela oczyma.
Wtem wiatr zaszumiał po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma, pękają tonie...
O niesłychane zjawiska!
Ponad srebrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska!

Jej twarz, jak róży bladej zawoje,
Skropione jutrzenki leżką;
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiałą postać niebieską.

„Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody!
— Zanuci czule dziewica —
Poco wokoło Świtezi wody
Bładzisz przy świetle księżycy?

Poco żałujesz dzikiej wietrznicy,
Która cię zwabia w te knieje,
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy,
I może jeszcze się śmieje?

Daj się namówić czułym wyrazem,
Porzuć wzdychania i żale!
Do mnie tu, do mnie! Tu będziem razem
Po wodnym płasać kryształe.

Czy zechcesz, niby jaskółka chybka,
Oblicze tylko wód muskać,
Czy, zdrów jak rybka, wesół jak rybka,
Cały dzień ze mną się pluskać.

A na noc w łożu srebrnej topieli
Pod namiotami zwierciadeł,
Na miękkiej wodnych lilijek bieli
Śród boskich usnać widziadeł“.

Wtem z zasłon błysną piersi łabędzie...
Strzelec w ziemię patrzy skromnie —
Dziewica w lekkim zbliża się pędzie,
I: „Do mnie — woła — pójdz do mnie!“

I, na wiatr lotne rzuciwszy stopy,
Jak tęcza, śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srebrnemi pryska kropelki.

Podbiega strzelec — i staje w biegu —
I chciałby skoczyć — i nie chce.
Wtem modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Z lekka mu w stopy załechce.

I tak go łechce, i tak go znęca,
Tak się w nim serce rozplywa,
Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ściśnie kochanka wstydliva.

Zapomniał strzelec o swej dziewczynie,
Przysięgą pogardził świętą —
Na zgubę oślepił bieży w głębinie,
Nową zwabiony ponętą.

Bieży i patrzy, patrzy i bieży —
Niesie go wodne przestworze...
Już zdala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średnim igra jeziorze.

I już dłoń śnieżną w swej ciśnie dłoni,
W pięknych licach topi oczy,
Ustami usta różane goni
I skoczne okręgi toczy.

Wtem wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzącym krył blasku...
Poznaje strzelec dziewczynę z bliska!
Ach, to dziewczyną z pod lasku!

„A gdzie przysięga? Gdzie moja rada?
Wszak, kto przysięgę naruszy,
Ach, biada jemu, za życia biada
I biada jego złej duszy!

Nie tobie igrać przez srebrne tonie,
Lub nurkiem pluskać w głąb jasną!
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną,

A dusza przy tem świadomem drzewie
Niech lat doczeka tysiąca,
Wiecznie piekielne cierpiąc żarzewie
Nie ma czem zgasić gorąca“.

Słyszysz to strzelec, błędny krok niesie,
Błędniemi rzuca oczyma,
A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca,
Roztwiera paszczę otchłań podwodna —
Ginie z młodzieńcem dziewica.

Woda się dotąd burzy i pieni,
Dotąd przy świetle księżyca
Snuje się para znikomych cieni;
Jest to z młodzieńcem dziewczica.

Ona po srebrnem płasza jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem.
Któż jest młodzieniec? Strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? Ja nie wiem.

RYBK A.

BALLADA.

Od dworu, z pod lasa, z wioski,
Smutna wybiega dziewczica,
Rozpuściła na wiatr włoski
I łzami skropiła lica.

Przybiega na koniec łączki,
Gdzie w jezioro wpada rzeka;
Załamuje białe rączki
I tak żałośnie narzeka:

„O wy, co mieszkacie w wodzie,
Siostry moje, Świtezianki,
Słuchajcie w ciężkiej przygodzie
Głosu zdradzonej kochanki!

Kochałam pana tak szczerze —
On mię przysięgał zaślubić...
Dziś księżnę za żonę bierze,
Krysię ubogą chce zgubić.

Niechże sobie żyją młodzi,
Niech się z nią obłudnik pieści —
Niech tylko tu nie przychodzi
Urażać się z mych boleści!

Dla opuszczonej kochanki
Cóż pozostało na świecie?
Przyjmijcie mię, Świtezianki!
Lecz moje dziecię... ach, dziecię!”

To mówiąc, rzewnie zapłaczę,
Rączkami oczy zasłoni
I z brzegu do wody skacze
I w bystrej nurza się toni.

Wtem z lasu, gdzie się dwór bieli,
Tysiączne świecą kagańce,
Zjeżdżają goście weseli,
Muzyka, hałas i tańce.

Lecz mimo tego hałasu
Płacz dziecięcia słychać w lesie;
Wierny sługa wyszedł z lasu
I dziecię na rękę niesie.

Ku wodzie obraca kroki,
Gdzie łoża, gęsto spleciona,
Wzdłuż wykręconej zatoki
Okryła rzeki ramiona.

Tam staje w ciemnym zakątku,
Płaczę i woła: „Niestety!
Ach, któż da piersi dzieciątku?
Ach, gdzie ty, Krysiu? Ach, gdzie ty?”

„Tu jestem, w rzece, u spodu,
— Cichy mu głos odpowiada —
Tutaj drzę cała od chłodu,
A żwir mnie oczki wyjada.

Przez żwir, przez ostre kamuszki
Fale mnie gwałtownie niosą;
Pokarm mój: koralki, muszki —
A zapijam zimną rosą“.

Lecz sługa, jak na początku,
Tak wszystko woła: „Niestety!
Ach, któż da piersi dzieciątku?
Ach, gdzie ty, Krysiu? Ach, gdzie ty?”

Wtem się coś z lekka potrąci
Śród kryształowej przezroczy —
Woda się z lekka zamąci,
Rybka nad wodę podskoczy.

I, jak skałka płaskim bokiem,
Gdy z lekkich rąk chłopca pierzchnie,
Tak nasza rybka podskokiem
Mokre całuje powierzchnie.

Złotemi plamki nadobna,
Kraśne ma po bokach piórka,
Główka, jak naparstek, drobna,
Oczko drobne, jak paciórka.

Wtem rybią łuskę odwinie,
Spójrzy dziewicy oczyma,
Z głowy jasny włos wypłynie,
Szyjka cieniuchna się wzdyma.

Na licach różana krasa,
Piersi, jak jabłuszka mleczne,
Rybią ma płetwę do pasa,
Płynie pod chrósty nadrzeczne,

I dziecię bierze do ręki,
U łona białego tuli:
„Luli — woła — mój maleńki!
Luli, mój maleńki, luli!”

Gdy dziecię płakać przestało,
Zawiesza kosz na gałęzi,
I znowu ściska swe ciało,
I główkę nadobną zwięzi.

Znowu ją łuski powleką,
Od boków wyskoczą skrzelki,
Plusła — i tylko nad rzeką
Kipiące pękły bąbelki.

Tak co wieczora, co ranka,
Gdy sługa stanie w zakątku,
Wraz wypływa Świtezianka,
Żeby dać piersi dzieciątku.

Zacóż jednego wieczora
Nikt nie przychodzi na smugi?
Już zwykła przemija pora
Nie widać z dziecięciem sługi.

Nie może on przyjść tą stroną,
Musi zaczekać troszeczkę,
Bo właśnie teraz pan z żoną
Poszli przechadzką nad rzeczkę.

Wrócił się, czekał z daleka,
Za gęstym usiadłszy krzakiem;
Lecz próżno czeka i czeka,
Nikt nie powracał tym szlakiem.

Wstaje i dłoń w trąbkę zwinął,
I patrzył przez palców szparę;
Ale i dzień już przeminął
I mroki padają szare.

Czekał długo po zachodzie,
A gdy noc gwiazdy zapala,
Zbliża się z lekka ku wodzie
I śledzi oczyma zdala.

Przebóg! Cudy, czy moc piekła?
Uderza go widok nowy:
Gdzie pierwszej rzeczulka ciekła,
Tam suchy piasek i rowy.

Na brzegach porozrzucana
Wala się odzież bez ładu,
Ani pani ani pana
Nie widać nigdzie ni śladu.

Tylko z zatoki połową
Sterczał wielki głazu kawał,
I dziwną kształtu budową
Dwa ludzkie ciała udawał.

Zdumiewa się wierny sługa,
Rozpierzchłych myśli nie złowił;
Przeszła godzina i druga,
Nim wreszcie słówko przemówił.

„Krysiu, o Krysiu!” zawoła;
Echo mu „Krysiu” odpowie.
Lecz próżno patrzy dokoła:
Nikt nie pokazał się w rowie.

Patrzył na rów i na głązy,
Otrze pot na licu zbladłem,
I kiwnie głową trzy razy,
Jakby chciał mówić: „Już zgadłem“.

Dzieciatko na ręce bierze,
Śmieje się dzikim uśmiechem
I, odmawiając pacierze,
Wraca do domu z pospiechem.

POWRÓT TATY.

BALLADA.

„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek,
Tam przed cudownym klękajcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciórki!

Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze...
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze“.

Słyszac to, dziatki biegą wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek,
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciórki.

Całują ziemię, potem. „W imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona, przenaświętsza Trójca,
Teraz i czasu wszelkiego!“

Potem „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś“ i „Wierzę“,
„Dziesięcioro“ i koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki.

I litanją do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem:
„Najświętsza Matko — przyśpiewuj dziatki —
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatami!“

Wtem słyhać turkot: — wozy jadą drogą
I wóz znajomy na przedzie.
Skoczyły dzieci i krzyczą, jak mogą:
„Tato, ach, tato nasz jedzie!”

Obaczył kupiec, lży radosne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
„Ha, jak się macie? Co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot, roznki w koszyku...“
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

„Ruszajcie! — kupiec na sługi zawoła —
Ja z dziećmi pójdę ku miastu“.
Idzie... aż zbójcy obkoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa,
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W rękę ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchlęją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniosł dłonie.

„Ach bierzcie wozy, ach, bierzcie dostate“,
Tylko puszczajcie nas zdrowo!
Nie róbcie małych sierotami dziątek
I młodej małżonki wdową!”

Nie słucha zgraja. Ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie, a drugi:
„Pienędzy“ — krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtem: „Stójcie, stójcie!“ krzyknie starszy zbójca
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca:
„Idźcie — rzekł — dalej bez trwogi!”

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj! Wyznam ci szczerze,
Pierwszybyś palkę strzaskał na twej głowie,
Gdyby nie dziątek pacierze.

Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem —
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

Z dawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj, za miastem, przy wzgórzu, u słupca
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty:
Modlą się dziatki do Boga...
Słucham — z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

Słucham — ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki...
Ach, ja mam żonę, i u mojej żony
Jest synek taki maleńki!...

Kupcze, jedź w miasto, ja do lasu muszę...
Wy, dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciórek!“

KURHANEK MARYLI

ROMANS

(ze śpiewu litewskiego).

CUDZY CZŁOWIEK, DZIEWCZYNA, JAŚ, MATKA, PRZYJACIÓŁKA.

CUDZY CZŁOWIEK.

Tam, u Niemnowej odnogi,
Tam, u zielonej rozłogi
Co to za piękny kurhanek?
Spodem uwieńczon, jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi,
Boki ma strojne murawą,
Głowę ukwieconą w kwiaty,

A na niej czeremchy drzewo,
A od niej idą trzy drogi:
Jedna droga na prawo,
Druga droga do chaty,
Trzecia droga na lewo.
Ja tędy płynę z wiciną...
Pytam się ciebie, dziewczyno,
Co to za piękny kurhanek?

DZIEWCZYNA.

W całej wsi pytaj się, bracie,
A cała wieś powie tobie:
Maryla żyła w tej chacie,
A teraz leży w tym grobie.
Na prawej stronie te śladki
Ubite nogą pastuszka;
To jest drożyna jej matki;
A stąd przychodzi jej družka.
Lecz oto błysnął poranek —
Przyjdą oni na kurhanek,
Ukryj się tu, za stos łomu!
Sam ich posłuchasz niedoli,
Własne twe oczy zobaczą.
Patrz w prawo: — idzie kochanek...
Patrz: — matka idzie z domu...
Patrz w lewo: — przyjaciółka!
Wszyscy idą powoli
I niosą ziółka
I płaczą.

JAŚ.

Marylo! O tej porze
Jeszcześmy się nie widzieli,
Jeszcześmy się nie ścisnęli!...
Marylo! Zaszło zorze!
Tu czeka twój kochanek...
Czy ty przespałaś ranek?
Czy na mnie zagniewana?
Ach, Marylo kochana,
Gdzież się ty dotąd kryjesz?
Nie, nie przespałaś ranka,
Nie gniewasz się na Janka,

Lecz nie żyjesz, nie żyjesz!
Więzi cię ten kurhanek...
Nie ujrzysz już kochanka,
Nie ujrzy cię kochanek!
Dawniej, kiedy spać szedłem, tem słodziłem chwilę,
Że, skoro się obudzę, obaczę Marylę —
I dawniej spałem mile!
Teraz tutaj spać będę, od ludzi daleki...
Może ją we śnie ujrzę, gdy zamknę powieki...
Może zamknę na wieki!
Byłem ja gospodarny, gdy byłem szczęśliwy;
Chwalili mię sąsiedzi,
Chwalił mię ojciec siwy...
Teraz się ojciec biedzi,
A ja ni ludziom, ni Bogu!
Niech ziarno w polu przepadnie,
Niech ginie siano ze stogu,
Niech sąsiad kopy rozkradnie,
Niech trzodę wyduszą wilki!
Niemasz, niemasz Marylki!

Daje mi ojciec chaty,
Daje mi sprzęt bogaty...
Bym wziął w dom gospodynię,
Namawiali mię swaty...

Niemasz, niemasz Maryli!
Swaty nie namówili...
Nie mogę — nie — nie mogę!
Wiem, ojczu, co uczynię:
Pójdę w daleką drogę...
Więcej mnie nie znajdziecie,
Choćbyście i szukali...
Nie będę już na świecie:
Przystanę do Moskali,
Żeby mię wraz zabili...

Niemasz, niemasz Maryli!

MATKA.

Czemuz nie wstałam z rana?
Już w polu pełno ludzi.
Niemasz cię, niemasz, kochana
Marylo! Któż mię obudzi?

Płakałam przez noc całą,
Zasnęłam, kiedy dniało...
Mój Szymon gdzieś już w polu...
Wyprowadził on świtania —
Nie budził mię, mojego litując się bolu,
Poszedł z kosą bez śniadania...
Koś ty dzień cały, koś sobie,
Ja tu leżę na grobie!
Czegoż mam iść do domu?
Kto nas na obiad zawoła?
Kto z nami siądzie u stoła?
Niemasz, ach, nie masz komu!

Pókiśmy mieli ciebie,
W domu było, jak w niebie.
U nas i wieczorynki,
Z całej wsi chłopcy, dziewczki,
Najweselsze zażynki,
Najhuczniejsze dosiewki...
Niemasz cię! W domu pustynie!
Každy, kto idzie, minie...
Zawiasy rdzewieją w sieni,
Mchem się dziedziniec zieleni —
Bóg nas opuścił, ludzie opuścili...
Niemasz, nie masz Maryli!

PRZYJACIÓŁKA.

Tutaj bywało, z ranku
Nad wodą sobie stoim;
Ja o twoim kochanku,
Ty mnie mówisz o moim.
Już więcej z sobą nie będziemy mówili...
Niemasz, nie masz Maryli!
Któż mi zwierzy się szczerze?
Komuż się ja powierzę?
Ach, gdy z tobą, kochanie,
Smutku i szczęścia nie dzielę,
Smutek smutkiem zostanie,
Weselem nie jest wesele.

CUDZY CZŁOWIEK.

Słyszysz to cudzy człowiek,
Wzdycha, i łzy mu płyną...
Westchnął, otarł łzy z powiek
I dalej poszedł z wiciną.

DO PRZYJACIÓŁ

POSYŁAJĄC IM BALLADĘ „TO LUBIĘ“.

Bije raz, dwa, trzy... Już północna pora...
Głuche wokoło zacinze,
Wiatr tylko szumi po murach klasztoru,
I psów szczekanie gdzieś słyszę.

Świeca w lichtarzu dopala się na dnie,
Raz w głębi tłumi ogniska,
Znowu się wzmoże i znowu opadnie,
Błyska, zagasa i błyska.

Straszno! — Nie była straszną ta godzina,
Gdy były nieba łaskawsze...
Ileż mi słodkich chwilek przypomina!...
Precz!... To już znikło na zawsze.

Teraz ja szczęścia szukam, ot, w tej księdze...
Księga znudziła, porzucam;
Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
To marzę, to się ocucam.

Czasem, gdy słodkie złudzi zachwycenie,
Kochankę widzę lub braci;
Zrywam się, patrzę — aż tylko po ścienie
Biega cień własnej postaci.

Ot, lepiej pióro wezmę i wśród ciszy,
Gdy się bez ładu myśl płacze,
Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy —
Zacznę, bo nie wiem, czy skończę.

Może też pamięć o minionej wiosnie
Zimowy wierszyk umili...
Chcę coś okropnie, coś pisać miłośnie
O strachach i o Maryli.

Kto pragnie pędzłem swe rozślawić imię,
Niech jej maluje portrety,
Wieszcz w nieśmiertelnym niech opiewa rymie
Serca, rozumu zalety.

Mnie choć to wszystko w umyśle przytomne,
Pociechy szukam, nie sławy;
Lepiej wam powiem, jeżeli przypomnę,
Jakie z nią miałem zabawy.

Maryla słodkie miłości wyrazi
Dzieliła skąpo w rachubie.
Choć jej kto *kocham* mówił po sto razy,
Nie rzekła nawet i *lubie*.

Za to więc w Rucie pod północną chwilę,
Kiedy się wszyscy spać kładą,
Ja na dobranoc, żegnając Marylę,
Taką straszylem balladą:

Kowno, dnia 27 grudnia.

TO LUBIE.

BALLADA.

Spojrzyj, Marylo, gdzie się kończą gaje:
W prawo łóz gęsty zarostek,
W lewo się piękna dolina podaje,
Przodem rzeczułka i mostek;

Tuż stara cerkiew, w niej puszczyk i sowy,
Obok — dzwonnicy zrąb zgniły,
A za dzwonnica chróśniak malinowy,
A w tym chróśniaku mogiły.

Czy tam bies siedział, czy dusza zakłęta,
Że o północnej godzinie
Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,
Miejsc tych bez trwogi nie minie.

Bo, skoro północ nawlecze zasłony,
Cerkiew się z trzaskiem odmyka,
W pustej zrabnicy dzwonią same dzwony,
W chróstach coś huczy i ksyka.

Czasami płomyk okaże się blady,
Czasem grom trzaska po gromie,
Same się z mogił ruszają pokłady
I larwy stają widomie.

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
To znowu głowa bez ciała;
Roztwiera gębę i wytryszcza oczy,
W gębie i w oczach żar pała.

Albo wilk bieży: pragniesz go odegnać,
Aż orłem skrzydłem wilk macha;
Dość „Zgiń, przepadnij!” wyrzec i przeżegnać,
Wilk zniknie, wrzeszcząc: „Cha, cha, cha!”

Każdy podróżny oglądał te zgrozy
I każdy musiał kłać drogę;
Ten złamał dyszel, ten wywrócił wozy,
Innemu zwichnął koń nogę.

Ja — chociaż, pomnę, nieraz Andrzej stary
Zaklinał, nieraz przestrzegał —
Śmiałem się z djabłów, nie wierzyłem w czary,
Tamtędym jeździł i biegał.

Raz, gdy do Ruty jadę w czas noclegu,
Na moście z końmi wóz staje;
Próżno woźnica przynagla do biegu,
„Hej!” krzyczy, biczem zadaje.

Stoją, a potem skoczą z całej mocy —
Dyszel przy samej pękł szrubie!...
Zostać na polu samemu i w nocy —
„*To lubię* — rzekłem — *to lubię!*”

Ledwień dokończył, aż straszna martwica
Wypływa z bliskich wód toni;
Białe jej szaty, jak śnieg białe lica,
Ognisty wieniec na skroni.

Chciałem uciekać, padłem zalękniony,
Włos dębem stanął na głowie;
Krzyknę: „Niech będzie Chrystus pochwalony!”
„Na wieki wieków” — odpowie. —

„Ktokolwiek jesteś, pocciwy człowieku,
Coś mię zachował od męki,
Dożyj ty szczęścia i późnego wieku!
I pokój tobie i dzięki!

Widzisz przed sobą obraz grzesznej duszy,
Wkrótce się niebem pochlubię,
Boś ty czyścowej zbawił mię katuszy
Tem jednym słówkiem: *To lubię.*

Dopóki gwiazdy zejda i dopóki
We wsi kur pierwszy zapieje,
Opowiem tobie, a ty dla nauki
Opowiedz innym me dzieje!

Onego czasu żyłam ja na świecie,
Marylą zwana przed laty.
Ojciec mój, pierwszy urzędnik w powiecie,
Możny, pocciwy, bogaty,

Za życia pragnął sprawić mi wesele,
A żem dostatnia i młoda,
Zbiegło się zewsząd zalotników wiele —
Posag wabił i uroda.

Mnóstwo ich — marnej pochlebiało dumie,
I to mi było do smaku,
Że, kiedy w licznym kłaniano się tłumie,
Tłumem gardziłam bez braku.

Przybył i Józio; dwudziestą miał wiosnę,
Młody, cnotliwy, nieśmiały;
Obce dla niego wyrazy miłosne,
Choć czuł miłosne zapęły.

Lecz próżno, nędzny, w oczach prawie znika,
Próżno i dzień i noc płacze;
W boleściach jego dla mnie radość dzika,
Śmiech obudzały rozpacz.

„Ja pójdę!“ — mówił ze łzami. — „Idź sobiel“
Poszedł i umarł z miłości.
Tu, nad rzeczułką, w tym zielonym grobie
Złożone jego są kości.

Odtąd mi życie stało się nie lube,
Późne uczułam wyrzuty;
Lecz ani sposób wynagrodzić zgubę,
Ani czas został pokuty.

Raz, gdy się w północ z rodzicami bawię,
Wzmaga się hałas, szum, świsty,
Przyleciał Józio w strasliwej postawie,
Jak potępieniec ognisty.

Porwał, udusił gęszczą dymnych kłębow,
W czyścowe rzucił potoki,
Gdzie pośród jęku i zgrzytania zębów
Takie słyszałam wyroki:

„Wiedziałaś, że się spodobało Panu
Z męża ród tworzyć niewieści,
Na osłodzenie mężom złego stanu,
Na rozkosz — nie na boleści.

Ty jakbyś w piersiach miała serce z glazu.
Ani cię jęki ubodły,
Nikt nie uprosił słodkiego wyrazu
Przez łzy, cierpienia i modły.

Za taką srogość — długie, długie lata
Dręcz się w czyścowej zagubie,
Póki mąż jaki z tamiecznego świata,
Nie powie na cię choć: *lubię*.

Prosił i Józio niegdyś o to słowo,
Gorzkie łzy lał nieszczęśliwy;
Prośże ty teraz nie łzą, nie namową,
Ale przez strachy i dziwy!”

Rzekł — mnie natychmiast porwały złe duchy.
Odtąd już setny rok minie,
W dzień męczą, na noc zdejmują łańcuchy,
Rzucam ogniste głębinie

I w cerkwi, albo na Józia mogile,
Niebu i ziemi obrzydła,
Muszę podróżnych trwożyć w nocne chwile,
Różne udając straszidła.

Idących — w błota zawiodę lub w gaje,
Jadącym — konia uskubię,
A każdy naklnie, nafuka, nałaje;
Tyś pierwszy wyrzekł: *to lubię*.

Za to ci spadnie wyroków zasłona,
Przyszłość z pod ciemnych wskażę chmur:
Ach, i ty poznasz Marylę, lecz ona...
Wtem na nieszczęście zapiał kur.

Skinęła tylko, widać radość z oczek,
Mieni się w parę cieniuchną,
Ginie, jak ginie bładawy obłoczek,
Kiedy zefiry nań dmuchną.

Patrzę, aż cały wóz stoi na łące;
Siadam, powoli strach mija.
Proszę za dusze, w czyścu bolejące,
Zmówić trzy „Zdrowaś Marja“.

PANI TWARDOWSKA

BALLADA.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwałą
Cha, cha! Chi, chi! Hejża! Hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki, jak basza:
„Hulaj, dusza, hulaj!“ — woła,
Śmiesz, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łąje i potraça,
Świsnął szablą koło ucha:
Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału:
Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łaba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął: „Cmoki!“ i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łaba pół beczki.

Wtem, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno... „Co u licha?
Pocoś tu, kumie, zawitał?“

Djablik to był w wódce na dzień!
Istny Niemiec, sztuczka kusa;
Sklonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa

Z kielicha aż na podłogę.
Pada, rośnie na dwa łokcie...
Nos, jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznogie.

„A, Twardowski!... Witam, bracie!“
To mówiąc, bieży obcesem:
„Cóż to, czyliż mię nie znacie?
Jestem Mefistofeilesem.

Wszak ze mną-ś na Łysej Górze
Robił o duszę zapisy!
Cyrograf na byczej skórze
Podpisałeś ty — i bisy

Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiega,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać, jak swego.

Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy;
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży!

Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci:
Ta karczma „Rzym“ się nazywał
Kładę areszt na waszecil“

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie *dictum acerbum*;
Djabel za kontusz ułapił:
„A gdzie jest *nobile verbum*?”

Co tu począć? Kusa rada —
Przyjdzie już nałożyć głowę!...
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową:

„Patrz w kontrakt, Mefistofilu!
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdiesz brać duszę moją,

Będę miał prawo trzy razy
Zaprząć ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.

Patrz, oto jest karczmy godło,
Koń, malowany na płótnie!
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie!

Skręć mi przytem bicz z piasku,
Żebym miał czem konia chłostać,
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać!

Gmach będzie z ziarenek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku;
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

Patrz, oto na miarę świeczek,
Cał gruby, długi trzy cale;
W każde z makowych ziareczek
Wbij mnie takie trzy bratna!e!”

Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy —
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, klusa —
Patrzy, aż i gmach już gotów.

„No, wygrałeś, panie bisie!
Lecz druga rzecz nieskończona:
Trzeba skąpać się w tej misie —
A to jest woda święcona!”

Djabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi:
Skąpał się, biedak, po szyję.

Wyleciał potem, jak z procy,
Otrząśł się: „Dbrum! — parsknął raźnie —
Teraz jużes w naszej mocy,
Najgorętszą-m odbył łaźnię”.

„Jeszcze jedno, będzie kwita!
(Zaraz pęknie moc czartowska!) —
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka, Twardowska.

Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie —
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem, zostanie!

Przysięż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic!
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic!”

Djabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki,
Niby patrzy, niby słucha,
Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha —
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha, tak czmychna.

T U K A J

albo

PRÓBY PRZYJAŹNI

BALLADA (w czterech częściach).

I.

„Ja umieram. — Ja nie płaczę,
I wy chcejcie ulżyć sobie;
Prędzej, później legniem w grobie —
Nie wrócą na świat rozpaczę.
Byłem panem mnogich włości,
Sławny potęgą i zbiorem;
Zamki me stały otworem
Dla przyjaciół i dla gości.
O potęgo! O człowieku!
Wielkie zamki, wielkie imie,
Wielkie nic! Wielkość!... Czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!
Gdy, za mądrości widziałem
Goniąc, zbiegam kraje cudze,
Gdy wzrok nad księgami trudzę,
Skarbnicę nauk posiadam:
O nauki! O człowieku!
Wielka mądrość, wielkie imie,
Wielkie nic! Rozum!... Czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!
Strzegłem ustaw świętej wiary
W duchu i serca prostocie,
Hojnie nagradzałem cnocie,
Kościołom niosłem ofiary...
O pobożności! Człowieku!
Święta wiaro, święte imie,
Święte nic! Cnoto, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!
Twórco, jakże igrasz srodze!
Kiedy mi dasz wiek niedługi,
Cóż, że mi dasz wierne sługi?
Czemże za wierność nagrodzę?
Dasz kochankę kochankowi —
Śmierć truje ślubów słodycze.
I tylu przyjaciół liczę!
Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi!“

Tak na domowników rękę
Tukaj, pośród skarg i jęku
Pożegnawszy świat na wieki,
Gasnące zamknął powieki.

Wtem grom łamie szczyty dachu.
Zadrżały zamkowe ściany,
Jakowyś starzec nieznany
Wlatuje na środek gmachu.
Siwy włos okrył mu skronie,
Twarz marszczkami rozorana,
Broda długa za kolana,
Na kosturze wsparte dłonie.
„Tukaju!“ Porwał z pościeli
I wraz za sobą iść każe.
Już wierzchnie sale minęli,
Minęli wały i strażę.
Idą... ciemno, deszczyk kropi,
A srebrzysta twarz miesiąca
To grubawe mgły roztrąca,
To się znowu we mgle topi.
Idą ponad trzęskie kępy,
Mijają bagna, głębinie,
Hnilicy ciemnej ostępy,
Końdyczewa nurty sinie.
Gdzie puszcza zarosła wkoło,
Spodem czarna, z wierzchu płowa,
Żwirami nasute czoło
Wynosi góra Żarnowa,
Tam szli; starzec klął na grobie,
Rozwarł usta, okiem błysnął,
Podniósł w górę ręce obie,
Trzykroć krzyknął, trzykroć świsnął.
— „Tukaju, patrz: oto ścieżka!
Za ścieżką chatka na bagnie,
W chatce mędrzec Poleł mieszka;
Mędrzec mędrca wspomóc pragnie.
Znana twa nauka, cnota,
Znam, że Bóg, węzły lubemi
Przywiązawszy cię do ziemi,
Długiego nie da żywota.

Ale ruszaj przestrach płony,
Mych sposobów uznaj dzielność
Żyj dla sług, przyjaciół, żony
Lata, wieki, nieśmiertelność.
Ja pierwszy ziemskiemu oku
Śmiej do niej pokazać drogę.
Lecz podług ustaw wyroku
Dwom tylko pokazać mogę.
Wybierz drugiego człowieka,
Człowieka doznanej wiary,
Którymubys w każdej próbie
Tak zaufał, jak sam sobie.
Trafisz — nieśmiertelność czeka;
Chybisz — śmierć i wieczne kary!“
— „Starcze! Twe zjawienia wieszczę
Ciemna zasłona powleka.
Powiedz...“ — „Powiadam ci jeszcze:
Wybierz drugiego człowieka!
Radź się twej głowy i serca!
Idzie o ciało i duszę...
Wierny — albo przeniewierca,
Nieśmiertelność — lub katusze!...
Czy mógłbyś zwierzyć się słudze?...“

Tukaj nic nie odpowiada,
Bo ktoś zgadnie myśli cudze?
Bo zbyt częsta w sługach zdrada.
— „Może kochance lub żonie?“
— „Tak...“ Wtem uciał, patrzy smutnie.
„Tak...“ rzecze i znowu utnie,
Myśli, sam się z sobą biedzi.
„Tak jest, kochance... tak, żonie!“
I wierzy, i strach nań pada,
I wątpi, i wstydem płonie;
Myśli, sam się z sobą biedzi,
Umyślił, już w odpowiedzi,
Już... i nic nie odpowiada.
— „Umrzej więc! Ty śmiałość żądać?
Daj pokój żądaniom dzikim!
Ty nie masz ufności w nikim!
Wartoż dłużej świat oglądać?“

On myśli. — „Nikogoż z wielu?
Sługi, żony, przyjaciela?“ —
On myśli. Tu w mgnieniu oka
Czerni się niebios sklepienie,
Słychać grzmienie, ziemi drżenie,
Kipią bagna, lasy gora,
Niknie w płomieniach opoka
I doliny i jezioro.
Śród gromów, świstu i szczęku,
Czy to zły duch, czy moc boża,
Tukaj znalazł się śród łoża,
Na swych domowników rękę.
Głos tylko zagrział z daleka:
„Niemasz drugiego człowieka,
Któremubys w każdej próbie
Tak zaufał, jak sam sobie“.

II.

„Ja mam, ja mam przyjaciela!“
Konający Tukaj woła.
Wraz uchodzi błądź z czoła,
Iskrą zdrowia oko strzela...
Tukaj, wydarty mogile,
Wstaje — dziwią się doktorzy —
Wstaje, chodzi o swej sile,
Jakby nigdy nie był chory.
A wtem, na poduszce z boku,
Ujrzy z wolej skóry karty,
Gdzie tajemnice wyroku
Przekłętę spisały czarty.
Tukaj z ciekawością chwyta,
Siada, podparł się i czyta:

„Kiedy miesiąc na młodziu,
Idź za górę do gaiku;
Znajdziesz kamień — z pod kamienia
Białego urwij korzenia!
Kiedy będziesz bliski śmierci,
Każ ciało posiec na ćwierci,
W wodzie zgotować korzonki,
Pocięte namaścić członki!
Znowu się duch z ciałem zrośnie,
W młodocianej wstaniesz wiosnie

I możesz, skutkiem tych leków,
Umierać, wstawać — wiek wieków“.

Dalej tam były przestrogi,
Jak siekać głowę, jak nogi,
W jakiej wodzie smażyć trunek,
Po jakiej brać zioła szczypcie,
Ale na końcu, w post-skrypcie,
Taki dodano warunek:

„Jeśli użyty ktoś drugi
Do namaszczałnej posługi,
Zwiedzion przez nasze fortele,
Innemu pokaże ziele,
Lub w oznaczonej godzinie
Twego ciała nie namaści —
Wtenczas skutek zioła zginie,
Wtenczas piekło czeka waści.
Jeśli na to się ośmielisz,
Dla znaku, że zaszła zgoda,
Nasz poseł, Mefistofelisz,
Do wymiany traktat poda.
Ostrzegliśmy o fortelach —
Strzeż się, potem próżny kweres!
Dan w Erebie, w szabas rano.
Własną ręką podpisano:
Tak ma stać się: Lucyferes.
A za zgodność: Hadramelach“.

Tukaj trochę się zagniewał:
Warunku się nie spodziewał...
Brodę na rękę podpiera,
Potarł czoło, skrzywił nosa,
Na kontrakt spojrział z ukosa,
Tabaczki dwa razy zażył,
To na ziemię spuszcza oczy,
To po stolowaniu toczy.
Wziął pargamin, w rękę zważył;
Znowu nań zezem poziera,
Znowu czytał i odczytał,
Znowu zważył, znowu zmierzył,
Kułakiem o stół uderzył,
Westchnął, mruczał, zębem zgrzytał,

Ręce nad czoło zakłada...
Skoczył raptem i w zapędzie
Machnął ręką: „Niech tak będzie!”
Znowu umilkł, znowu siada;
Znowu myśli, znowu wstaje;
Znowu chodzi, znowu siada.
Niech go za to nikt nie łaje,
Bo z djabłami rzecz nie lada!

Myśli: „Albo wieczne życie,
Albo wiecznie djabłu dusza”.
Nic nie mówi, myśli skrycie,
Tylko trochę wargą rusza.

Nadszedł już czas odpowiedzi.
Tukaj oddala się z tłumu
I, do pracowni rozumu
Zamknawszy się, jeden siedzi
I tam swój traktat raz jeszcze,
Nim stempel przyjęcia zyska,
W surowej uwagi kleszcze
Bierze i porządnie ściska.
Tam myśl rozmaita ścieka
W jedne podobieństwa tygle,
Tam jedną myśl niedościgle
Różnicy nożykiem sieka,
Sieka, topi, nakształt wosku,
Aż wycisnął ekstrakt wniosku.
Obejrzawszy wniosek ściśle,
Tak rzekł po długim namyśle:
„Jakieżkolwiek te fortele,
O których słyszałem z góry,
Czy ich nie wiele, czy wiele,
Trojakię będą natury:
Chcąc kogo przywieść do zdrady,
Trzeba siły, albo rady —
Albo podarunkiem skusić,
Albo stworzyć, albo zmusić.
Toż samo krótszemi słowy,
Będzie syllogizm takowy:
Trojaka do zguby droga —
Ciekawość, łakomstwo, trwoga.

Więc kto w tym trojakim względzie
Twardej nie ulegnie próbie,
Takiemu już można będzie
Ufać, jak samemu sobie“.

Tukaj, kontent z wynalazku,
Szuka atramentu, piasku,
Idzie kreślić pismo grzechu,
Ale idzie bez pospiechu.
Już ciemno, pisać nie wcześniej —
W atramencie jakieś pleśnie...
Dwie świece musiał zapalać
I dwa kałamarze nalać.
Coś mu zabolalo w łokciu;
Wziął pióro, na piórze włosy
I bardzo spisany nosek;
Otrząsł, przyciął na paznogciu.
Po długim względzie, rozględzie
Wreszcie pisze: NIECH TAK BĘDZIE.
Chciał dołożyć i nazwisko,
Lecz nim pierwsze T napisał,
Myślał pół godziny blisko,
Głową i piórem kołysał
I nic więcej nie napisał,
Tylko do pierwszej litery
Dodał małe kropki.... cztery.

Gdy już napisano widzi,
Jeszcze patrzy, jeszcze bada...
Niechaj z tego nikt nie szydzi,
Bo z djablami rzecz nie lada!

Lecz jakże się musiał zdumieć,
Gdy głoska B w słowie BĘDZIE
Zaczęła brzęczeć i szumieć
I wzdymać wszystkie krawędzie.
Kręci się, beczy, podраста,
Jak na drożdżach kawał ciasta.
Dolna litery połowa
Wykurcza się w brzuch i żebra,
U zwierchniej wypukła głowa,
Nakształt ogromnego cebra —
Szyjka, jak u osy, wąska,

Nosik orła, bródka kozła,
 A z jednej go strony końska,
 Z drugiej kurza łapka wiozła.
 Pogląda okiem wołowem,
 Skrzydła nakształt młyńskich wioseł —
 Był to djabeł jednym słowem,
 Był to Mefistofel, poseł.

Jeszcze Tukaj nie mógł wiedzieć,
 Czy zęnać, czy prosić siedzieć,
 Kiedy przyskoczył zuchwalec,
 Porwał za maleńki palec,
 Zasadził nożyk pod skórka
 I umoczył we krwi piórko;
 Piórko wścibił, ścisnął w rękę,
 Ręką wodzi pomaleńku.
 Gdy już U, K, A, J, minął,
 Zrobiło się całkiem TUKAJ.
 Djabeł świsnął, czmychnął, zginął —
 Terazże z nim ładu szukaj!

Część III i IV w końcu tomu.

L I L J E.

BALLADA.

Zbrodnia to niesłychana:
 Pani zabija pana.
 Zabiwszy, grzebie w gaju,
 Na łączce przy ruczaju,
 Grób liliją zasiewa,
 Zasiewając, tak śpiewa:
 „Rośnij, kwiecie, wysoko,
 Jak pan leży głęboko!
 Jak pan leży głęboko,
 Tak ty rośnij wysoko!“

Potem, cała skrwawiona,
 Męża zbójczyni, żona,
 Bieży przez łąki, przez knieje,
 I górą i dołem i górą.
 Zmrok pada, wietrzyk wieje,
 Ciemno, wietrzno, ponuro;
 Wrona gdzieniegdzie kracze
 I puhają puhacze.

Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika
Stuk, stuk, stuk, stuk!

„Kto tam?” Spadła zapora,
Wychodzi starzec, świeci;
Pani nakształt upiora
Z krzykiem do chatki leci.
„Ha! ha!” Zsiniałe usta,
Oczy przewraca w słup,
Drżąca, zbladła, jak chusta:
„Ha! mąż!... Ha! trup!” —

„Niewiasto, Pan Bóg z tobą!
Co ciebie tutaj niesie?
Wieczorną, słotną dobą
Co robisz sama w lesie?” —

„Tu, za lasem, za stawem,
Błyszczą mych zamków ściany,
Mąż z królem Bolesławem
Poszedł na Kijowiany.
Lato za latem bieży,
Nie masz go z bojowiska;
Ja, młoda, wśród młodzieży,
A droga cnoty śliska!
Nie dochowałam wiary...
Ach, biada mojej głowie!
Król srogie głosi kary...
Powrócili mężowie...

Ha! ha! Mąż się nie dowiel
Oto krew, oto nóż!
Po nim już, po nim już!
Starcze, wyznałam szczerze —
Ty głos świętymi usty,
Jakie mówić pacierze
Gdzie mam iść na odpusty!
Ach, pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie
Byleby moję zbrodnię
Wieczysta noc powlekła!...”

„Niewiasto — rzecz stary —
Więc ci nie żal rozboju,
Ale tylko strach kary?
Idźże sobie w pokoju!
Rzuć bojaźń, rozjaśń lica:
Wieczna twa tajemnica.
Bo takie sądy Boże,
Iż, co ty zrobisz skrycie,
Mąż tylko wydać może —
A mąż twój stracił życie“.

Pani, z wyroku rada,
Jak wpadła, tak wypada;
Bieży nocą do domu,
Nic nie mówiąc nikomu.
Stoją dzieci przed bramą:
„Mamo — wołają — mamo!
A gdzie został nasz tato?“ —
„Nieboszczyk? Co? Wasz tato?“
Nie wie, co mówić na to.
„Został w lesie za dworem...
Powróci dziś wieczorem“.

Czekają wieczór dzieci,
Czekają drugi, trzeci,
Czekają tydzień cały;
Nareszcie zapomniały.

Pani zapomnieć trudno —
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu,
Nigdy snu na żrenicy...
Bo często w nocnej porze
Coś stuka się na dworze,
Coś chodzi po świetlicy.
„Dzieci — woła — to ja to,
To ja, dzieci, wasz tato!“

Noc przeszła, zasnąć trudno —
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu...

„Idź, Hanko, przez dziedziniec!
Słyszę tętent na moście,
I kurzy się gościniec.
Czy nie jada tu goście?
Idź na gościniec i w las,
Czy kto nie jedzie do nas?” —

„Jadą, jadą w tę stronę...
Tuman na drodze wielki —
Rzą, rzą koniki wrone,
Ostre błyszczą szabelki...
Jadą, jadą panowie,
Nieboszczyka bratowie!” —

„A witajże! Czy zdrowa?
Witajże nam, bratowa!
Gdzie brat?” — „Nieboszczyk brat
Już pożegnał ten świat”.
— „Kiedy?” — „Dawno, rok minął,
Umarł... na wojnie zginął”.
— „To kłamstwo, bądź spokojna!
Już skończyła się wojna;
Brat zdrowy i ochoczy —
Ujrzysz go na twe oczy”.

Pani ze strachu zbladła,
Zemdlała i upadła.
Oczy przewraca w słup,
Z trwogą dokoła rzuca.
„Gdzie on? Gdzie mąż? Gdzie trup?”
Powoli się ocuca;
Mdląca niby z radości...
I pytała u gości:
„Gdzie mąż, gdzie me kochanie?
Kiedy przede mną stanie?” —

„Powracał razem z nami,
Lecz przodem chciał pospieszyć,
Nas przyjąć z rycerzami
I twoje łzy pocieszyć.
Dziś, jutro, pewno będzie...
Pewnie kędyś w oblędzie

Ubite minął szlaki...
Zaczekajmy dzień jaki,
Poszlemy szukać wszędzie...
Dziś, jutro pewnie będzie“.

Posłali wszędzie sługi,
Czekali dzień i drugi,
Gdy nic nie doczekali,
Z płaczem chcą jechać dalej.

Zachodzi drogę pani:
„Bracia moi kochani,
Jesień zła do podróży —
Wiatry, słoty i deszcze...
Wszak czekaliście dłużej,
Czekajcie trochę jeszcze!“

Czekają. Przyszła zima,
Brata niema i niema.
Czekają... myślą sobie,
Może powróci z wiosną?
A on już leży w grobie,
A nad nim kwiatki rosną,
A rosną tak wysoko,
Jak on leży głęboko...
I wiosnę przeczekali,
I już nie jadą dalej.

Do smaku im gospoda,
Bo gospodyni młoda.
Że chcą jechać, udają,
A tymczasem czekają,
Czekają aż do lata,
Zapominają brata.

Do smaku im gospoda
I gospodyni młoda:
Jak dwaj u niej gościli,
Tak ją dwaj polubili.
Obu nadzieja lechce,
Obadwaj zjęci trwogą;
Żyć bez niej żaden nie chce,
Żyć z nią obaj nie mogą.

Wreszcie, na jedno zdani,
Idą razem do pani.

„Słuchaj, pani bratowo,
Przyjm dobrze nasze słowo!
My tu próżno siedzimy,
Brata nie zobaczymy.
Ty jeszcze jesteś młoda —
Młodości twojej szkoda.
Nie wiąż dla siebie świata:
Wybierz brata za brata!“

To rzekli i stanęli.
Gniew ich i zazdrość piecze;
Ten, to ów okiem strzeli,
Ten, to ów słówko rzecze;
Usta sine przycięli,
W rękę ściskają miecze.

Pani ich widzi w gniewie,
Co mówić, sama nie wie.
Prosi o chwilkę czasu,
Bieży zaraz do lasu.
Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika
Stuk stuk, stuk stuk!
Całą mu rzecz wyklada
Pyta się, co za rada?

„Ach, jak pogodzić braci?
Chcą mojej ręki oba...
Ten — i ten się podoba...
Lecz kto weźmie? Kto straci?
Ja mam maleńkie dziatki
I wioski i dostatki —
Dostatek się zmitręża,
Gdy zostałam bez męża.
Lecz, ach, nie dla mnie szczęście!
Nie dla mnie już zamęcie!
Boża nade mną kara!
Ściga mnie nocna mara:

Zaledwie przymknę oczy,
Traf, traf! klamka odskoczy —
Budzę się, widzę, słyszę,
Jak idzie i jak dysze,
Jak dysze i jak tupa,
Ach, widzę, słyszę trupa!
Skrzyp, skrzyp, i już nad łóżem
Skrwawionym sięga nożem,
I iskry z gęby sypie,
I ciągnie mię, i szczypie...
Ach, dosyć, dosyć strachu!
Nie siedzieć mnie w tym gmachu!
Nie dla mnie świat i szczęście,
Nie dla mnie już zameście!"

„Córko — rzecze jej stary —
Nie masz zbrodni bez kary!
Lecz jeśli szczerą skrucha,
Zbrodniarzów Pan Bóg słuca.
Znam ja tajnie wyroku,
Miłą ci rzecz obwieszczę:
Choć mąż zginął od roku,
Ja go wskreszę dziś jeszcze". —

„Co, co? Jak, jak? Mój ojcie,
Nie czas już, ach, nie czas!
To żelazo zabójcze
Na wieki dzieli nas!
Ach, znam, że warta kary...
I zniosę wszelkie kary,
Byle się pozbyć mary!
Zrzekę się mego zboru
I pójdę do klasztoru
I pójdę w ciemny las...
Nie, nie wskrzeszaj, mój ojcie!
Nie czas już, ach nie czas!
To żelazo zabójcze
Na wieki dzieli nas!"

Starzec westchnął głęboko
I łzami zalał oko,
Oblicze skrył w zasłonie,
Drżące załamał dłoń.

„Idź za mąż, póki pora!
Nie lękaj się upiora!
Martwy się nie ocuci;
Twarda wieczności brama —
I mąż twój nie powróci,
Chyba zawołasz sama”. —

„Lecz jak pogodzić braci?
Kto weźmie, a kto straci?” —
— „Najlepsza będzie droga,
Zdać się na los i Boga.
Niechajże z ranną rosą
Pójdą i kwiecie zniosą.
Niech każdy weźmie kwiecie
I wianek tobie splecie
I niechaj doda znaki,
Żeby poznać, czyj jaki —
I pójdzie w kościół Boży,
I na ołtarzu złoży.
Czyj pierwszy weźmiesz wianek,
Ten mąż twój, ten kochanek“.

Pani z przestrogi rada,
Już do małżeństwa skora,
Nie boi się upiora,
Bo w myśli swej układa
Nigdy w żadnej potrzebie
Nie wołać go do siebie —
I, z tych układów rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży prosto do domu,
Nic nie mówiąc nikomu.
Bieży przez łąki, przez gaje,
I bieży, i staje,
I staje, i myśli, i słucha...
Zda się, że ją ktoś goni
I że coś szepce do niej —
Wkoło ciemność głucha:
„To ja, twój mąż, twój mąż!“

I staje, i myśli, i słucha,
Słucha, zrywa się, bieży,
Włos słę na głowie jeży,

W tył obejrzyć się lęka...
Coś wciąż w krzakach stęka...
Echo powtarza wciąż:
„To ja, twój mąż, twój mąż!”

Lecz zbliża się niedziela,
Zbliża się czas wesela.
Zaledwie słońce wschodzi,
Wybiegają dwaj młodzi.
Pani, wśród dziewic grona
Do ślubu prowadzona,
Wystąpi wśród kościoła
I bierze pierwszy wianek,
Obnosi go dokoła:
„Oto w wieńcu lilije,
Ach, czyjeż to są, czyje?
Kto mój mąż, kto kochanek?”

Wybiega starszy brat,
Radość na licach płonie,
Skacze i klaszcze w dłonie:
„Tyś moja! Mój to kwiat!
Między lilii kręgi
Uplotłem wstążek zwój;
To znak — to moje wstęgi!
To mój, to mój, to mój!”

„Kłamstwo! — drugi zawoła —
Wyjdźcie tylko z kościoła,
Miejsce widzieć możecie,
Kędy rwałem to kwiecie.
Rwałem na łączce w gaju,
Na grobie, przy ruczaju...
Okażę grób i źródło...
To mój, to mój, to mój!”

Kłóć się żli młodzieńce —
Ten mówi, ten zaprzecza...
Dobyli z pochew miecza,
Wszczyna się srogi bój.
Szarpia do siebie wieńce:
„To mój! To mój! To mój!”

Wtem drzwi kościoła trzasły,
Wiatr zawiał, świece zgasiły...
Wchodzi osoba w bieli —
Znany chód, znana zbroja.
Staje — wszyscy zadrżeli —
Staje, patrzy ukosem,
Podziemnym woła głosem:
„Mój wieniec i ty moja!
Kwiat na mym rwany grobie,
Mnie, księżu, stulą wiąże!
Zła żono, biada tobie!
To ja, twój mąż, twój mąż!
Źli bracia, biada obu!
Z mego rwaliście grobu...
Zawieście krwawy bój!
To ja, twój mąż, wasz brat!
Wy moi, wieniec mój —
Dalej na tamten świat!”

Wstrzęsła się cerkwi posada,
Z zrębu wysuwa się zrąb,
Sklep trzeszczy, w głąb zapada,
Cerkiew zapada w głąb.
Ziemia ją z wierzchu kryje,
Na niej rosną lilije,
A rosną tak wysoko,
Jak pan leżał głęboko.

D U D A R Z.

BALLADA.

Jakiż to dziadek, jak gołąb siwy,
Z siwą aż do pasa brodą?
Dwaj go chłopczyki pod rękę wiodą,
Wiodą mimo naszej niwy.

Starzec na lirze brząka i nuci,
Chłopcy dma w dудeczki z piórek.
Zawołam starca, niech się zawróci
I przyjdzie pod ten pagórek.

„Zawróć się, starcze, tu, na igrzysko!
Tu się po siewbie weselim:
Co nam dał Pan Bóg, tem się podzielim,
I do wsi na noc stąd blisko“.

Posłuchał, przyszedł, skłonił się nisko
I usiadł sobie pod miedzą;
Przy nim po bokach chłopczyki siedzą,
Patrząc na wiejskie igrzysko.

Tu brzmia piszczałki, biją bębenki,
Płoną stosy suchych drewek;
Piją staruszki, skaczą panienki,
Obchodząc święto dosiewek.

Milczą piszczałki, głuchną bębenki,
Porzuca ogień gromadka;
Biegą staruszki, biegą panienki,
Biegą do dudarza dziadka.

„Witaj, dudarzu! Witamy radzi,
W wesołej przychodzisz dobie;
Pewnie z daleka Pan Bóg prowadzi?
Pogrzej się i spocznij sobie!“

Wiodą, gdzie ogień, gdzie stół z murawy,
Sadzą dudarza pośrodku:
„Może pozwolisz na trochę strawy,
Albo na szklaneczkę miódku?

„Widzim i lirę, widzim piszczałki —
Zagraj co nam samotrzeci!
Napełnim za to tłomok, kobiałki,
I będziemy wdzięczni waszeci“. —

„No, stójcież cicho!“ — rzekł do gromadki;
„Cicho!“ — powtarza, w dłoń klaska:
„Jeżeli chcecie, zagram wam, dziatki.
A cóż wam zagrać?“ — „Co łaska“.

Wziął w ręce lirę i szklanę sporą,
Miodem pierś starą zagrzewa,
Mrugnął na chłopców — ci dudki biorą,
Brząknął, nastroił i śpiewa.

„Idę ja Niemnem, jak Niemen długi,
Od wioseczki do wioseczki.
Z borku do borku, z smugów na smugi,
Śpiewając moje piosieczki.

Wszyscy się zbiegli, wszyscy słuchali,
Ale nikt mię nie rozumie;
Ja łzy ocieram, westchnienia tłumię,
I idę dalej a dalej.

Kto mię zrozumie, ten się użali,
I w białe uderzy dłonie,
Uroni łezkę — i ja uronię,
Ale już nie pójdę dalej“.

A wtem grać przestał. Nim znowu zacznie,
Przelotem spojrzął po błonię.
Lecz w jedną stronę spoziera bacznie...
Któż tam stoi na ustroniu?

Stała pasterka i plotła wieniec;
To uplecie, to rozplecie —
A obok przy niej stoi młodzieniec
I splecione przyjął kwiecie.

Spokojność duszy z jej widać czoła,
Ku ziemi spuszczone oko;
Nie była smutna, ani wesoła,
Tylko coś myśli głęboko.

Jak puszkciem chwieje trawka zielona,
Choć wiatr przestanie oddychać,
Tak się na piersiach chwieje zasłona,
Chociaż westchnienia nie słysząc.

Wtem z piersi listek żółkły odepnie,
Listek nieznanego drzewa,
Spojrzy nań, rzuci i z cicha szepnie,
Jakby się na listek gniewa.

Odwraca głowę, odeszła nieco,
Podniosła w niebo źrenice,
Nagle na oczach łezki zaświecą
I róż wystąpił na lice.

A dudarz milczy, brząka powoli,
A wzrok utopił w pasterce,
Utopił w licu — lecz wzrok sokoli
Zdał się przedzierać aż w serce.

Znowu wziął lirę i spory dzbanek,
Miodem pierś starą zagrzewa;
Skinął na chłopców, ci do multanek,
Brząknął, nastroił i śpiewa:

„Komu służny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?
Ach, jak szczęśliwy młodzieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec!

Pewnie dla twego kochanka?
Wydają łyzy i rumieniec...
Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?

Jednemu oddajesz wieniec
Z róż, lilii i tymianka;
Kocha cię drugi młodzieniec,
Ty jednemu oddasz wieniec!

Zostawże łyzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka,
Gdy szczęśliwy bierze wieniec
Z róż, lilii i tymianka“.

Na to szmer powstał, różne pogłoski
Pomiędzy ciżbą przytomną.
Tę piosnkę śpiewał kto z naszej wioski,
Lecz kto i kiedy — nie pomną.

Starzec ucisza, podnosi rękę:
„Słuchajcie, dzieci!“ — zawoła —
Powiem, od kogo mam tę piosenkę;
Może on był z tego siola?

Kiedym, wędrując przez kraje cudze,
Królewiec zwiedził przechodem,
Wtenczas przy płynął z Litwy na strudze
Pasterz jakiś, z tych stron rodem.

Smutny był bardzo, ale przyczyny
Smutku nie mówił nikomu;
Odbił się potem od swej drużyny
I nie powrócił do domu.

Często widziałem, czy świecą zorza,
Czyli księżyc w pełnym blasku,
Jak on po błoniach albo u morza
Po nadbrzeżnym błdził piasku.

Pośród skał nieraz, podobny skale,
Na deszczu, wietrze i chłodzie
Odludny dumał, wiatrom swe żale,
A lzy powierzając wodzie.

„Szedłem ku niemu; spozierał smutnie,
Ale ode mnie nie stronił;
Jam, nic nie mówiąc, nastroił lutnię,
Zaśpiewał, w struny zadzwonił.

Lzy mu się rzuca, lecz skinął czołem,
Że się to granie podoba;
Ścisnął za rękę, ja go ścisnąłem —
I zapłakaliśmy oba.

Poznaliśmy się lepiej nawzajem
I byliśmy przyjaciеле;
On zawsze milczał swoim zwyczajem,
I ja mówiłem niewiele.

Potem, gdy, troską trawiony długą,
Już nie mógł rady dać sobie,
Ja towarzyszem, ja byłem sługą,
Jam go pilnował w chorobie.

Nędzny, w mych oczach gasnął powoli.
Raz mię przywołał do łóża:
„Czuję — rzekł — bliski koniec niedoli,
Niech się spełni wola Boża!

Zgrzeszyłem tylko, że moje lata
Tak się nadaremnie starły;
Ale bez żalu schodzę ze świata,
Dawno już na nim umarły.

Kiedy mię skał tych dziki zakątek
Ukrył przed gminu obliczem,
Odtąd już dla mnie świat ten był niczem;
Żyłem na świecie pamiątek.

Ty, coś mi wiernym został do grobu —
Kończył, ściskając za ręce —
Nagrodzić tobie nie mam sposobu...
Wszakże to, co mam, poświęcę.

Znasz piosnkę, którą-m po tyle razy
Śpiewał, płacząc nad mym losem:
Pomnisz zapewne wszystkie wyrazy,
I wiesz, jakim śpiewać głosem.

Mam jeszcze z białych włosów zawiązkę
I zeschnięte cyprysu listki;
Naucz się piosnki, weź tę gałązkę!
To mój na ziemi skarb wszystek...

Idź, może znajdziesz na brzegach Niemna
Tę, której już nie obaczę,
Może jej piosnka będzie przyjemna,
Może nad listkiem zapłacze,

Nagrodzi starca, do domu przyjmie —
Powiedz...“ Wtem oko ściemniało,
A w ustach Panny Najświętszej imię
Wpół wymówione zostało.

Silił się jeszcze i w samym skonie
Napróżno coś wyrzec żądał.
Wskazał ku sercu i ku tej stronie,
Na którą, żyjąc, poglądał“.

Tu przerwał dudarz i szukał okiem,
Dostając listek z papierka;
Lecz już nie była między natłokiem
Ta, której szukał — pasterka.

Z daleka tylko poznał sukienkę,
Bo w chustce skryła twarz boską;
Jakiś młodzieniec wiódł ją pod rękę,
Już ich nie widać za wioską.

Przybiegła zgraja, gdzie starzec siedział.
„Co to jest?” — wszyscy pytają;
On nic nie wiedział... Może i wiedział,
Ale nie mówił przed zgrają.

C Z A T Y.

BALLADA UKRAIŃSKA.

Z ogrodowej altany wojewoda zdyszany
Bieży w zamek z wściekłością i trwogą.
Odchyliwszy zasłony, spojrział w łóżce swej żony,
Pojrzał, zadrżał — nie znalazł nikogo.

Wzrok opuścił ku ziemi i rękami drżącemi
Siwe wasy pokręca i duma.
Wzrok od łóżka odwrócił, w tył wyloty zarzucił
I zawołał kozaka Nauma.

„Hej, kozaku, ty chamie, czemu w sadzie przy bramie
Niema nocą ni psa, ni pacholka?
Weź mi torbę borsuczą i jańczarkę hajduczą
I mą strzelbę, gwintówkę, zdejm z kołka!”

Wzięli bronie, wypadli, do ogrodu się wkradli
Kędy szpaler altanę obrasta.
Na darniowem siedzeniu coś bieleje się w cieniu:
To siedziała w białiznie niewiasta.

Jedną ręką swe oczy kryła w puklach warkoczy
I pierś kryła pod rąbek białizny
Drugą ręką od łona odpychała ramiona
Kłęczącego u kolan mężczyzny.

Ten, ściskając kolana, mówił do niej: „Kochana!
Więc już wszystko. Jam wszystko utracił!
Nawet twoje westchnienia, nawet ręki ścisnienia
Wojewoda już z góry zapłacił!

Ja choć z takim zapalem tyle lat cię kochałem,
Będę kochał i jęczał daleki —
On nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem zabrzęczał,
Tyś mu wszystko sprzedała na wieki!

Co wieczora on będzie, tonąc w puchy labędzie,
Stary łeb na twem łonie kołysał,
I z twych ustek różanych i z twych liców rumianych,
Mnie wzbronione słodyczne wysysał...

Ja na wiernym koniku, przy księżycu promyku
Biegnę tutaj przez chłody i słoty,
Bym cię witał westchnieniem i pożegnał życzeniem
Dobrej nocy i długiej pieszczoty!"

Ona jeszcze nie słucha; on jej szepce do ucha
Nowe skargi, czy nowe zakłęcia,
Aż wzruszona, zemdlona, opuściła ramiona
I schyliła się w jego objęcia.

Wojewoda z kozakiem przyklęknęli za krzakiem
I dobyli z za pasa naboje
I odcięli zębami i przybili stemplami
Prochu garść i grankulek we dwoje.

„Panie! — kozak powiada — jakiś bies mię napada,
Ja nie mogę zastrzelić tej dziewczki;
Gdym półkurcze odwodził, zimny dreszcz mię przechodził
I stoczyła się łza do panewki“.

„Ciszej, plemię hajducze! Ja cię płakać nauczę!
Masz tu z prochem leszczyńskim sakiewkę;
Podsyp zapal, a żywo zczyść paznogciem krzesiwo,
Potem palnij w twój łeb, lub w tę dziewczkę.

Wyżej... w prawo... pomału... czekaj mego wystrzału,
Pierwej musi w łeb dostać pan młody..."
Kozak odwiódł, wycelił — nie czekając, wystrzelił
I ugodził w sam łeb — wojewody.

TRZECH BUDRYSÓW.

BALLADA LITEWSKA.

Stary Budrys trzech synów, tęgich, jak sam, Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
„Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbakł,
A wyostrzcie i groty i mieczel

Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgieł Lachy sąsiady,
A książd Kiejstut napadnie Teutony.

Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,
Niech litewskie prowadzą was bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

Jeden z waszych biec musi za Olgierdem ku Rusi,
Ponad Ilmem, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony
I u kupców tam dziengi, jak lodu.

Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psułaty!
Tam bursztynów, jak piasku, sukna cudnego blasku
I kapłańskie w brylantach ornaty.

Za Skirgiełłem niech trzeci poza Niemen przeleci!
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe,
Ale zato wybierze dobre szable, puklerze,
I mnie stamtąd przywiezie synowę.

Bo nad wszystkich ziem branki milsze Laszki kochanki,
Wesolutkie, jak młode koteczki;
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się, jak dwie gwiazdeczki.

Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym człowiekiem,
Laszkę sobie przywozłem za żonę;
A, choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę“.

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niema i niema —
Budrys myślał, że w boju poległi.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Ej, to kubeł, w tym kuble nowogrodzkie są ruble?“
— „Nie, mój ojczę, to Laszka synowa!“

ie śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Pewnie z Niemiec, mój synu, wieszysz kubeł bursztynu?”
— „Nie, mój ojczu, to Laszka synowa!”

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,
Burka pełna, zdobyczy tam wiele;
Lecz, nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

RENEGAT.

BALLADA TURECKA.

Co się niedawno stało w Iranie,
Opowiem światu całemu:
Na kaszemirskim usiadł dywanie
Basza pośrodku haremu.

Pieją Greczynki, pieją Czerkieski,
Płasają branki Kirgisa,
U tych w żrenicach szafir niebieski,
U tamtych cienie Eblisa.

Basza nie widzi, Basza nie słucha,
Turban zawiesił nad okiem.
Drzemie i, dymy ciągnąc z cybucha,
Okrył się wonnym obłokiem.

Wtem u wrót szczęścia hałas się wzmaga,
Rozstały się sług rzędy,
Nieznana branke wiódł Kyzlar-aga;
Skłonił się i rzekł: „Effendy,

Którego jasność takiej jest mocy
Między gwiazdami dywanu,
Jak wśród brylantów na szatach nocy
Ognisko Aldeboranu,

Racz ku mnie błysnąć, gwiazdo dywanu,
Bom dobrych nowin tłómaczem:
Oto służebny wiatr z Lehistanu
Darzy cię nowym haraczem.

Padiszach nie ma takiej krzewiny
W sadzie rozkoszy w Stambule!
Ona jest rodem z zimnej krainy,
Którą wspominasz tak czule“.

Tu gazę, co jej wdzięki przygasza,
Odsłonił — cały dwór klasnął;
Spojrzał raz na nią trzytulny Basza,
Wypuścił cybuch i zasnął.

Chyli się na bok, turban mu pada,
Biegną przebudzić — o dziwy!
Usta zsiniałe, twarz śmiercią błąda,
Basza renegat nieżywy!

Część II i III w końcu tomu.

UCIECZKA.

BALLADA.

On wojuje — rok upłynął,
On nie wraca — może zginął.
Panno, szkoda młodych lat:
Od książęcia jedzie swat.

Książę ucztuje we dworze,
A panna płacze w komorze.

Jej źrenice, błyskawice
Dziś, jak dwie mętne krynice;
Jej lica, pełnia księżyca,
Dziś nikną, jak księżyc w nowiu:
Biada wdziękom, biada zdrowiu!

Matka troszczy się i biedzi,
Książe dał na zapowiedzi.

Swadźba jedzie szumnie, tłumnie.
— „Nie powiozą do ołtarza,
Powiozą mię do cmentarza,
A pościelą chyba w trumnie.
Ja umrę, gdy on nie żyje,
Ciebie, matko, żal zabije!“

Ksiądz w konfesjonale siedzi —
„Czas, o córko, do spowiedzi!“

Przyszła kuma, widma stara:
„Wypędź księdza, wypędź klechę;
Bóg i wiara — sen i mara!
Kuma w biedzie ma pociechę,
Kuma stara umie wiele,
Ma kwiat paproć i car ziele,
A ty masz kochanka dary;
Przyszłam zrobić możne czary.

Włosy jego w węża splącz,
Dwie obrączki razem złącz,
Z lewej ręki krwi usącz;
A na węża będziem kłać,
W dwie obrączki będziem dać —
Musi przyjść i ciebie wziąć!“

Panna grzeszy — jeździec spieszy,
Kłęto ducha — klątwy słucha;
Już odemknął zimny gmach —
Panno, panno, czy nie strach?

Ucichł, usnął dwór zamkowy;
Panna czuwa. — Na zegarze
Bije północ — milczą strażę,
Panna słyszy — dźwięk podkowy.
Brytan, jakby głosu nie miał,
Zawył z cicha i oniemiał.

Skrzypnęły dolne podwoje,
Stapa ktoś w przysionkach długich,
I otwiera się drzwi troje,
Troje drzwi jedne po drugich.
Wchodzi jeździec cały w bieli
I usiada na pościeli.

Słodko, prędko czas ucieka.
Wtem koń zarżał, jęła sowa,
Zegar wybił. — „Bywaj zdrowa!
Koń mój zarżał, koń mój czeka —
Albo wstawaj, na koń siadź
I na wieki moją bądź!“

Miesiąc świeci — jeździec leci
Po zaroślach i po krzaczach:
Panno, panno, czy nie strach?

Rumak polem, jak wiatr, niesie,
Niesie lasem — głucho w lesie;
Tu i owdzie wystraszona
W suchej jodle kracze wrona,
Po łożach wilcze żrenice
Migają się, jako świece.

„W cwał, mój koniu, koniu, w cwał!
Miesiąc na dół schodzi z chmur,
A nim zejdzie miesiąc z chmur,
Mamy sadzić dziesięć skał,
Dziesięć rzek i dziewięć gór;
Za godzinę pieje kur“.

— „Gdzie mnie wieszysz?“ — „Gdzie? Do domu.
Dom mój na górze Mendoga;
W dzień otwarta wszystkim droga,
W nocy jeździm pokryjomu“.
— „Czy masz zamek?“ — „Tak jest, zamek,
I zamczysty, choć bez klamek“.

— „Mój kochanku, konia wstrzymaj,
Ledwie dosiedzę na łeku“.
— „Moja luba, siodła imaj
Prawą ręką! Co masz w rękę?
Czy to worek do roboty?“ —
„Nie, to jest Ołtarzyk Złoty“.

— „Nie czas wstrzymać, pogoń bieży,
Słyszysz pogoń, tętnią błonia;
Już przed koniem przepaść leży...
Rzucaj książkę, puszczam konia!“
Koń, jak gdyby zbył ciężaru,
Przemknął dziesięć sążni jaru.

Lecą bagnem przez manowiec.
Pusto wkoło. Błędny ogień
Tuż przed nimi, jak przewodnik,
Od grobowca na grobowiec
Przelatuje; gdzie przeleci,
Ślad błękitny za nim świeci,
A tym śladem jeździec leci.

— „Mój kochanku, co za droga?
Tu nie znać śladu człowieka“.
— „Dobra droga, kiedy trwoga;
Krzywo jedzie, kto ucieka.
Śladów niemasz do mych włości,
Bo nie wpuszczam pieszych gości;
Bogatego wiozą cugi,
Ubogiego niosą sługi.

W cwał, mój koniu, koniu, w cwał!
Błyska zorza z wschodnich stron,
Za godzinę bije dzwon.
Nim uderzy ranny dzwon,
Mamy sadzić parę skał,
Parę rzek i parę gór:
Za godzinę drugi kur“.

— „Mój kochanku, wstrzymaj wodze!
Koń się lęka, bokiem sadi,
Pełno skał i drzew na drodze,
Koń o drzewo mię zawadzi“.
— „Moja luba, jakie sznurki
Jakie wiszą tam kieszonki?“
— „Mój kochanku, to paciórki,
To szkaplerze i koronki“.

— „Sznur przeklęty, sznur z nienacka
Rumakowi miga w oczy!
Patrz, jak zadrzał, bokiem skoczy ...
Moja luba, rzuć te cacka!“

Koń, jak gdyby pozbył trwogi,
Ubiegł prosto pięć mil drogi.

— „Co to za cmentarz, mój miły?“
— „To mur, co mych zamków strzeże“.
— „A te krzyże, te mogiły?“
— „To nie krzyże, to są wieże.
Mur przeskoczym, przejdziem progi,
Tu na wieki koniec drogi.

„Stój, mój koniu, koniu, stój!
Przebyłeś, nim zapiał kur,
Tyle rzek i skał i gór,
A tuś zadrżał, koniu mój?
Wiem ja, koniu, czego drżysz:
Mnie i tobie boli krzyż“.

— „Czegoś stanął, mój kochanku?
Zimna rosa mię splukała,
Zimno wieje wiatr poranku,
Okryj płaszczem, bo drzę cała“.

— „Moja luba, przytul skronie,
Na twych piersiach głowę złożę;
Głowa moja ogniem płonie
I kamienie ogrzać może.

— Jaki masz tam ćwiek ze stali?“
— „To krzyżyk, co matka dała“.
— „Ten krzyżyk ostry, jak strzała,
Twarz mi rani, skronie pali,
Precz mi z tym ćwiekiem ze stali!“

Krzyż na ziemię padł i zniknął,
Jeździec pannę w poły ścisnął,
Z oczu i ust ogniem błysnął,
Rumak ludzkim śmiechem ryknął.
Przeskoczyli cwałem mury,
Biją dzwony, pieją kury.
Nim ksiądz przyszedł na mszę ranną,
Zniknął koń z jeźdźcem i panną.

Na cmentarzu cisza była,
Stoją krzyże, głowy leżą;
Jedna bez krzyża mogiła
I ziemia ruszona świeżo.

Ksiądz nad grobem długo stał
I mszę za dwie dusze miał.

SONETY.

Quand'era in parte altr'uom da quel, ch'io sono.

Petrarca.

I.

PRZYPOMNIENIE.

Lauro! Czyliż te piękne wieków naszych lata
Jeszcze się kiedy twojej malują pamięci,
Kiedyśmy, sami tylko i sobą zajęci,
Dbać nie chcieli o resztę obcego nam świata?

Chłodnik, co się zielonym jaśminem wyplata,
Strumień, co z miłym szmerem po łące się kręci?
Tam nas często, wzajemne tłumaczących chęci,
Późnej nocy miłosna osłoniła szata.

A księżyc, z pod bladego wyrzawszy obłoku,
Śnieżne piersi i złote rozświecał pierścienie,
Boskiego wdziękom twoim przydając uroku.

Wtenczas serca porywa słodkie zachwycenie,
Usta się spotykają, oko ginie w oku,
Łza ze łzą, i z westchnieniem miesza się westchnienie!

II.

DO LAURY.

Ledwiem ciebie zobaczył, jużem się zapłonił,
W nieznanem oku dawnej znajomości pytał;
I z twych jagód wzajemny rumieniec wykwitał.
Jak z róży, której piersi zaranek odsłonił.

Ledwieś piosnkę zaczęła, jużem łzy uronił,
Twój głos wnikał do serca i za duszę chwytał;
Zdało się, że ją anioł po imieniu witał
I w zegar niebios chwilę zbawienia zadzwonił.

O luba! Niech twe oczy przyznać się nie boją,
Jeśli cię mem spojrzeniem, jeśli głosem wzruszę:
Nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją,

Że uciekać i kochać bez nadziei muszę.
Niech ślub ziemski innego darzy ręką twoją,
Tylko wyznaj, że Bóg mi poślubił twą duszę.

III.

Mówię z sobą, z drugimi płaczę się w rozmowie,
Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę,
Iskry czuję w źrenicach, a na twarzy bladnę,
Niejeden z obcych głośno pyta o me zdrowie,

Albo o mym rozumie coś na ucho powie.
Tak cały dzień przemęczę; gdy na łożę padnę
W nadziei, że snem chwilę cierpieniom ukradnę,
Serce ogniste mary zapala w mej głowie.

Zrywam się, bieję, składam na pamięć wyrazy,
Którymi mam złorzeczyć okrucieństwu twemu,
Składane, zapomniane po milion razy...

Ale, gdy ciebie ujrzę, nie pojmuję czemu,
Znowu jestem spokojny, zimniejszy nad głazy,
Aby goreć na nowo — milczeć po dawnemu.

IV.

Nie uczona twa postać, nie wymyślne słowa,
Ani lice, ni oko nad inne nie błyska,
A każdy rad cię ujrzeć, rad posłyszeć zbliśka;
Choć w ubraniu pasterki, widno, żeś królowa.

Wczora brzmiały i pieśni i głośna rozmowa,
Pytano się o twoich rówieśnic nazwiska;
Ten im pochwały sypie, inny żarty ciska:
Ty weszłaś — każdy święte milczenie zachowa.

Tak wśród uczty gdy śpiewak do choru wyzywał,
Gdy koła tańczące wiły się po sali,
Nagle stanął i zmilknął; każdy zapytywał,

Nikt nie wiedział, dlaczego w zadumieniu stali.
„Ja wiem — rzecz poeta — anioł przelatywał”.
Uczcili wszyscy gościa — nie wszyscy poznali.

V.

WIDZENIE SIĘ W GAJU.

„Tyżeś to? I tak późno?” „Błądną miałem drogę,
Śród lasów przy niepewnym księżycu promyku!
Tęskniłaś? Myślisz o mnie?” „Luby niewdzięczniku,
Pytaj się, czy ja myśleć o czem innem mogę!”

„Pozwól uścisnąć dłonie, ucałować nogę.
Ty drzysz? Czego?” „Ja nie wiem. Błądząc po gaju,
Lękam się szmeru liścia, nocnych ptaków krzyku...
Ach, musimy być winni, kiedy czuję trwogę!”

„Spojrzyj mi w oczy, w czoło: nigdy z takim czołem
Nie idzie zbrodnia, trwoga nie patrzy tak śmieie.
Przebóg, jesteście winni, że siedzimy razem?”

„Wszak siedzę tak daleko, mówię tak niewiele
I zabawiam się z tobą, mój ziemski aniele,
Jak gdybyś już niebieskim stała się aniołem”.

VI.

Potępi nas świętoszek. rozpustnik wyśmiej,
Że, chociaż samotnemi otoczeni ściany,
Chociaż ona tak młoda, ja tak zakochany,
Przecież ja oczy spuszcza, a ona łyże.

Ja bronię się ponętom — ona i nadzieje
Chce odstraszyć, co chwila brząkając kajdany.
Któremi ręce związał nam los oplakany.
Nie wiemy sami, co się w sercach naszych dzieje.

Jestże to ból lub rozkosz? Gdy czuję ścisnienia
Twych dłoni, kiedy z ustek zachwyć płomienia,
Luba, czyż mogę temu dać imię cierpienia?

Ale, kiedy się łzami nasze lica zroszą,
Gdy się ostatki życia w westchnieniach unoszą,
Luba, czyż to mogę nazywać rozkoszą?

VII.

RANEK I WIECZÓR.

Słońce błyszczy na wschodzie w chmur ognistych wianku,
A na zachodzie księżyc blade lice mroczy,
Róża za słońcem pączki rozwinione toczy,
Fijolek klęczy, zgięty pod kroplami ranku.

Laura błysnęła w oknie; ukląknęłam na ganku —
Ona, muskając sploty swych złotych warkoczy:
„Czemu — rzekła — tak rano smutne macie oczy,
I miesiąc, i fijolek, i ty, mój kochanku?”

W wieczór przyszedłem nowym bawić się widokiem:
Wraca księżyc, twarz jego pełna i rumiana,
Fijolek podniósł listki, otrzeźwione mrokiem.

Znowu stanęła w oknie moja ukochana,
W piękniejszym jeszcze stroju i z weselszem okiem —
Znowu u nóg jej klęczę — tak smutny, jak z rana.

VIII.

DO NIEMNA.

Niemnie, domowa rzeko moja! Gdzie są wody,
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
Na których potem w dzikie pływałem ustronie,
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?

Tu Laura, patrząc z chlubą na cień swej urody,
Lubiła włos zaplatać i zakwiecać skronie;
Tu obraz jej, malowny w srebrnej fali łonie,
Łzami nieraz mąciłem, zapaleniec młody!...

Niemnie, domowa rzeko! Gdzież są tamte zdroje,
A z niemi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?

Gdzie milsze burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja? Gdzie są przyjaciele?...
Wszystko przeszło!... A czemuż nie przejdą łzy moje!

IX.

Z PETRARKI.

Senuccio, i'vo', che sappi.

Chcecie wiedzieć, co cierpię, równieńczy moi?
Odmaluję najwierniej, ile pióro zdoła.
Mary ja dotąd pośród pamiątek kościoła
Myślą gonię, i duch mój o przeszłości roi.

Tu zwykła igrać, ówdzie zamyślona stoi,
Tam z niechęcią twarz kryła, tu mię okiem woła,
Tu gniewna, tam posepna, tu znowu wesola,
Tu swe lica w łagodność, tu w powagę stroi.

Tam piosenkę nuciła, tu mi dłoń ścisnęła,
Tu usiadła, tam naszej rozmowy początek,
Stąd biegła. tu na piasku imię moje kryśli,

Tam słówko powiedziała, tu z cicha westchnęła,
Tam się zarumieniła... — Ach wśród tych pamiątek
Wiecznie miota się serce i płaczą się myśli!

X.

STRZELEC.

Widziałem, jak dzień cały, pośród letniej pieki,
Błąkał się strzelec młody; stanął nad strumieniem,
Długo poglądał wkoło i rzecze z westchnieniem:
„Chcę ją widzieć, nim kraj ten opuszczę na wieki,

Chcę widzieć niewidziany“. Wtem leci z za rzeki
Konna łowczyni, strojna Dyany odzieniem —
Wstrzymuje konia, staje, zwraca się wejrzeniem.
Zapewne jechał za nią towarzysz daleki.

Strzelec cofnął się, zadrzał i, oczy Kaima
Zataczając po drodze, gorzko się uśmiechał;
Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i żżyma,

Odszedł nieco, jakoby swej myśli zaniechał.
Wtem dojrzał mgłę kurzawy; wzniesioną broń trzyma,
Bierze na cel; mgła bliżej — lecz nikt nie nadjechał.

XI.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO.

Z PETRARKI.

Błogosławiony rok ów, miesiąc i niedziela,
I dzień ów, i dnia częśćka, i owa godzina,
I chwila, i to miejsce, gdzie moja dziewczyna
Uczucia mi natchnęła, choć ich nie podziela.

Błogosławione oczki blasku i wesela,
Skąd amorek wygląda i łuczek napina,
Błogosławiony łuczek, strzałki i chłopczyna,
Co do mnie wówczas strzelił, ach, i dotąd strzela.

Błogosławię ci, pierwsza piosnko nieuczona,
Którą odbiły lasy domowe i rzeki,
Którą potem ojczysta powtarzała strona.

Błogosławię ci, pióro, którym w czas daleki
Wślawilem Ją; i moja pierś błogosławiona,
W której Laura mieszkała i mieszka na wieki!

XII.

REZYGNACJA.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła,
Nieszczęśliwszy jest, kogo próżne serce nudzi,
Lecz ten u mnie ze wszystkich nieszczęśliwszy ludzi,
Kto nie kocha — że kochał, zapomnieć nie zdoła.

Widząc jaskrawe oczy i bezwstydne czoła,
Pamiętkami zatruwa rozkosz, co go ludzi;
A jeśli wdziek i cnota czucie w nim obudzi,
Nie śmie z przekwitłem sercem iść do stóp anioła.

Albo drugimi gardzi, albo siebie wini,
Minie ziemiankę, z drogi ustąpi bogini,
A, na obiedwie patrząc, żegna się z nadzieją.

I serce ma podobne do dawnej świątyni,
Spustoszałej niepogód i czasów koleją,
Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

XIII.

DO...

Patrzysz mi w oczy, wzdychasz — zgubna twa prostota;
Lękaj się jadu, który w oczach żmii płonie,
Uciekaj, nim cię oddech zatruty owionie,
Jeśli nie chcesz kłaść reszty twojego żywota!

Szczerłość, jeszcze mi jedna pozostała cnota;
Wiedz, że niegodny ogień zapalasz w mem łonie —
Lecz umiem żyć samotny... — I pocóż przy zgonie
Ma się wikłać w me losy niewinna istota?

Lubię rozkosz, lecz zwodzić nadto jestem dumny.
Tyś dziecko — mnie namiętne przepaliły bole,
Tyś szczęśliwa, twe miejsce w biesiadników kole —

Moje, gdzie są przeszłości cmentarze i trumny.
Młody bluszczu, zielone obwijaj topole,
Zostaw cierniom grobowe otaczać kolumny!

XIV.

POEZJO, GDZIE CUDNY PĘDZEL...

Poezjo, gdzie cudny pędzel twojej ręki?...
Gdy chcę malować — zacóż myśli i natchnienia
Wyglądają z wyrazów, jak z za krat więzienia,
Kryjących i szpecących tak ubogie wdzięki?

Poezjo, gdzie twoje melodyjne dźwięki?
Śpiewam — ona mojego nie usłyszy pienia,
Jako słowik, król śpiewu, nie słyszy strumienia,
Który w podziemnej głębi rozwodzi swe jęki.

Nie tylko dźwięk i kolor — aniołowie myśli —
Lecz i pióro, roboczy niewolnik poety,
Na cudzej ziemi nie zna praw dawnego pana

I — zamiast pieśni — znaki niepojęte kreśli,
Muzyczne znaki pieśni... Lecz ta pieśń, niestety,
Nigdy jej miłym głosem nie będzie śpiewana!...

XV.

Pierwszy raz jam, niewolnik, z mojej rad niewolii
Patrzę na ciebie — z czoła nie znika pogoda,
Myślę o tobie — z myśli nie znika swoboda,
Kocham ciebie — a przecież serce mi nie boli.

Nieraz brałem za szczęście chwileczkę swawoli,
Nieraz mię obłąkała wyobraźnia młoda,
Albo słówka zdradliwe i wdzięczna uroda —
Lecz wtenczas i rozkosznej zlorzeczyłem doli.

Nawet owę, gdy owę kochałem niebiankę,
Ileż łez, jaki zapal, jaka niegdyś trwoga,
I żal teraz na samę imienia jej wzmiankę!

Z tobą tylko szczęśliwy, z tobą, moja droga!
Bogu chwała, że taką zdarzył mi kochankę,
I kochance, że uczę chwalić Pana Boga!

XVI.

Luba, ja wzdycham! Pamięć niebieskiej pieszczoty
Trują mi okropnego rozmyślenia chwile.
Ach, może serce twoje, co cierpiało tyle,
Może — boję się wyrzec — pustoszą zgryzoty?

Luba, i cóżeś winna, że twych ocząt groty
Tak palące — że usta śmieją się tak mile?
Zbyt ufalaś mej cnocie, zbyt swej własnej sile —
I nazbyt ognia Stwórcy wlał w nasze istoty.

Przewalczyliśmy wiele i dni i tygodni,
Młodzi, zawsze samotni, zawsze z sobą w parze,
I byliśmy oboje długo siebie godni.

Teraz, ach, pójdę łzami oblewać ołtarze!
Nie będę mojej żebrać przebaczenia zbrodni,
Tylko niech mię Bóg twoją zgryzotą nie karze!

XVII.

DZIEŃ DOBRY.

Dzień dobry! Nie śmiem budzić... O wdzięczny widoku!
Jej duch na poły w rajskie wleciał okolice,
Na poły został, boskie ożywiając lice,
Jak słońce na pół w niebie, pół w srebrnym obłoku.

Dzień dobry! Już westchnęła, błysnął promyk w oku.
Dzień dobry! Już obraża światłość twe źrenice,
Naprzykrzają się ustom muchy swawolnice...
Dzień dobry! Słońce w oknach, ja przy twoim boku.

Niosłem słodszy „dzień dobry“, lecz twe sennie wdzięki
Odebrały mi śmiałość; niech się wprzód dowiem:
Z łaskawem wstajesz sercem? Z orzeźwionem zdrowiem?

Dzień dobry! Nie pozwalasz ucałować ręki?
Każesz odejść — odchodzę. Oto masz sukienki,
Ubierz się i wyjdź prędko — dzień dobry ci powiem!

XVIII.

DOB R A N O C.

Dobranoc! Już dziś więcej nie będziem bawili...
Niech snu anioł modremi skrzydły cię otoczy!
Dobranoc! Niech odpoczną po łzach twoje oczy!
Dobranoc! Niech się serce pokojem zasili!

Dobranoc! Z każdej, ze mną przemówionej chwili,
Niech zostanie dźwięk jakiś cichy i uroczy,
Niechaj gra w twojem uchu — a, gdy myśl zamroczy,
Niech się mój obraz sennym źrenicom przymili!

Dobranoc! Obróć jeszcze raz na mnie oczęta,
Pozwól lica! — Dobranoc! — Chcesz na sługi klasnąć?
Daj mi pierś ucałować! — Dobranoc! Zapięta...

— Dobranoc! Już uciekłaś i drzwi chcesz zatrzasnąć. .
Dobranoc ci przez klamkę! — Niestety — zamknęta!
Powtarzając: „dobranoc!“ nie dałbym ci zasnąć.

XIX.

DOBRY WIECZÓR.

Dobry wieczór! On dla mnie najśłodszem życzeniem;
Nigdy, czyto przed nocą dzieli nas zaporą,
Czyli mię ranna znowu przywołuje pora,
Nie żegnam się ni witam z takim zachwyceniem,

Jak w tę chwilę, wieczornym ośmielony cieniem.
Ty nawet, milczeń rada i płonąć się skora,
Gdy usłyszysz życzenie dobrego wieczora,
Żywsem okiem, głośniejszem rozmawiasz westchnieniem.

Niechaj dzieńdobry wschodzi tym, co społem żyją,
Objasniać pracę, która ich ręce jednoczy;
Dobranoc niech szczęśliwych kochanków otoczy,

Gdy z rozkoszy kielicha trosk osłode piją;
A tym, co się kochają i swą miłość kryją,
Dobry wieczór niech przyćmi zbyt wymowne oczy.

XX.

DO D. D.

WIZYTA.

Ledwie wnijdę, słów kilka przemówię z nią samą,
Jużci dzwonek przeraża, wpada galonowy,
Za nim wizyta, za nią ukłony, rozmowy...
Ledwie wizyta z bramy, już druga za bramą.

Gdybym mógł, progi wilczą otoczyłbym jama,
Stawiłbym lisie pastki, kolczate okowy,
A, jeśli niedość bronia, uciechym gotowy
Na tamten świat, stygową zasłonić się tamą.

O przekłety nudziarzu! Ja liczę minuty,
Jak zbrodniarz, co go czeka ostatnia katusza,
Ty pleciesz blahe dzieje wczorajszej reduty!

Już bierzesz rękawiczki, szukasz kapelusza —
Teraz odetchnę nieco, wstąpi we mnie dusza...
O bogi! Znowu siada — siedzi, jak przykuty!

XXI.

DO WIZYTUJĄCYCH.

Pragniesz miłym być gościem, czytaj rady moje!
Niedość, wszedłszy, donosić, o czym wszyscy wiedzą:
Że dzisiaj tam walczą, ówdzie obiad jedzą,
Zboże tanie, deszcz pada, w Grecji rozboje.

Jeśli w salonie znajdziesz bawiących się dwoje,
Zważaj, czy cię z ukłonem, z rozmową uprzedzą,
Czyli daleko jedno od drugiego siedzą,
Czy wszystko jest na miejscu, czy w porządku stroje.

Jeśli pani cc wyraz zaśmiać się gotowa,
Choć usta śmiać się nie chcą — jeśli panicz z boku
Pogląda i zegarek dobywa i chowa,

I grzeczność ma na ustach, a coś złego w oku:
Wiesz, jak ich trzeba witać? „Bywaj zdrów, bądź zdrowa!“
A kiedy ich masz znowu odwiedzić? — Po roku.

XXII.

POŻEGNANIE.

DO D. D.

Odpychasz mię? — Czym twoje serce już postradał?
Lecz jam go nigdy nie miał! — Czyli broni cnota?
Lecz ty pieścisz innego! — Czy, że nie dam złota?
Lecz jam go wprzód nie dał, a ciebie posiadał!

I nie darmo — choć skarbów przed tobą-m nie składał,
Ale mi drogo każda kupiona pieszczota,
Na wagę duszy mojej, pokojem żywota.
Dlaczegoż mię odpychasz? Nadaremniem badał.

Dziś odkrywam łakomstwo nowe w sercu twojem:
Pochwalnych wierszy chciałaś!... Marny pochwał dymie!
Dla nich więc igrasz z bliźnich szczęściem i pokojem?

Nie kupić Muzyl! W każdym ślizgałem się rymie,
Gdym szedł na Parnas z lauru wieńczyć cię zawojem,
I ten wiersz wraz mi stwardniał, żem wspomniał twe imie.

XXIII.

DANAIDY.

Płci piękna! Gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
Za haftowane kłosem majowe sukienki
Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki,
Gdy do lubej gołębia posyłano w swaty?

Dzisiaj wieki są tańsze, a droższe zapłaty.
Ta, której złoto daję, prosi o piosenki;
Ta, której serce daję, żądała mej ręki;
Ta, którą opiewałem, pyta, czym bogaty.

Danaidy! Rzucałem w bezdeń waszej chęci
Dary, pieśni i we łzach roztopioną duszę;
Dziś z hojnego jam skąpy, z czulego szyderca,

A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę:
Lecz dawniej wszystko dałbym, dziś wszystko — prócz serca,

XXIV.

E K S K U Z A.

Nuciłem o miłostkach w rówienników tłumie.
Jedni mię pochwalili, a drudzy szeptali:
„Ten wieszcz kocha się tylko, męczy się i żali,
Nic innego nie czuje, lub śpiewać nie umie.

W dojrzałe wchodząc lata, przy starszym rozumie,
Czemu serce płomykiem tak dziecinny pali?
Czyliż mu na to wieszcz głoś bogowie dali,
Aby o sobie tylko w każdej nucił dumie?“

Wielkomyślna przestroga! — Wnet z górnymi duchy
Alcejski chwytam bardon, i strojem Ursyna
Ledwie zaczął przegrywać, aż cała drużyna

Rozpierzchła się, unosząc zadziwione słuchy...
Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy.
Taki wieszcz, jaki słuchacz...



SONETY KRYMSKIE.

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichter's Lande gehen.

Goethe im Chuld Nameh.

Towarzyszom podróży krymskiej.

Autor.

I.

STEPY AKERMAŃSKIE.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi,
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada; nigdzie drogi ni kurhanu.
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi;
Tam zdala błyszczący obłok? Tam jutrenka wschodzi?
To błyszczący Dniestr, to weszła lampa Akermanu.

Stójmy! — Jak cicho! — Słyszę ciągnące żorawie,
Którychby nie dościgły żrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła.
W takiej ciszy — tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy. — Jedźmy, nikt nie woła!

II.

CISZA MORSKA.

NA WYSOKOŚCI TARKANKUT.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie,
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda;
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi, gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kolysze się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek. wytchnął, podróże rozśmiało się grono.

O morze! Pośród twoich wesołych żyłatek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długimi wywija ramiony.

O myśli! W twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

III.

Ż E G L U G A.

Szum większy, gęściej morskie snują się straszidła —
Majtek wbiegł na drabinę: gotujcie się, dzieci!
Wbiegł, rozciągnął się, zawisł w niewidzialnej sieci,
Jak pajak, czatujący na skinienie sidła.

Wiatr! — Wiatr! — Dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła,
Przewala się, nurkuje w pienistej zamieci,
Wznosi kark, zdeptał fale, i skroś niebios leci,
Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła.

I mój duch masztu lotem buja wśród odmetu,
Wzdyma się wyobraźnia, jak warkocz tych żagli;
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem,

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu —
Zdaje się, pierś moja do pędu go nagli.
Lekko mi — rzeżwo — lubo! Wiem, co to być ptakiem.

IV.

B U R Z A.

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnej gromady, pomp złowieszcze jęki —
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki —
Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei

Wicher z triumfem zawył, a na mokre góry.
Wznoszące się piętrami z morskiego odmetu,
Wstąpił jenjusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz, szturmujący w połamane mury.

Ci leżą napół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół, żegnając się, pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnąć.

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślił: „Szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać!”

V.

WIDOK GÓR ZE STEPÓW KOZŁOWA.

PIELGRZYM.

Tam — czy Allah postawił ścianą morze lodu?
Czy aniołom tron odlał z zamrożonej chmury?
Czy Diwy z ćwierci ładu dźwignęły te mury,
Aby gwiazd karawany nie puszczać ze wschodu?

Na szczycie jaka luna! Pożar Carogrodu?
Czy Allah, gdy noc chylał rozciągnęła bury,
Dla światów, żeglujących po morzu natury,
Tę latarnię zawiesił wśród niebios obwodu?

MIRZA.

Tam? — Byłem: zima siedzi; tam dzioby potoków
I gardła rzek widziałem, pijące z jej gniazda.
Tchnąłem — z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków,
Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda...
Minałem grom, drzemiący w kolebce z obłoków,
Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda.
To Czatyrdah!

PIELGRZYM.

Aa!!

VI.

BAKCZYSARAJ.

Jeszcze wielka — już pusta Girajów dziedzina!
Zmiotane czołem baszów ganki i przedsienia,

Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina.

Skroś okien różnofarbnych powoju roślin,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia
I pisze Baltazara głoskami „RUINA“.

W środku sali wycięte z marmuru naczynie.
To fontanna haremu; dotąd stoi cało
I, perłowe lzy sącząc, woła przez pustynie:

„Gdzie jesteś, o miłości, potęgo i chwało!
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie...
O hańbo! Wyście przeszli, a źródło zostało“.

VII.

BAKCZYSARAJ W NOCY.

Rozchodzą się z dżamidów pobożni mieszkańcy,
Odgłos izanu w cichym gubi się wieczorze,
Zawstydziło się licem rubinowem zorze —
Srebrny król nocy dąży spocząć przy kochance.

Błyszczą w haremie niebios wieczne gwiazd kagańce,
Śród nich po safirowym żeglują przestworze
Jeden obłok, jak senny łabędź na jeziorze:
Pierś ma białą, a złotem malowane krawce.

Tu cień pada z menaru i wierzchu cyprysa,
Dalej czernią się kołem olbrzymy granitu,
Jak szatany, siedzące w dywanie Eblisa

Pod namiotem ciemności; niekiedy z ich szczytu
Budzi się błyskawica i pędem Farysa
Przelatuje milczące pustynie błękitu.

VIII.

GRÓB POTOCKIEJ.

W kraju wiosny, pomiędzy rozkosznymi sady,
Uwiedłaś, młoda różo, bo przeszłości chwile,
Ulatując od ciebie, jak złote motyle,
Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.

Tam, na północ, ku Polsce, świecą gwiazd gromady;
Dlaczegoż na tej drodze błyszczą się ich tyle?
Czy wzrok twój, ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
Tam wiecznie lecąc, jasne powypalał ślady?

Polko! — I ja dni skończę w samotnej żałobie;
Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci!
Podróźni często przy twym rozmawiają grobie —

I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnej ocuci —
I wieszcz, samotną piosnkę dumając o tobie,
Ujrzy bliską mogilę i dla mnie zanuci.

IX.

MOGIŁY HAREMU.

MIRZA DO PIELGRZYMA.

Tu z winnicy miłości niedojrzałe grona
Wzięto na stół Allaha; tu perełki Wschodu,
Z morza uciech i szczęścia, porwała za młodu
Truna, koncha wieczności, do mrocznego łona.

Skryła je niepamięci i czasu zasłona;
Nad niemi turban zimny błyszczą wśród ogrodu
Jak buńczuk wojska cieniów, i ledwie u spodu
Zostały, dłonią gładzą wyryte, imiona.

O wy, róże edeńskie! U czystości stoku
Odkwitnęły dni wasze pod wstydu liśćiami,
Na wieki zatajone niewiernemu oku.

Teraz grób wasz spojrzenie cudzoziemca plamił
Pozwalam mu; darujesz, o wielki Proroku:
On jeden z cudzoziemców poglądał ze łzami.

X.

BAJDARY.

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów;
Lasy, doliny, głązy w kolei, w natłoku
U nóg mych płyną, giną, jak fale potoku;
Chcę odurzyć się, upić tym wirem obrazów.

A gdy spieniony rumak nie słuca rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem mroku,
Jak w rozbitem zwierciedle, tak w mem spiekłem oku
Snują się mary lasów i dolin i głązów.

Ziemia śpi — mnie snu niema. Skaczę w morskie łona —
Czarny, wydęty bałwan z hukiem na brzeg dąży...
Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona —

Pęka nad głową fala, chaos mię okraży...
Czekam, aż myśl, jak łódka, wirami kręcona,
Zbłąka się i na chwilę w niepamięć pograży.

XI.

AŁUSZTA W DZIEŃ.

Już góra z piersi mgliste otrząsa chylaty,
Rannym szumi namazem niwa złotokłosa,
Kłania się las i sypie z majowego włosa,
Jak z różańca chalifów, rubin i granaty.

Łąka w kwiatach, nad łąką latające kwiaty,
Motyle różnofarbne, niby tęczy kosa,
Baldakimem z brylantów okryły niebiosą;
Dalej szarańcza ciągnie swój całun skrzydlaty,

A, kędy w wodach skała przegląda się łysa,
Wre morze i, odparte, z nowym szturmem pędzi.
W jego szumach gra światło, jak w oczach tygrysa,
Sroższą zwiastując burzę dla ziemskiej krawędzi,
A na głębinie fala lekko się kołysa,
I kąpią się w niej floty i stada łabędzi.

XII.

AŁUSZTA W NOCY.

Rzeźwią się wiatry, dzienna wolniej posucha,
Na barki Czatyrdahu spada lampa światów,
Rozbija się, rozlewa strumienie szkarłatów
I gaśnie. Błędny pielgrzym ogląda się, słuca.

Już góry poczerniały, w dolinach noc głucha,
Źródła szemrzą, jak przez sen, na łożu z bławatów,
Powietrze, tchnące wonią, tą muzyką kwiatów,
Mówi do serca głosem, tajemnym dla ucha.

Usypiam pod skrzydłami ciszy i ciemnoty:
Wtem budzą mię rażące meteoru błyski —
Niebo, ziemię i góry oblał potop złoty!

Nocy wschodnia! Ty, nakształt wschodniej odaliski,
Pieszczotami usypiasz, a, kiedym snu bliski,
Ty iskrą oka znowu budzisz do pieszczoty.

XIII.

CZATYRDAH.

MIRZA.

Drżąc, muślimin całuje stopy twej opoki,
Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu!
O minarecie świata, o gór padyszachu!
Ty, nad skały poziomemu uciekwszy w obłoki,
Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabryel, pilnujący edeńskiego gmachu.
Ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu
Twój turban z chmur haftują, błyskawic potoki.
Nam czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy szarańcza plon zetnie, czy گیاور pali domy,
Czatyrdahu, ty zawsze głuchy, nieruchomy,
Między światem i niebem, jak drogman stworzenia,
Podestawszy pod nogi ziemię, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko, co mówi Bóg do przyrodzenia.

XIV.

PIELGRZYM.

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice;
Dlaczegoż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie i — niestety — jeszcze dalsze czasy?
Litwo! Piałę mi wdzięczniej twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice —
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.
Tak daleki, tak różna wabi mię pońeta...
Dlaczegoż, roztargniony, wzdycham bez ustanku
Do tej, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona, w lubej dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jej wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?

XV.

DROGA NAD PRZEPAŚCIĄ W CZUFUT-KALE.

MIRZA I PIELGRZYM.

MIRZA.

Zmów pacierz, opuść wodze, odwróć na bok lica!
Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza;
Dzielny koń! Patrz, jak staje, głab okiem rozmierza,
Uklęka, brzeg wiszaru kopytem pochwyca

I zawisnął. — Tam nie patrz! Tam spadła żrenica,
Jak w studni Al-Kahiru, o dno nie uderza.
I ręką tam nie wskazuj — nie masz u rąk pierza!
I myśli tam nie puszczaj, bo myśl, jak kotwica,

Z łodzi drobnej ciśniona w niezmierność głębiny,
Piorunem spadnie, morza do dna nie przewierci,
I łódź z sobą przechyli w otchłanie chaosu.

PIELGRZYM.

Mirzo, a ja spojrziałem! Przez świata szczeliny
Tam widziałem... Com widział, opowiem — po śmierci,
Bo w żyjących języku niema na to głosu.

XVI.

GÓRA KIKINEIS.

MIRZA.

Spojrzyj w przepaść; niebiosą, leżące na dole,
To jest morze; — śród fali, zda się, że ptak-góra,
Piorunem zastrzelony, swe masztowe pióra
Roztoczył kręgiem, szerszym, niż tęczy półkole,

I wyspą śniegu nakrył błękitne wód pole.
Ta wyspa, żeglująca w otchłani — to chmura!
Z jej piersi na pół świata spada noc ponura;
Czy widzisz płomienistą wstążkę na jej czole?

To jest piorun! — Lecz stójmy, otchłanie pod nogą!
Musim wawoz przesadzić w całym konia pędzie;
Ja skacze, ty z gotowym biczem i ostrogą,

Gdy zniknę z oczu, patrzaj w owe skał krawędzie;
Jeśli tam pióro błysnie, to mój kołpak będzie;
Jeżeli nie, już ludziom nie jechać tą drogą.

XVII.

RUINY ZAMKU W BAŁAKŁAWIE.

Te zamki, połamane w zwaliska bez ładu,
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymie!
Dzisiaj sterczą na górach, jak czaszki olbrzymie:
W nich gad mieszka, lub człowiek, podlejszy od gadu.

Szczeblujmy na wieżycę! Szukam herbów śladu,
Jest i napis — tu może bohatera imię,
Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drzymie,
Obwinione, jak robak, liściem winogrodu.

Tu Grek dłutował w murach ateńskie ozdoby,
Stąd Italczyk Mongołom narzucał żelaza,
I mekkański przybylec nucił pieśń namaza.

Dziś sępy czarnem skrzydłem oblatują groby;
Jak w mieście, które całkiem wybija zaraza,
Wiecznie z baszt powiewają chorągwie żałoby.

XVIII.

AJUDAH.

Lubię spoglądać, wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się, buchają, to, jak srebrne śniegi,
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbijają na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi,
Zdobędą ład w triumfie i, napowrót zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o poeto młody,
Namiętność często groźne wzburza niepogody;
Lecz, gdy podniesiesz bardon, ona bez twej szkody

Ucieka w zapomnienia pograżyć się toni —
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki upłotą ozdobę twych skroni.

XIX.

J A S T R Z A B.

Biedny jastrząb! Śród niebios porwała go chmura,
W obcy zanosła żywioł i dalekie strony;
Morską przesiąkły rosą, wichrami znużony,
Śród ludzi na tym maszcie roztoczył swe pióra.

Nie bój się. żadna na cię nie czatuje ręka;
Bezpieczny-ś. jakbyś siedział na leśnej gałęzi!
On jest gościem Giowanno! Kto gościa uwięzi,
Jeżeli jest na morzu, niech się burzy lęka!

Wspomnij na moje, wspomnij na twe własne dzieje:
I tyś na życia morzu — widziałas straszydła —
I mnie wichur odpędził, słota złała skrzydła.

Pocóż te słowa miłe, te zradne nadzieje?
Sama w niebezpieczeństwie — drugim stawisz sidła...



WIERSE NAJWCZESNIEJSZE.

DODATEK DO „CWIBAKA“.

GUWERNER.

Lecz proszę się nie ważyć tego innym razem!
Nigdy podobne figle nie uszłyby płazem!
Dziś tylko, że jest święto mego przyjaciela,
Chcę, żeby dzień ten wszystkim stał się dniem wesela.

(Otwierają się drzwi. Daniłek wnosi kosze).

DANIŁEK.

Com znalazł, zakupiłem i tutaj przynoszę:
To pierogi — a to są z bakalią kosze.

GUWERNER.

Wszystko to dla paniczów zostawisz, Daniłku.

(Wszyscy błęgną, kłaniając się).

TEPIN.

Potrzebne ci jedzenie, napój dla posiłku.

(Z książką je).

JOHAN.

B-brawo! Ja, com w cudzej fi-fi-figurował skórze,
Będę fi-figurował we własnej fi-figurze.
Fi! Niech bież słucha tych hołoppopców ppeśa!
Johan wystąpi, jako wielki m-mistrz kredensa.

CWIBAK.

Hagelwetter! Ten pirog tak wygląda z twarze,
Jakby bywał na mego upieczona zarze.

GUWERNER.

Dowiedziałem się, pierwszej co się tutaj stało,
Jak się z ciebie paniczom zażartować zdało;
Nagradzając za groźby, strachy i kulaki,
Kazałem wszystkie w domu wykupić cwejbaki.

CWIBAK.

Jechalgom ciebie jego sęk!

GUWERNER.

Zabawiam się hucznie:
Oto idą sproszeni z całych szkół spółucznie.

JOHAN.

Ja mówiłem, że dzisiaj jest *haustum* i *lyktum*
I że się nie potrzeba lękać, *quid est dictum*.

GUWERNER.

Teraz wam wytłumaczę dzisiejsze obchody.
Słuchajcie! Kiedy jeszcze, jak wy, byłem młody,
Pobratawszy się z sobie równymi nieuki,
O tem tylko myślałem, kędy zbijać bruki,
Cały dzień w karty przegrać, lub fajką przekurzyć,
Gorsy modnie wystrychnąć i łeb wyczupurzyć.
A wtem pośród nas Pan Bóg Tomasz objawił:
On podwyższył umysły i serca naprawił,
Związał nas i na pewnej gruntował podstawie,
Trudom nadał porządek, szlachetność zabawie.
Odtąd, chociaż nas było i różnych i wielu,
Wszyscy zgodnie dążymy do jednego celu.
A póki ogień życia pała w naszym oku,
Dzień ten każdego będziemy obchodzili roku,
Pomniąc zawsze, w spoczynku, zabawie i pracy,
Żeśmy uczniem młodzieńcy i żeśmy Polacy!

CWIBAK.

O, tak! Tak! Kaszda Deytzer pana Polak lubić,
Bo on nam dobre placić, choć czasem naczubić.

(Do Guwenera).

A! Jak pięknie uczyleś! Cały szkol tu spędzić!
Sam Prediger in Wrocław tak *gut* nie gawędzić:

(Udaje głos).

Aby zawsze pamiętał w nauki i praci,
Że, kiedy zje pieroszki, to musi zapłaci.
O, tak! Niemasz na glupskim świecie sprawiedliwość:
W raju darmo jest pierog, w raju to szczęśliwość,
Bo tam niema podatki, darmo mąki biere,
O, tak uczy paniczny, panie guwernere,

Że nie tu ocz wiązałem, a pierog grabilem!
Ale, co miałem mofić, znowu zapomniałem.

Śpiewy.

STUDENCI.

Dobry panie guwernerze!
Dalibóg, że my się wstydzim,
Gdy w sobie (wyznajmy szczerze!)
Tych próżniaków obraz widzim.

CWIBAK.

Mosci pana guwernerze!
Dalibóg, że ja się wstydzi,
Kiedy od mego kwatere
Cały pierog tutaj widzi.

STUDENCI.

A zaś ten młodzieniec śmiały,
O którego tu osobie
Takie mówiono pochwały,
O Tomaszu — on jest w tobie!

CWIBAK.

A ten, co zakupił skryнка,
To dobry pan guwernerze,
Ach, jak moj *Frau* Katarynka,
Pleszcząc w lapki, groszy bierze.

JOHAN (śpiewa bez jakania się).

Ej, precz, ty, Niemcze Maruda,
Ot, dziwnego powiem cości:
Jam grał, jak chrapliwa duda —
Teraz od wielkiej radości
Z języka spadły papucie,
Kręcę nim, jak miotaleczką,
I tłómaczę panu czucie

(urywa śpiewanie i mówi)

Wyrażniousienietenieczko!

TEPIN.

Oto, gdy z radości wielkiej
Wół gada, da osioł klusa,
I ja ogonem mielk...

(Nie słuchają).

Ej,

Słuchajcie minimusa!

Tępin, ucząc się rok czwarty,
Nie mógł przeleźć stąd dotąd;
(Pokazując na księżce).
Teraz umiem już pół karty...
(Przestaje śpiewać i recytuje):
Różnimy się ludzie od zwierząt...
Potrzebne ci jedzenie... braciszku, podpowiedz!
...Potrzebne ci jedzenie...

(GUWERNER bierze za rękę).
No, tedy idź i jedz!

STUDENCI.
To dajemy, co nam stanie:
Piosneczek prostacze składy.
Za lepsze powinszowanie
Pójdziem w cnoty twojej ślady.

CWIBAK.
U mnie, kiedy pieniądz braka
Na wein, bier i kaliszan,
Masz koncept bez cukr i maka,
Jedz!

(Przerywa śpiewanie).
Tylko nie mów, że jest gryszan.

ZIMA MIEJSKA.

Przeszły dżdże wiosny, zbiegło skwarne lato
I przykre miastu jesienne potopy —
Już bruk, ziębiącą obleczony szatą,
Od stalnej fryzów nie krzesany stopy.

Więzieni słotą w domowej katuszy,
Dziś na swobodne gdy wyjrzem powietrze,
Londyński pojazd tarkotem nie głuszy,
Ani nas kręgi zbrojnemi rozetrze.

Witaj, narodom miejskim pora błoga!
Już i Niemeńców i sąsiednich Lechów
Tu szuka ciżba, tysiącami mnoga,
Zbiegłych Driadom i Faunom uśmiechów.

Tu wszystko czerstwi, weseli, zachwycą,
Czy ciągnę tchnienie, co się zimnem czyści,
Czy na niebieskie zmysł podniosę lica,
Czyli się śnieżnej przypatruję kiści.

Jedna z nich pływa w niepewnym żywiole,
Druga, ciężarem sporsza, już osiadła:
Tą wiatr poleciał stwardniałe kryć role,
Albo pobielic Wilji zwierciadła.

Lecz kogo sioło dzisiejsze uwięzi,
Zmuszony widzieć łyse gór wiszary,
Grunt dziki, knieję, nagiemi gałęzi
Niesilną zimne podźwignąć ciężary —

Taki, gdy smutna ciągnie się minuta,
Wreszcie zmieniony kraj porzuca z żalem
I, dając chętnie Cererę za Pluta,
Pędzi wóz ku nam, ciężarny metalem.

Tu go przyjmują gościnne podwoje,
Rzeźbą i farbą odziany przybytek —
Tutaj rolnicze przepomina znoje
W pieszczonym gronie czarownych Charytek.

Na wsi, za ledwie czarna noc rozrzednie,
Każe wraz Ceres wczesny witać ranek:
Tu, chociaż słońce zajmie nieba średnie.
Pod atlasowym śpię cieniem firanek.

Lekkie nareszcie oblokłszy nankiny,
Modnej młodzieży przywoływać koło;
Strojem poranne zbywamy godziny,
Albo rozmową bawim się wesołą.

Ten, w lśniący kryształ włożywszy oblicze,
Wschodnim balsamem złoty kędzior pieści —
Drugi stambulskie oddycha gorycze,
Lub pije z chińskich ziół ciążnione treści.

A kiedy chwila dwunasta nadbieży,
Wraz do śliskiego wstępuję powozu;
Sobol lub rosmak moje barki jeży
I, suto zdobiąc, nie dopuszcza mrozu.

Na sali orszak przywitam wybrany;
Wszyscy siadają za biesiadnym stołem,
W kolej szlą pełne smaków porcelany
I sztucznym morzą apetyt żywiołem.

Pijemy węgrzyn, mocny setnem latem,
Wrą po kryształach konjaki i pące,
Pleć piękna gasi pragnienie muszkatem,
Co, dając rzeźwość, myśli nie zapłące.

A gdy się trunkiem zaiskrzą źrenice,
Dowcipne, czułe wszystkim płyną słowa,
Niejeden uwdzięk zarumieni lice,
Niejedna wzrokiem zapala się głowa.

Nareszcie słońce niżone zagasło —
Rozsiewa mroki dobroczynne zima:
Boginie dają do rozjazdu hasło —
Zagrzmiały schody i już gości niema.

Którzy są z szczęściem poufali ślepem,
Pod twój znak idą, królu Faraonie,
Lub, zręczni lekkim wykręcać oszczepem,
Pędzą po suknach wytoczone słonie.

A gdy noc ciemne rozepnie zasłony
I szklannem światłem błysną kamienice,
Młodzież, dzień kończąc, wesoło spędzony,
Tysiączną sanią szlifuje ulice.

JUŻ SIĘ Z POGODNYCH NIEBIOS...

Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna.
Żeglarzu, ciągnij rudel, wiatrom podaj płótna,
Zmocnioną wczasem dłonią słone krajaj piany:
Otworem ci przestrzenne leżą oceany!
Niech umysłów nie chwieje burzliwość powodzi,
Towarzystwo nieliczne, kruchej słabość łodzi!
Wszak nie miał barki z dębu, ni serca ze stali
Frygijczyk, co się pierwszy chytrej zwierzał fali,
A, w zawody na złomnem puściwszy się drewnie,
Choć nań piekła i nieba dęsały się gniewnie,
W własnych dzielnościach ufny, śmiałych żądań pełny,
Nieba i piekła zwalczył, złotej dostał wełny.
Nas, kiedy w niższym stopniu śmiała chęć nie kładzie,
Gdy nowe tworzym gmachy na nowej posadzie,
Gdy nasz trud równie wielki, cel równie szlachetny,
Weźmijmyż z bohaterów greckich przykład świetny.

Im, pierwszy raz ojczyste rzucającym gniazda,
Nie stała się okropną tak daleka jazda;
Nam, po wejściu do szranków, możnaż drzeć z obawy,
Gdy każdy trud zwalczony jest szczeblem do sławy?
Oni na wspólne dobro różne znieśli dary:
Ten siłę, ten wzrok ostry, ów dźwięki cytary;
My tak czynimy, a wszystko torem pójdzie snadnym:
Wszak w niewielu brak darów — gorliwości w żadnym!
Wszyscy chciejmy dokonać — dokona, kto może,
Bo się nierówną miarą dzielą łaski Boże.
Lecz, gdy ku wiekim sprawom pole się odkrywa.
Sama teraz nierówność mniej szkodzącą bywa.
Szczęśliwy, komu pierwsze wieńce się dostały:
Sam zyska chwałę, innych zachęci do chwały;
Lecz niech stąd marnej pychy blasków nie przywdziewa!
Wszakże owoc, nie liście świadczą lepszość drzewa.
Więc nie z wzięcia przyklasków, nie z zaszczytnej palmy —
Żeśmy pożyteczniejsi, z tego się pochwalmy!
Niech każdy, jak ów Greczyn, głosi dzielność swoją:
„Mocniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję!”

Póki, spiesząc do mety, wytkniętej u brzegu,
Żaden gromad biegących nie wyprzedzi w biegu,
Póty, na zawodników patrząc z daleka,
Ktoby był wart nagrody, lud spokojnie czeka;
Lecz, kiedy raz z biegących dobyłeś się tłoku,
Pod karą wiecznej hańby nie cofajże kroku,
Żeby, siły w ostatniej wywarlszy potrzebie,
Tłumy, któreś przegonił, nie dognały ciebie!
Bo, jeżeliś nad innych przymioty jaśniejszy,
Co innym zwiększa sławę, to tobie umniejszy.
Łamiąc męża szampierza na publicznym piasku,
Czyliż zwycięzca nie rad z gminnego oklasku?
Przecież w oczach półboga, co łamał centaury,
Nie miałyby ponęty zapaśnicze laury!
Tak, im kto wyżej stąpił, w większy trud się wprzęgą,
I tem się nawet zniża, że wyżej nie sięga.
Do was to mówię, których braćmi nazwać lubo:
Wy, przyszła Towarzystwa podpora i chlubo,
Wy, którym była matką łaskawszą natura,
Im wyżej, tem usilniej wyęszczajcie pióra.

Ażby, sławy podniebne dosięgłszy opoki,
Innych zaś braterskimi zachęcali wzroki!
Nam zaś, którzy w poziomszym umieszczeni rzędzie,
Że waszym śladem idziem, i to chlubą będzie.
Gdzie Achil pozwał w szranki bogów polubieńce,
Wielkie miały wartości i dziesiąte wieńce:
Te weźmijmy! Niech zawieść serc nam nie podbija,
Ni się czarnej niechęci wkrada do nich żmija!
Wszakże własne żądanie do związku nas wiodło,
Wszak praca nasze bóstwo, przyjaźń nasze godło.
Oby kiedyś świat cały, zgodne wiążąc dłonie,
Nasze wziął godło, naszym bóstwom sypał wonie!

Ale z takich początków wniósłby chyba tępy,
Że trzeba wszystkim wolne zrobić do nas wstępy,
Bo niedługo postoi gmach, wolny od skazy,
Jeśli doń budowniczy kładł bez braku głązy.
I nam jeśli nie miło pracę podjąć marną,
Sprawmy, niechaj się tylko godni do nas garną.
Żeby tak pożyteczne dokonać zamysły,
Najpewniejszym sposobem będzie wybór ścisły.
Ów Samińczyk, w mądrościach natury ćwiczony,
Gdy prawdzie, długo nagiej, narzucał zasłony
I tajne berło cnoty rozciągał nad światem,
Nie każdemu z swych uczniów dozwolił być bratem.
Tak uczynił i Orfej, naród głaszcząc dziki —
Tak się i eleuzyńskie odbyły tajniki.
Nam choć liczne pragnących stawia się orszaki,
Nie jedna wszystkich żądza, zamiar nie jednaki:
A gdy chytrej obludy zdejmniemy z nich płaszcze,
Nie pod jednym się runem wilcze znajdą paszcze.
Ten się chciwością pędzi ślepą, dumą drugi.
Co w licznych towarzystwach chce mieć liczne sługi —
A niech się im wykrętne nie zdadzą manowce,
Srodzy wraz z przyjaciela będą prześladowce.
Inny, by krótką chętkę lub ciekawość sycić,
Za najtrudniejsze sprawy nie waha się chwycić,
Ale, jak go dziecinna uwiodła łakotka,
Dziecinna zrazi trudność, którą pierwszą spotka.
Tacy, gdy do nas wstępu nie znajdują, przychodnie,
Gdy, jakeśmy działali, będziemy działać zgodnie,

Gdy, osobne urazy topiąc w niepamięci,
Každy na wspólne dobro wszystkie zwróci chęci,
Zgodną przyszłość przeszłości zmierzając rachubą,
Będziemy wzorem innym, sobie samym chlubą.

14 września 1818 r.

KIEDY ŚLESZ BILET BOGATYM...

Kiedy ślesz bilet bogatym,
Niechaj ma brzegi złocone;
Fircyka obdarz pstrokatym,
A różowym mądrą żonę.

Mogilę albo gromnicę
Niechaj mają baby stare,
Zdrajca kraju — szubienicę,
Kokiet — kupidyneków parę.

Anioleczek dla dewotki,
Pijakowi flasza spora,
Oszustom figlarne kotki,
A śmierć maluj dla doktora.

Na szmacie gazety wreszcie
Poślij życzenie gadule,
Jurystom na manifeście,
A skapemu na bibule.

Dla przyjaciół posyłaj na prostym papierze,
Byle szczerze.

JAMBY POWSZECHNE.

Hej, jambie, wystap, w całej zabłyśnij postaci
I potańcuj, potańcuj dla waszmościów braci!

Otóż wystąpił, oto na niedźwiedziej łapie
Wspina się i wyprawiać myśli kulki gapie!
Jambus, z... mózgownic wyrodzona sztuka,
Ucho ma osłowate, a szpony borsuka,
Wzrok, jako wzrok sokoła, a węch Onufrego.
Oj, nigdy się Wiwłasy przed nim nie ustrzegą:
Czy kto, pod wieczór robiąc ciężkie skiki, skiki,
Udaje we łbie skwarzyć plan metafizyki,

A z cicha: „Otwórz!” — puka w rozkoszy wrzeczadze.
Czy kto kogo za białe przywodzi pieniądze,
Czy hydromelu kupi lub książki rozprasza —
Jamb to szpieguje, pisze, zwołuje, ogłasza.
Różny ton ma i pochwał i żartów i przygan:
Raz jak Pindar, jak baba raz, nawet jak cygan.

Hej, jambie, wystąp, w całej zajaśnij postaci
I potańcuj, potańcuj, dla waszmościów braci.

Wystąpił — lecz nie tańczy, pogląda z pokorą,
Chowa pod pachy kańczug, ręczony we czworo.
Nie dla łajania przyszedł, ani dla chłostania:
Oto przeprosza wszystkich i wszystkim się kłania.
Tak, tak, panie Adamie, kaduk wziął te czasy,
Kiedyś mógł wydrwić śmiało i zburzyć Wiwłasy
I, choć się nie każdemu concept twój spodobał,
Chociaż w zbytłych zapalach czasem-eś przeszkrobał,
Choć pewny Tomasz rymy twe przyjął niemile,
Gdyż serce wieszczów nazbyt jest *irritable* —
Jednak poszło to w *non sunt* i przed drugą fetą
Chwalił i niezgrabnego wielkim zwał poetą,
Gdyż za długie gniewanie myślał, że Adam-by
Znowu go odmalował i oprowił w jamby.
Dziś, gdy mnie zły los oręż jambowski odbiera,
Cóżem wart? Ledwie zero, a może i zera
Nie wart; może dziś muza ostatni raz ziewnie:
Idę, niestety, skwaśnieć w nadniemońskim Kiewnie.
Któż gniewne na mnie gęby utrzyma tu w ryzie?
Kto się pięścią odbroni i jambem odgryzie?
Nikt! Ledwie zniknę, wrzasną na mnie: „Ura! Gwałtu!”
Nie znajdą w pieniach smaku, ni mocy, ni kształtu.
Ten powie, żem o rymy często się zawadzał,
Ów znowu, żem przesadzał, ów, że nie dosadzał
„Gdzie jego jamb do Zana? Gdzie do Jana oda?”
Każdy coś niesłusznego poda, albo doda,
A może i słusznego — dalibóg, sam czuję,
Że już mi tak, jak niegdyś, w rymach nie szančuje.
Niegdyś, zaledwiem oddał wizytę Teresie,
Krew się pali, łeb szumi, ręka k'pióru rwie się ...
A dzisiaj?! Jakże trudno wenę rozkolysać!
Co w godzinę przeczytam, dwa dni muszę pisać.

Wieleż tu trudu jamby wyłożyłem na te!
Próżno mi dubeltową sprawił Jan herbatę,
Próżno Tomasz z półzłotką wysłał do Sipkowej —
Wywietrzałej nie mogłem zreperować głowy.
A czy moja to wina? Oj, nie! — Że nie, to nie!
Zgadłem ja tajemnicę i wam ją odsłonię:
Wyższa kara mnie sięga, istny dopust Boży,
Muzy mnie prześladują, Feb się na mnie sroży
On rozum do grubego schował dziś pokrowca.
On i szewca i tego gnał na mnie mózgowca.
Szedłem prosto, myślałem o jambów osnowie,
Już w pięć godzin trzy wiersze uplątałem w głowie.
Biegę z świetnym nabytkiem, wtem Onufr, u kata:
„Cóż to? Beład w archiwach! Szkoda! Czasu strata!
Waćpan kwalifikacyjnej noty nie oddałeś,
Praw nie redagowałeś, kwitów nie spisałeś!
Waćpan kaznodziejskiemi odurzony słowy!”
— Poniosłem łeb, jak przedtem, smutny i jałowy —
Siadam — szukam końcówek, a wtem nową scenę:
W domu bitwy, hałasy, a szewc *notabene*,
Szewc niegodzijasZ (zważcie, czyż niesłuszne gniewy?)
Ujeżdża i ostatnie chce uwieźć cholewy.
Uwioźlby, lecz od Jana sukurs nadszedł bliski:
Miałem czem kapitańskie wyszmelcować pyski.
Mimo w rozumie i serca zawieć
Siaki taki jambusek dla kolegów skleć.
Cóż, gdyby nie przeszkoda! Próżno się boimy,
Możebym zaćmił Jańskie i Zanowe rymy...
Precz, skromności fałszywe! Nie znacie Adama!
Zaraz z jego odejściem zrobi się tu jama!
Pożałujcie, o bracia; wstyďte się tak nisko
Sadzić centrum rozumów, talentów ognisko!
Wiersze — to dla mnie fraszka! O, ileż-to razy
Brała mnie chętka żywe malować obrazy!
Z dowcipem i przemysłem, ledwie znanym kiedy,
Wziąwszy glinki, lubryki i węgle i kredy,
Na ścianie cuda sztuki: owdzie tabakierę,
Owdzie-m muchę, a owdzie rysował Wenerę.
Cóż stąd? Oto przekłete: chichi, chichi, chichi!
„To niezgrabnie! To czysto kropkowane sztychy!”
Giną talenta, gdy się zachęt nie udziela.
Rzucam węgiel — świat może utracą Apella.

A muzyk, basetlista Zan cóż ma nade mnie?
 Czyż ja śpiewam mniej hucznie. albo mniej przyjemnie?
 W Bekiowym czyż nie mógłbym gębą ruszać chórze:
 „Któż się twym sprawom wydziwować może?...”
 Przecież mię nikt nie chwali, Hieronim nie prosi,
 Bym zanucił dla panny Marji, albo Zosi.
 Owszem, na ucztach naszych (patrzcie zazdrośnika!)
 Skoro się ozwę, łaje i gębę zatyka.

Drażni, żem nie że idę,
 Zakreślając po bruku pjano cykloide.
 On lepsi: jak rzemieniem wytrącona cyga,
 Prosto leci, a leci — i dryga, a dryga,
 Jak hlaczek polewany, rączki wparłszy w boki,
 Okiem patrząc na dachy, nosem na obłoki.
 U mnie i komów niema, przecież czytam śmiało,
 Nie drzemie, jako pewnym ludziom się zdarzało:
 „Piszą z Wiednia, nowego tam metropolite
 Mianowano; tam dzieła wyszły i te, i te, i te”.
 Lecz gdzież znowu zabłądził? Czas napróżno mija,
 A moja już się kończyć ma jambografija.
 Więc żegnam was po pierwsze, po wtóre, po trzecie...!
 Cóż? Jeszcze nie wdychacie? Jeszcze nie płaczecie?
 Onufry! W kalendarzu znajdź liczbę czerwoną:
 Wiwlasom jaką pierwszą ucztęznaczono?
 Kto wtenczas „*wiwat!*” huknie, kto duszkiem wypije?
 Niema, kto długą palnie rymowaną chryję?

Niema!

Wtenczas z stron ukraińskich po dwusetnym szlaku
 Znowu w piaszczystą Litwę zawitasz, czumaku,
 I waszeć, północników porzuciwszy grody,
 Biegniesz zasiąść na ucztach lub walkach o miody.

.....

Gdyż będzie strach w Szerokim spotkać się ogrodzie.

I Erazmus poważnie siądzie między szyki

I Jany i Józefy, ciche Dominiki --

Wszystko jest! Lecz kto ucztę otworzy? „Jambista!”

„Gdzie?” Niema! — „Prologista!” „Gdzie?” — „Epi ista!”

„Gdzie?” Niema! A któż krzyknie, kto duszkiem wypije?

Niema! Kto długą palnie rymowaną chryję?

Niema! Skąd ognia? Wieszcza skąd buchala para?

Niema! Hu — hu! —

TRIOLET.

Tak! Nigdy już nie powiem i *ach!* i *niestety!*
Bo mi zawsze narzekać, a wam słuchać zbrzydło!
Otóż wesołe, Janku, zaczęń triolety.
Wszak znowu wracać muszą i *ach!* i *niestety!*
Więc dla Adama druha, kochanka, poety,
Jak widzę, skreślił wyrok toż samo prawidło:
Zawsze powracać muszą i *ach!* i *niestety!*
Choć mi zawsze narzekać, a wam słuchać zbrzydło.

DO JANA CZECZOTA.

Któż nad ciebie, któż nad Janka
Szylerskie uda igrzysko?
Prośbom jego i ziemianka
I niebianka zawsze blisko.
 Chwytaj porę, lataj, śmiałku,
 Póki gibkie myśli piórka,
 Póki krwistość wre po ciałku
 I serduszko tnie mazurka!
Mnie w kwietniu napadły wrześnie,
Kliwo zjadam czasek młody,
W głowie same dymy, pleśnie,
A w sercu kolki i lody.
 Angielska bierze ochota,
 Bym nudne ciało zawiesił.
 A któż zwabia do żywota?
 Kto zgasłe męstwo wykrzesił?
Przyjaźni! O, pokłon tobie!
A wam buziak równiennicy!
Ach, wolałbym z wami w grobie,
Niżli bez was na stolicy.

HEJ, RADOŚCIĄ OCZY BŁYSZCZA...

Hej, radością oczy błyszczą,
I wieniec czoło okrasia,
I wszyscy się mile ścisną,
Bo to wszystko bracia nasi.
Braterstwa ogniwem spięci,
Zdejmijmy z serca zasłonę,
Otwórzmy myśli i chęci —
Święte, co tu objawione!

Pochlebstwo, chytrość i zbytek
Niech każdy przed progiem miota,
Bo tu święty ma przybytek
Ojczyzna, nauka, cnota!

Ale, kto jest w naszym gronie,
Pomnij na przysięgę swoją,
I w każdej chwili żywota,
Czy przy pługu, czy w koronie,
Niechaj ci w umyśle stoją:
Ojczyzna, nauka, cnota!

PIEŚŃ FILARETÓW.

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz!
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas!

Hejże do niej wesoło!
Niechaj obiega wkoło!
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil!

Poco tu obce mowy?
Polski pijemy miód;
Lepszy śpiew narodowy
I lepszy bratni ród.

W ksiąg greckich, rzymskich steki
Wlazłeś, nie — żebyś gnił:
Byś bawił się, jak Greki,
A, jak Rzymianin, bił

Ot, tam siedzą prawnicy —
I dla nich puhar staw!
Dzisiaj trzeba prawicy,
A jutro trzeba praw.

Wymowa wznieść nie zdoła
Dziś na wolności szczyt!
Gdzie przyjaźń, miłość woła,
Tam, bracia, cyt — tam cyt!

Kto metal kwasi, pali,
Skwasi metal i czas -
My ze złotych metali
Bacha ciągnijmy kwas!

Ten się wśród mędrców liczy,
Zna chemię, ma gust,
Kto pierwiastek słodczy,
Z łubych wyciągnął ust.

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed, był ubogi:
Nie miał gdzie oprzeć stop.

Dziś, gdy chce ruszać światy,
Jego Newtonska Mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie: „Dość!

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił!

Bo, gdzie się serca pałą,
Cyrklem — uniesień duch,
Dobro powszechne — skalą;
Jedność większa od dwóch!

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz!
Tu stoi czara złota,
A wnet przeminie czas.

Krew stygnie, włos się biele,
W wieczności wpadnięm toń;
To oko zamknie Feli,
To — filarecka dłoń.

TOASTY.

Coby było wśród zakresu,
Na którym ludzie rzuceni,
Bez światła, ciepła, magnesu
I elektrycznych promieni?

Coby było, zgadnąć łatwo:
Ciemno, zimno, chaos czyste.
Witaj więc, słoneczna dziatwo,
Wiwat światło promieniste!

Lecz cóż po światła iskierce,
Gdy wszystko dokoła skrzepło?
Zimny świat i zimne serce —
Ciepła trzeba. *Wiwat* ciepło!

Pełnych światła i zapalu,
Często silny wiatr rozniesie:
By ciało zbliżyć ku ciału,
Jest magnes. *Wiwat* magnesie!

Tak gdy zrośniem w okrąg wielki
Przez magnesowaną styczość,
Wówczas z lejdejskiej butelki
Palniem: *Wiwat* elektryczność!

WIERSE RÓŻNE.

ODA DO MŁODOŚCI.

Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy!
Młodości, podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka w nadziei złote malowidła!
Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy!
Młodości, ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!
Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemnia
Obszar, gnuśności zalany odmětem —
To ziemia!
Patrz, jak nad jej wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie:
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem!...
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali —
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali...
A wtem, jak bańka, prysnął o szmat głazu.
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!
Młodości! Tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę. —
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem, młodzi przyjaciele!...
W szczęściu wszystkiego są wszystkich celem
Jednością silni, rozumni szaleł,
Razem, młodzi przyjaciele!...
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!...
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu —
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!
Dziekiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Ten, młody, zdusi Centaury,
Piekle ofiary wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
Łam, czego rozum nie złamie!
Młodości, orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!

Hej, ramię do ramienia! Spólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej, bryło, z posad świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż, opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem „Stań się!” z Bożej mocy,
Świat rzeczy stanął na zrębie,
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnia —
W krajach ludzkości jeszcze noc głucha,
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie...
Oto miłość ogniem zionie!
Wyjdzie z zamętu świat ducha —
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie.

Pryskają nieczułe lody
I przesady, światło ćmiące...
Witaj, jutrzeńko swobody!
Zbawienia za tobą słońce.

F A R Y S.

KASYDA NA CZEŚĆ EMIRA TADŻ-UL-FECHRA UŁOŻONA.

Janowi Kozłów na pamiątkę przypisana.

Jak łódź wesółą, gdy, uciekłszy z ziemi,
Znowu po modrym zwiija się kryształe
I, pierś morza objawszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łabędzią buja ponad fale —
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca,
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki
Z głuchym szumem jak w nurtach wody stal gorąca

Już płynie w suchem morzu koń mój i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina.

Coraz chyżej, coraz chyżej —
Już po wierzchu żwir zamiata;
Coraz wyżej, coraz wyżej —
Już nad kłęb kurzu wylata.

Czarny mój rumak, jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jego, jak jutrzeńka, błyska;
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywy pióra,
A nóg białych połotem błyskawice ciska.

Pędź, latawce białonogi,
Góry, z drogi! Lasy, z drogi!

Daremnie palma zielona
Z cieniem i owocem czeka:
Ja się wydzieram z jej łona;
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy
I szmerem liści z mojej dumy się uśmiecha

Owdzie granic pustyni pilnujące głązy
Dziką na Beduina poglądają twarzą;
Kopyt końskich ostatnie podrzeźniając echa
Taką za mną groźbą gwarzą:

„O szalony! Gdzie on gonił
Tam od ostrych słońca grotów
Głowy jego nie ochroni
Ni palma zielono-włosa,
Ni białe łono namiotów!
Tam jeden namiot — niebios.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują“. —

Daremnie groża, daremnie!
Pędzę i podwajam razy.
Spojrzałem, aż dumne głazy
Zostały zdala odemnie;
Uciekają rzędem długim,
Kryją się jeden za drugim

Sęp usłyszał ich groźbę i ślepo uwierzył,
Że Beduina weźmie na pustyni jeńcem —
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył,
Trzykroć czarnym obwinał głowę moją wieńcem:

„Czuję — krakał — zapach trupi...
Jeździec głupi, rumak głupi!
Jeździec w piaskach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi.
Jeźdźce, koniu, pusta praca:
Kto tu zaszedł, nie powraca!
Po tych drogach wiatr się błąka,
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest ta łąka,
Ona tylko pasie gady.
Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują“.

Kracząc, lśnięcemi szpony w oczy mi urągał —
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.
Któż się uląkł? — Sęp uląkł i uciekł wysoko!
Kiedym go chciał ukarać i majdan naciągał
I gdym sępa oczyma poza sobą tropił,
Już on wisiał w powietrzu jako plamka szara,
Wielkości wróbla — motyla — komara —
Potem się całkiem w błękie roztopił.

Pędź, latawcze białonogil
Skały, z drogil Sępy, z drogil

Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca,
Gonił mię białem skrzydłem po błękitnym sklepie.
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim ja byłem na stepie!
Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbę za mną świsnął:

„O szalony! Gdzie on goni!
Tam pragnienie piersi stopi,
Obłok deszczem nie odkropi
Osypanej kurzem skroni;
Strumień na błoniu jałowem
Nie ozwie się srebrnem słowem;
Rosa nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny w lot rozkradnie”.

Daremnie groził! Pędzę i podwajam razy.
Obłok strudzony zaczął po niebie się ślaniać,
Coraz niżej głowę skłaniać,
Potem oparł się na głązy.
A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił,
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.
Widziałem z twarzy, co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec, jak trup, zczerniał i w górach się schował.

Pędź, latawce białonogi,
Stepy, z drogi! Chmury, z drogi!

Teraz oczy kręgiem słońca
Okręciłem koło siebie:
I na ziemi i na niebie
Już nie było za mną gońca.
Tu natura, snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy,
Tu żywiły drzemią w ciszy,
Jak niepłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka,
Widząc pierwszą twarz człowieka.

Przebóg, ja tu nie pierwszy! Śród piaszczystej kępy
Oszańcowane świecą się zastępy;

Czy błądzą, czy z zasadzki czatują na łupy?
Jeźdźce w bieli i konie straszliwej białości...
Przybiegam — stoją; wołam — milczą; to są trupy!
 Starożytna karawana,
 Wiatrem z piasku wygrzebana!
Na skieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości:
 Przez jamy, gdzie były oczy,
 Przez odarte z ciała szczęki,
 Piasek strumieniem się toczy
 I złowrogie szemrze jęki:
 „Beduinie opętany!
 Gdzie lecisz? Tam huragany!”

Ja pędzę, ja nie znam trwogi.
Pędź, latawcze białonogi!
Trupy, huragany, z drogi!

Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię z daleka, wstrzymał się i zdumiał
I, kręcąc się na miejscu, tak do siebie szumiał:
„Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?”
Ryknął i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc, że był śmiertelny i nieustraszony,
 Ze złości ład nogą trącił,
 Całą Arabją zmacił
I, jak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony.
 Oddechem ognistym palił,
 Skrzydłami kurzawy walił,
 Ciskał w górę, bił o ziemię,
 Nasypywał żwiru brzemię.
Ja zrywam się, walczę śmiało,
 Targam jego członków kłęby,
 Ćwiertuję piaszczyste ciało,
 Gryzę go wściekłymi zębami...

Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:
Nie wydarł się; w pół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął
I leżał u nóg mych długim, jak wał miejski, trupem.

Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie —
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie,
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać pierśmi całemi!

Oddycham pełno, szeroko!
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.

Jak tu mile poglądać oczyma całemi!

Wyteżyło się me oko
Tak daleko, tak szeroko,
Że więcej świata zasięga,
Niż jest w kole widnokręga.

Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!

Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios szczytu.
Jak pszczoła, topiąc żądło, i serce z niem grzebie,
Tak ja za myślą duszę utopiłem w niebie!

DO MATKI POLKI.

WIERSZ, PISANY W ROKU 1830.

O matko Polko! Gdy u syna twego
W żrenicach błyszczy geniusza świetność,
Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
Dawnych Polaków duma i szlachetność,

Jeśli, rzuciwszy rówienników grono,
Do starca bieży, co mu dumy pieje,
Jeżeli słucha z głową pochyloną,
Kiedy mu przodków powiadają dzieje —

O matko Polko, źle się twój syn bawi!
Klęknij przed Matki Bolesnej obrazem
I na miecz patrzaj, co Jej serce krwawi:
Takim wróg pierśi twe przeszyje razem!

Bo, choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się sprzymierzają rządy, ludy, zdania —
Syn twój wyzwany do boju bez chwały
I do męczeństwa... bez zmartwychpowstania.

Każ-że mu wcześniej w jaskinię samotną
Iść na dumanie, zalegać rohoże,
Oddychać parą zgniłą i wilgotną
I z jadowitym gadem dzielić łoże.

Tam się nauczy pod ziemię kryć z gniewem
I być, jak otchłań, w myśli niedościgły;
Mową truć z cicha, jak zgnilym wyziewem,
Postać mieć skromną, jako wąż wystygły.

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie,
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił:
O matko Polko, jabym twoje dziecię
Przyszłemi jego zabawkami bawił.

Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani się spłonił na widok powroza...

Bo on nie pójdzie, jak dawni rycerze,
Utkwić zwycięski krzyż w Jeruzalemie,
Albo, jak świata nowego żołnierze,
Na wolność orać, krwią polewać ziemię.

Wyzwanie przyszłe mu szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysięzny,
A placem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie, nocne rodaków rozmowy.

PIEŚŃ ŻOŁNIERZA.

Ja w tej izbie spać nie mogę!
Inną izbę daj, sąsiedzie,
Bo stąd okna są na drogę,
Tędy często poczta jedzie.

A gdy w nocy trąbka dzwoni,
Tak mi mocno serce skacze!
Myślę, że trąbią do koni,
A potem aż do dnia płaczę.

Oczy zamknę — to się marzy:
Nasze konie, chorągiewki,
Ogień nocne, krzyki straży
I wiarusów naszych śpiewki.

Ocykam się — i w ocknieniu
Słyszę głos mego kaprała;
On mnie klaszcze po ramieniu:
„Wstawaj! Jedźwa na Moskala!”

Wstaję — aż ja w pruskiej ziemi!...
Jak tam lepiej leżeć w błocie,
W chłodzie, głodzie i na ślocie,
Ale w Polsce, między swemi!

Jużbym tej nocy nie zasnął,
A czekałbym na kaprała,
Gdyby znowu w ramię klasnął:
„Wstawaj, pójdźwa na Moskala!”

N O C L E G.

Nasz Naczelnik nad Trockiem jeziorem
Po kowgańskiej potyczce nocuje.
Strzelcy leżą na kępie taborem:
Jeden rany swe mchem opatruje.

Drugi strzelbę przeczyszczą, nabija,
Kaptur z brzozy na zamek nasuwa,
Ten, wpół senny, pod głowę płaszcz zwija —
I usnęli. Straż stoi, wódz czuwa.

On pod drzewem coś дума w pomroce.
Drzewo suche, lecz miało owoce —
Najgłodniejszych ten owoc odstrasza: --
Wiszą na niem dwie gruszki Judasza.

W górę szpiegi! Cesarskie to służki:
Jeden Prusak, z nogami długimi
W białych pończochach — a drugi,
Żyd, pejsami zamiata po ziemi.

Nie śpi wódz. Na kolanach broń trzyma,
Wzrokiem szuka pagórka znanego.
Ten za wodą; na wzgórku dom jego;
Dom w ciemności on żegna oczyma.

Wtem błysnęło nad wzgórkim... Czy piorun?
Piorun u nas nie bije w tę porę...
„O Najświętsza! O Marjo z Borun!
Ratuj ich... ratuj dzieci... Dom gore!

Gdzie jest patrol? Na konia! Do dworu!...“
Wtem, słuchają... Łom trzeszczy, gwar ludzi,
I „kto idzie!“ głos ozwał się w boru.
Patrol wraca i obóz się budzi.

„Wodzu! Wielka dla ciebie żałoba;
Wraca patrol z wieściami Hijoba.
Jeden mówi: zarznęli twą żonę —
Drugi mówi: twe dzieci spalone.

Lecz pojмали dowódcę Moskali“.
„Kto on?...“ „Francuz, niestary, przystojny —
I w moskiewskiej on służbie wsie pali,
Za pieniądze lud siecze niezbrojny!...“

Wódz, jak gdyby rażony od gromu,
Na dom patrzył i milczał i słuchał.
Z okien wszystkich żar sypał się z domu,
Z oczu wodza straszniejszy żar buchał.

I w obozie zbudzonym, zdumiałym,
Było głuche milczenie i zgroza.
Milczał wódz, jako broń przed wystrzałem;
Na dom patrzył — i krzyknął: „Powroza!...“

Przyskoczyły dwa katy rozkoły,
Stryczek mieli gotowy ze sznura,
Zakasali rękawy za poły
I oddarli mu kołnierz z mundura.

Wtem ktoś leci... „Kto idzie?“ „Lud z Bogiem!
Nasze hasło — poznajcie wiarusa!“
Zrzuca płaszcz... Ach, to mundur Krakusa:
Biały surdut z czerwonym wyłogiem!

„Zbił Skrzynecki, zbił na łeb, na szyję,
Zbił pod Wawrem Rozena, Gejsmara,
Nabrał jeńców i dział co nie miara,
Idzie w Litwę... Skrzynecki niech żyje!”

Krzyczał żołnierz i śmiał się i szlochał...
Ach, kto miłej ojczyzny nie kochał,
Biedny, łzami nie płakał takimi!...
A Naczelnik?... On leży na ziemi.

Leżał krzyżem i długo się modlił.
Wstał i rzekł do Francuza: „Idź wolny!
Precz od nóg mych — byś nóg mych nie podlił
Jam dziś karać nikogo nie zdolny...”

29 marca 1832.

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA.

W głuchej puszczy, przed chatką leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona,
A u wrót stoi straż pułkownika;
Tam, w izdebce, pułkownik ich kona.
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze:
Wódz to był wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia pułkownik kulbaczyć,
Konia, w każdej sławnego potrzebie;
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby, do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swoją kordelas i pas i ładunki.
Stary żołnierz — on chce, jak Czarniecki,
Umierając, swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się, klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze —
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej — a teraz płakali.
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniło w kaplicy;
Już przed chatą nie było żołnierza,
Bo już Moskal był w tej okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza.
Na pastuszym tapczanie on leży —
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne, dziewicze ma lica!
Jaką pierś? — Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica-bohater,
Wódz powstańców — Emilja Plater!

REDUTA ORDONA.

OPOWIADANIE ADJUTANTA.

Nam strzelać nie kazano. — Wstąpiłem na działo
I spojrziałem na pole: dwieście armat grzmiało,
Artylerji ruskiej ciągną się szeregi
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi.
I widziałem ich wodza: przybiegł, mieczem skinął
I, jak ptak, jedno skrzydło wojska swego zwinął.
Wylewa się z pod skrzydła ściśniona piechota
Długa, czarną kolumną, jako lawa błota,
Nasypana iskrami bagnetów. Jak sępy,
Czarne chorągwie na śmierć prowadzą zastępy.
Przeciw nim sterczy biała, wąska, zaostrzona,
Jak głaz, bodzący morze, reduta Ordona.
Sześć tylko miała harmat — wciąż dymią i świecą;
I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą,
Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę w rozpacz,
Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.

Patrz! Tam granat w sam środek kolumny się nurza,
Jak w fale bryła lawy, pułk dymem zachmurza;
Pęka wśród dymu granat, szyk pod niebo leci
I ogromna łysina wśród kolumny świeci.
Tam kula, lecąc, zdala grozi, szumi, wyje,
Ryczy, jak byk przed bitwą, miota się, gruntu ryje —
Już dopadła; jak boa, wśród kolumn się zwija,
Pali pierś, rwie zębem, oddechem zabija.

Najstraszniejszej nie widać, lecz słyhać po dźwięku,
Po waleniu się trupów, po ranionych jęku,
Gdy kolumnę od końca do końca przewierci,
Jak gdyby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci.

Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia?
Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia?
Nie, on siedzi o pięćset mil na swej stolicy,
Król wielki, samowładnik świata połowicy.
Zmarszczył brwi — i tysiące kibitek wnet leci.
Podpisał — tysiąc matek oplakuje dzieci;
Skinął — padają knuty od Niemna do Chiwy...
Mocarzu, jak Bóg silny, jak szatan złośliwy!
Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo paryskie twoje stopy liże,
Warszawa jedna twojej mocy się urąga,
Podnosi na cię rękę i koronę ściaga,
Koronę Kazimierzów, Chrobrych z twojej głowy,
Boś ją ukradł i skrwawił, synu Wasilowy!

Car dziwi się — ze strachu drżą Petersburgczany,
Car gniewa się — ze strachu mrą jego dworzany;
Ale sypią się wojska, których Bóg i wiara
Jest car. Car gniewny — umrzem, rozweselim cara!
Posłany wódz kaukaski z siłami pół świata,
Wierny, czynny i sprawny — jak knut w ręku kata.

Ura! Ura! Patrz! Blisko reduty — już w rowy
Wala się, na faszynę kładąc swe tułowy —
Już czernią się na białych palisadach wałów...
Jeszcze reduta w środku, jasna od wystrzałów,
Czerwieni się nad czernią... Jak w środek mrowiska
Wrzucony motyl błyska — mrowie go naciska —
Zgasł — tak zgasła reduta. Czyż ostatnie działo,
Strącone z łoża, w piasku paszczę zagrzebało?
Czy zapal krwią ostatni bombardyer zalał?
Zgasnął ogień. — Już Moskal rogatki wywalał...
Gdzież ręczna broń? — Ach, dzisiaj pracowała więcej,
Niż na wszystkich przeglądach za władzy księżęcej!
Zgadłem, dlaczego milczy, bo nieraz widziałem
Garstkę naszych, walczącą z Moskali nawałem.
Gdy godzinę wołano dwa słowa: „Pal“, „Nabij!“ —
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi,

A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność —
Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność,
Nakoniec bez rozwagi, bez czucia, pamięci,
Żołnierz, jako młyn palny, nabija, grzmi, kręci,
Broń od oka do nogi, od nogi na oko —
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko
Szukała, nie znalazła — i żołnierz pobladnął:
Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władnął
I uczył, że go pali strzelba rozogniona;
Upuścił ją i upadł; nim dobija, skona...
Takem myślał — a w szaniec nieprzyjaciół kupa
Już laża. jak robactwo na świeżego trupa.

Pociemniało mi w oczach, a gdym łzy ocierał,
Słyszałem, że coś do mnie mówił mój jenerał.
On przez lunetę, wspartą na mojem ramieniu,
Długo na szturm i szaniec poglądał w milczeniu.
Nakoniec rzekł: „Straconal“ Z pod lunety jego
Wymknęło się uez kilka. Rzekł do mnie: „Kolego,
Wzrok młody od szkieł lepszy; patrzaj, tam, na wale —
Znasz Ordona — czy widzisz, gdzie jest?“ — „Jenerale,
Czy go znam? Tam stał zawsze — to działo kierował;
Nie widzę — znajdę — dojrzę — wśród dymu się schował...
Lecz wśród najgęstszych kłębów dymu ileż razy
Widziałem rękę jego, dającą rozkazy!...
Widzę go znowu! Widzę rękę — błyskawicę...
Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę...
Biorą go!... Zginął! — O nie! Skoczył w dół, do lochów!“
„Dobrze — rzeczce jenerał — nie odda im prochów“
Tu blask — dym — chwila cicho — i huk, jak stu gromów!

Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów —
Harmaty podskoczyły i, jak wystrzelone,
Toczyły się na kołach — lonty zapalone
Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
Prosto ku nam i w gęstej chmurze nas ochłonał.
I nie było nic widać, prócz granatów blasku —
I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku...
Spojrzałem na redutę. — Wały, palisady,
Działa, i naszych garstka, i wrogów gromady —
Wszystko, jako sen, znikło! — Tylko czarna bryła
Ziemi niekształtnej leży: rozjemcza mogiła!

Tam i ci, co bronili — i ci, co się wdarli,
Pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli.
Choćby cesarz Moskałom kazał wstać, już dusza
Moskiewska tam, raz pierwszy, cesarza nie słusza!
Tam zagrzebane tyluset ciała, imiona —
Dusze gdzie? Nie wiem; lecz wiem, gdzie dusza Ordona.
On będzie patron szaińców, bo dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia!
Bóg wyrzekł słowo: *Stań się!* Bóg i *Zgiń*, wyrzecze!
Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Ordona —
Karząc plemię zwycięzców, zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.

Z D R A J C A.

Z bramy więzienia wynoszą pod strażą
Ze czterech desek zbitą trunę białą.
Na wóz rzucają, za miasto wieżć każą —
To więźnia ciało.

Więc Bóg zakończył jego długie męki?
Wezwał go z jamy do raju ogrójca?
Nie — to bezbożnik, z własnej zgiął ręki.
To samobójca.

Nie był uczczony zgon jego dzwonami,
Nie odprawiono po nim mszy w kościele,
Za truną nie szli ni krewni ze łzami,
Ni przyjaciele.

Bo, żeby cara zyskać przebaczenie,
On narodowym stał się winowajcą
I, dawszy braci swych na umęczenie,
Był wolnym — zdrajcą.

H Y M N

NA DZIEŃ ZWIASTOWANIA NAJSW. PANNY MARJI.

Pokłon Przeczystej Rodzicy!
Nad niebiosą twoje skronie,
Gwiazdami twój wieniec płonie
Jehowie na prawicy.

Ninie dzień Tobie uświęcamy, wierni;
Śród Twego błysnij kościoła!
Oto na ziemię złożone czoła,
Oto śród niemej bojaźnią czerni
Powstaje prorok i woła:
„Uderzam organ Twej chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie.
Śród Twego błysnij kościoła
I spuść anielskie wejrzenie!
Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie,

A zagrzmie piersią, jaką Cheruby
Zagrzmia światu na skonanie,
Gdy proch, zapadły w wieków otchłanie,
Ze snu nicości wybija:
Takim grzmołem twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą,
Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją!“

A któż to wschodzi? Wschodzi na Syon dziewica,
Jak ranek z morskiej kąpieli
I jutrznia — Marji lica;
Śnieży się obłok, słońce z ukosa
Smugiem złota po nim strzeli —
Taka na śniegu, co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa.

Pojrzał Jehowah i w Niej upodobał sobie.
Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie
I srebrzystej pierzem tęczy
Niebianki skronie uwieńczy.

Grom, błyskawica!
Stań się — stało:
Matką dziewica,
Bóg ciało!

ROZMOWA WIECZORNA.

I.

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha;
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie;
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! Słów nie mam dla Ciebie:
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha;
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mem na krzyżu!

I każda dobra myśl, jak promień, wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,
I. nazad płynąc, znowu mię ozłaca.
Śle blask, blask biore i blask mam za gońca.
I każda dobra chęć Ciebie wzbogaca,
I znowu za nią płacisz mi bez końca.
Jak Ty na niebie — Twój sługa, Twe dziecię
Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie.

Tyś król — o cuda! — i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany —
I każda chęć zła jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam, zagniewany.
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,
Cierpisz, jak sługa, panu zaprzędany.
Jak Ty na krzyżu — Twój pan, Twoje dziecię
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

II.

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy —
Zły wnet ucieczką ratował się skora,
Dobry zapłakał, lecz odwracał oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!

Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos, przeraźliwszy, niżli jęk cierpienia,
Głos, wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi — głos złego sumienia —

Sędzio straszliwy, Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu — a Tyś mnie wysłuchał!

III.

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wewnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy — cicho — na Twe łono
Wylewam burzę, we łzy roztopioną.

ROZUM I WIARA.

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem,
Pan je wzniosł w niebo, jako tęczę koło,
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu —
I, gdy mój naród złęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę i wspomni przymierze.

Panie! Mą pychę duch pokory wzniecił;
Choć górnio błyszcze na niebios błękicie,
Panie, jam blaskiem nie swoim zaświecił:
Mój blask jest słabe Twych ogniów odbicie!

Przejrzałem niskie ludzkości obszary
Z różnych jej mniemań i barwą i szumem:
Wielkie i mętne, gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne przed oczyma wiary.

I was dostrzegłem, o dumni badacze!
Gdy wami burza, jak śmieciem, pomiata,
Zamknięci w sobie, jak w konchy ślimacze,
Chcieliście, mali, obejrzeć krąg świata.

„Konieczność — rzekli — wedle ślepej woli
Panuje światu, jako księżyc morzu“.
A drudzy rzekli: „Przypadek swawoli
W ludziach, jak wiatry w nadziemskim przestworzu“.

Jest Pan, co objął oceanu fale
I ziemię wiecznie kazał mu zamącać;
Ale granicę wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać.

Darmo chce powstać z ziemnego pogrzebu!
Ruchomy wiecznie, ruchem swym nie władnie:
Im wyżej buchnął, tem głębiej upadnie —
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.

A promień światła, który słońce rzuci,
Na szumnej morza igrając topieli,
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli
I znowu w niebo, skąd wyszedł, powróci.

Rozumie ludzki! Tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni;
Świat cię niezmiernym zowie oceanem
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.

Zdajesz się tykać brzegów widnokręga;
Daremnie z żaglem nawa leci chyża,
Opływa ziemię, niebios nie dosięga:
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi
I spadasz z gradem. Tyś zawsze na ziemi,

A promień wiary, którą Niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy
I twe pogodne zwierciadła oświeca;
Ach, ty bez wiary — byłbyś niewidomy!

ARCY-MISTRZ.

Jest mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął, jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku —
A świat dotychczas nie pojął jej wątku.

Mistrz, co malował na niebios błękicie
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie
I w głębi ziemi odlał je z metali —
A świat, przez tyle wieków, z dzieł tak wiele,
Nie pojął jednej myśli twórcy.

Jest mistrz wymowy, co bożą potęgę
W niewielu słowach objawił przed ludem
I całą swoich myśli i dzieł księgę
Sam wytłómaczył głosem, czynem, cudem.
Dotąd mistrz nazbyt wielkim był dla świata —
Dziś świat nim gardzi, poznawszy w nim brata.

Sztukmistrz ziemski! Czem są twe obrazy,
Czem są twe rzeźby i twoje wyrazy?
'A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
Spojrzyj na mistrza i cierp, boży synu,
Nieznany albo wzgardzony od gminu!

MĘDRCY.

W nieczulej, ale niespokojnej dumie
Usnęli mędrcy. — Wtem odgłos ich budzi,
Że Bóg widomie objawił się w tłumie
I o wieczności przemawia do ludzi.
„Zabić go!“ — rzekli, — Spokojność nam miesza!
Lecz zabić we dnie? Obroni go rzesza“.

Więc mędrcy w nocy lampy zapalali
I na swych księgach ostrzyli rozumy
Zimne i twarde, jak miecze ze stali —
I, wzięwszy z sobą uczniów ślepych tłumy,
Szli łowić Boga — a zdrada na przedzie
Prostą ich drogą, ale zgubną wiedzie.

„Tyś to?“ — krzyknęli na Maryi Syna —
„Jam“ odpowiedział — i mędrcy pobladli.
„Ty jesteś?“ — „Jam jest“. — Służalców drużyna
Uciekla w trwodze, mędrcy na twarz padli,
Lecz, widząc, że Bóg straszy, a nie karze,
Wstali przelękli, więc srożsi, zbrodniarze.

I tajemnicze szaty z Boga zwlekli,
I szyderstwami ciała Jego siekli,
I rozumami serce Mu przebudli —
A Bóg ich kocha i za nich się modli!
Aż, gdy do grobu duma Go złożyła,
Wyszedł z ich duszy, ciemnej, jak mogiła.

Spełnili mędrcy na Boga pogrzebie
Kielich swej pychy. Natura w rozruchu
Drżała o Boga. Lecz pokój był w niebie:
Bóg żyje, tylko umarł w mędrców duchu.

BRONŃ MIĘ PRZED SOBĄ...

URYWEK.

Broń mię przed sobą samym! — Muszę dojść potęgim
Są chwile, w których nawskroś widzę twoje księgi,
Jak słońce mgłę przeziera, która ludziom złotą,
Brylantową zdaje się — a słońcu ciemnotą...
Człowiek, większy nad słońce, wie, że to powłoka
Złota — ciemną jest, tylko tworem jego oka.
Oko w oko zatapiam w Tobie me źrenice,
Chwytam Ciebie rękami za obie prawice
I krzyczę na głos cały: „Wydadaj tajemnicę!”
Dowiedź, żeś jest mocniejszy, lub wyznaj, że tyle
Tylko, ile ja, możesz w mądrości i sile...
Nie znasz początku Twego — a czyż ludzkie plemię
Wie, od jakiego czasu upadło na ziemię?
Bawisz się tylko ciągle, badając sam siebie —
Cóż robi rodzaj ludzki? W swych dziejach się grzebie.
Twoja mądrość samego siebie nie dociecze, —
A czyliż samo siebie zna plemię człowiecze?
Jeder masz nieśmiertelność? My czy jej nie mamy?
Znasz siebie i nie znasz; my czy siebie znamy?
Końca Twojego nie znasz — my kiedyż się skończym?
Dzielisz się, łączysz — i my dzielim się i łączym.
Tyś różny — i my zawsze myślą rozróżnieni.
Tyś jeden — i my zawsze sercem połączeni.
Tyś potężny w niebiosach — my tam gwiazdy śledzim,
Wielkiś w morzach — my po nich jeździm, głąb ich zwiedzim.
O Ty, co, świecąc, nie znasz wschodu i zachodu,
Powiedz, czem się Ty różnisz od ludzkiego rodu?

Toczysz walkę z szatanem w niebie i na ziemi —
 My walczym w sobie, w świecie z chęciami własnymi.
 Ty sam na siebie wdziałeś raz postać człowieka...
 Powiedz, czyś wziął na chwilę, czyś ją miał od wieka!

PYTASZ, ZA CO BÓG...

URYWEK.

Pytasz, za co Bóg trochę sławy mnie ozdobił? —
 Za to, com myślił i chciał — nie za to, com zrobił.
 Myśli i chęci — jest to poezja w świecie:
 Wykwita i opada, jak kwiat w jednym lecie.
 Lecz uczynki, jak ziarna, w głąb ziemi zaryte,
 Aż na przyszły rok ziarna wydadzą obfite.
 Przyjdzie czas, gdy błyszczące imiona pogniją,
 Z cichych ziaren wywite kłosy świat okryją...
 Huk mija — musi minąć z blaskiem i gawędą,
 „Błogosławieni cisi, oni świat posiedzą“.
 Niech prawdy nie zapomni, kto Chrystusa słyszy;
 Kto pragnie ziemię posiadać, niechaj siedzi w ciszy.

ŻEGLARZ.

O morze zjawisk! Skąd ta noc i słota?
 Była jutrznia i cisza, gdym był bliski brzegu —
 Dziś jakie fale, jaki wicher miota!
 Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu...
 A więc porzucić korab żywota?

Szczęśliwy, czyjej przewodniczą łodzi
 Cnota i Piękność, niebieskie siostrzyce!
 Gdy się noc zgęszcza, wzmagają powodzi.
 Ta puhar daje, ta odsłania lice —
 Tamtej widok oświeca, a tej nektar słodzi.

Szczęśliwy, kto i samej ulubował Cnocie:
 Dopłynie, kędy sławy góruje opoka,
 Balsam go rzymski ukrzepi w ochocie —
 Ale, jeżeli Piękność nie zwróci nań oka,
 Dopłynie we krwi i w pocie.

A komu Piękność całe pokaże oblicze,
Potem śród drogi, zdradliwa, odlata,
Nadziei z sobą mary unosząc zwodnicze —
Ach, jakąż później cześć w obszarach świata!
Już nie dość krzepią i Cnoty słodyczne...

Zamiast Piękności niebieskiego wschodu,
Walczyć z ustawną burzą, jęczeć pośród cienia,
Zamiast serc czułych, trącać o pierś z lodu,
Zamiast jej rącek, chwycić za ręce z kamienia —
I długo śród takiego nie ustać zawodu?...

Zawód tak trudny! Zakończyć tak snadnie!
Nie będziem dłużej ćmieni, więcej kołatani...
Lecz wszystkoż z nami w tych falach przepadnie?
Czyli, kto raz wrzucony do bytu otchłani,
Nie zdoła z niej wylecieć, ani zginąć na dnie?

Co żyje, niknie — tak na mnie świat woła;
Zacóż głos ten wewnętrznej wiary nie wyziębi,
Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła
I, raz rzucona, krąży po niezmiernej głębi,
Póki czas wieczne toczyć będzie koła?

Któż to krzyknął od ładu? Jakże słyszać żale?
Wyż to, o bracia moi, przyjaciele moi,
Dotąd stoicie na nadbrzeżnej skale?
I tak się oko wasze znudzenia nie boi,
Że aż dotąd patrzycie na mnie i me fale?

Jeśli się rzucę, kędy rozpacz ciska,
Będą łyzy na szaleństwo, na niewdzięczność skarga,
Bo wam mniej widne te czarne chmurzyska,
Nie słyszać zdala wichru, co tu liny targa;
Grom, co tu bije, dla was tylko błyska.

I razem ze mną, pod strzałami gromu
Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu!
Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.
— Ja płynę dalej, wy idźcie do domu!

MAJTEK.

I.

„Słuchaj, o majtku, nieszczęsny zbiegu,
Jakżeś nas prędko porzucił!
Od ojczystego odbijasz brzegu,
Ażebyś więcej nie wrócił!

„Przecież wkopana w ziemię żrenica
Ku nam strzeliła wesoło;
Uśmiech, gość rzadki, wstąpił na lica,
Dawna pogoda na czoło.

„Každy się krząta, pragnie odwlekać —
Tyś jeden skoczył z pospiechem...
Możnaż z ojczyzny spiesźnie uciekać,
Uciekać jeszcze z uśmiechem?“

„Słuchaj! — rzekł majtek. — Jam od lat wiele
Widział i kraj ten i ludzi:
A, com ja widział, nigdy wesela
W sercu rodaka nie wzbudzi.

Widziałem mężną cnotę w ucisku,
W głowach pospólstwa — ciemnotę,
W głowach rozumnych — widoki zysku,
A w sercu niewiast — pustotę.

Ja, co mnie własne szczęście nie nęci,
Com, uniesioną z powodzi,
Resztę uczucia, myśli i chęci
Ojczystej powierzył łodzi,

Mógłżem kosztować powabów życia,
Gdy, skoro wichur zawieje,
W ostatniej łódce, bliskiej rozbicia,
Ostatniem widział nadzieję?

Lecz dziś rozpaczą nie będę grzeszył,
Bo, nim te brzegi odpłynę,
Bóg mnie widokiem nowym pocieszył:
Poznałem zacną rodzinę.

Poznałem matkę z sercem Spartanki,
Polskiej lejącą łzę matki,
Poznałem córkę w kształcie niebianki,
Dziewicę — duchem Sarmatki.

One, jak świętym wyznawcom wiary,
Wskazanym na lwów pożarcie,
Śmiały posyłać nam w głąb pieczary
Ulęgę, pociechę i wsparcie.

Mimo żelaznych dźwięków tarasu
I trwożnych gminu okrzyków,
Pomimo dzikich zwierząt hałasu
I stokroć dzikich strażników.

Poznałem! . . Przyszłość mię nie zastrasza!
Sterniku, żagle do góry!
Jedźmy! . . Nie zginie ojczyzna nasza,
Gdzie takie matki i córki!"

DO SAMOTNOŚCI.

Samotności, do ciebie biegnę. jak do wody,
Z codziennych życia upałów;
Z jakąż rozkoszą padam w jasno czyste chłody
Twych niezgłębianych kryształów!

Nurzam się i wzbijam w myślach nad myślami,
Igram z niemi, jak z falami,
Aż ostygły, znużony, złożę moje zwłoki
Choć na chwilę w sen głęboki.

Tyś mój żywioł; te jasnych wód szyby
Słodzą mi serce, zmysły zaciemniają mrokiem . . .
I zacóż znowu muszę, nakształt ptaka-ryby,
Wyrwać się w powietrze, słońca szukać okiem? . . .

I bez oddechu w górze, bez ciepła na dole,
Równie jestem wygnaćcem — w oboim żywiole! . . .

PIEŚŃ PIELGRZYMA.

Te rozkwitłe świeżo drzewa
Upajają słodką wonią;
Wody szepcą, słowik śpiewa
I koniki cicho dzwonią.

Czemuż zadumany stoję
I wiosną się nie wesełę?
Po sieroce serce moje:
Z kimże wiosnę tę podzielę?

Przed mym domem, w pomrok szary,
Stają muzycy tułacze,
Słyszę śpiew i dźwięk gitary,
Odmykam okno i płaczę.

Zakochani to minstrele
Pod oknem kochanki nucą;
Mnie nie bawią, ale smucą —
Z kim się muzyką podzielę?

Tylem uczuł, cierpiał tyle,
Lecz nie powrócę do domu:
Opowiadać nie mam komu,
Zamknę powieść na mogile.

Założywszy ręce, siadam,
Na samotną patrząc świecę;
Czasem piosnkę w myśli składam,
Czasem pióro smutne chwyćę.

Piękne myśli, piękne słowa,
Czuję wiele, piszę wiele;
Ale dusza moja wdowa —
Z kimże piosnki te podzielę?

Rodzę myśli, rodzę słowa —
I czemuż się nie wesełę?
Bo dusza moja, jak wdowa,
Widzi tylko sierot wiele.

Mija wiosna, mija zima,
Mija pogoda i słońce —
Nie przeminie żal pielgrzyma,
Bo on wdowiec i sierota.

NAD WODĄ WIELKĄ I CZYSTĄ.

Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opoki —
I woda tonią przejrzystą
Odbiła twarze ich czarne.

Nad wodą wielką i czystą
Przebiegły czarne obłoki —
I woda tonią przejrzystą
Odbiła kształty ich marne.

Nad wodą wielką i czystą
Błysnęło wzdłuż i grom ryknął —
I woda tonią przejrzystą
Odbiła światło — głos zniknął,
A woda, jak dawniej czysta,
Stoi wielka i przejrzysta.

Tę wodę widzę dokoła
I wszystko wlewnie odbijam:
I dumne opoki czoła
I błyskawice pomijam.

Skalom trzeba stać i grozić,
Obłokom deszcze przewozić,
Błyskawicom grzmieć i ginać —
Mnie płynąć, płynąć i płynąć...

Lausanne, 1838.

SNUĆ MIŁOŚĆ...

Snuć miłość, jak jedwabnik nić z piersi swych snuje,
Łać ją z serca, jak źródło wodę z wnętrza leje,
Rozkładać ją, jak złotą blachę, gdy się kuje
Z ziarna złotego — siać ją, jak się zboże sieje —
Hodować ją, jak matka dziecko swe piastuje —
Puszczać ją w głąb, jak nurtuje
Źródło pod ziemią — w górę wiać nią, jak wiatr wieje —
Po ziemi ją rozsypać, jak się zboże sieje —
Ludziom piastować, jak matka swych piastuje.
Stąd będzie wyższa moc twa, jak moc przyrodzenia,
A potem będzie moc twa, jako moc krzewienia,
Potem, jak ludzi — potem, jako moc aniołów,
A wkońcu będzie, jako moc Stwórcy stworzenia.

1839, Lausanne.

GDY TU MÓJ TRUP.

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,
W oczy zagłada i głośno zagada,
Dusza wówczas daleka — ach, daleka,
Błąka się i narzeka — ach narzeka!

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej,
I liczne mam serca mego rodzeństwo;
Piękniejszy kraj, niż ten, co w oczach stoi,
Rodzina milsza, niż całe pokrewieństwo...

Tam, wpośród prac i trosk i wśród zabawy
Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami,
Tam leżę śród bujnej i wonnej trawy,
Tam pędzę za wróblami, muszlami.

Tam widzę, jak z ganku biała stąpa,
Jak ku nam w las śród łąk zielonych leci,
I wpośród zbóż, jak w toni wód się kąpa,
I ku nam z gór, jak jutrenka, świeci...

POLAŁY SIĘ ŁZY...

Polwały się łzy me czyste, rześiste
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i durną,
Na mój wiek męski, wiek klęski,
Polwały się łzy me czyste, rześiste...

KOCHANEK DUCHÓW...

Kochanek duchów, ileż was spotkałem,
Ileż to oczu, jak gwiazd, przeleciało,
Ileż to rączek, tonąc, uściskałem:
A serce nigdy z sercem nie gadało!
Wydałem wiele serca, jak ze skrzyni
Młody rozrzutnik — lecz dłużnicy moi
Nic nie oddali. Któż dzisiaj obwini,
Że się rozrzutnik postrzegł, że się boi
Zwierać w niepewne i nieznane ręce?
Żegnam was, żegnam, nadobne dziewice,
Żegnam was, żegnam, o duchy młodzieńcze!
Rozrzutnik młody, resztę skarbcu schwyć,

W ziemię zakopię; nie czas reszty stracić.
Już czuję starość: mam zebrać w potrzebie?
Znalazłem tego, co zdoła zapłacić
Rzetelnie, z lichwą i na czas. — On w niebie!...

DO M***

WIERSZ, NAPISANY W ROKU 1822.

„Precz z moich oczu!...” Posłucham od razu...
„Precz z mego serca!...” I serce posłucha...
„Precz z mej pamięci!...” Nie, tego rozkazu
Moja i twoja pamięć nie posłucha!
Jak cień, tem dłuższy, gdy padnie z daleka,
Tem szerzej koło żalobne roztoczy —
Tak moja postać, im dalej ucieka,
Tem grubszy kirem twą pamięć pomroczy.
Na każdym miejscu i o każdej dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie.
Bom wszędzie częśćkę mej duszy zostawił.
Czy zadumana w samotnej komorze
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę,
Przypomniesz sobie: „Właśnie o tej porze
Śpiewałam jemu tę samą piosenkę”.
Czy, grając w szachy, gdy pierwszemi ściegi
Śmiertelna złowi króla twego matnia —
Pomyślisz sobie: „Tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia”.
Czy to na balu, w chwilach odpoczynku,
Siedzisz, nim muzyk tańce zapowiedział,
Obaczysz próżne miejsce przy kominku —
Pomyślisz sobie: „On tam ze mną siedział”.
Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
Stargane ujrzyś kochanków nadzieje —
Złożywszy książkę z westchnieniem głębokiem,
Pomyślisz sobie: „Ach, to nasze dzieje!...”
A jeśli autor po zawilej próbie
Parę miłosną naostatek złączył,
Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
„Czemu nasz romans tak się nie zakończył?...”

Wtem błyskawica nocna zamigoce,
Sucha w ogrodzie zaszeleszcze grusza
I puszczyk z jękiem w okno załopoce...
Pomyślisz sobie, że to moja dusza.
Tak w każdym miejscu i o każdej dobie.
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie.
Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił.

DO D. D.

Moja pieśczołka, gdy w wesołej chwili
Pocznie szczebiotać i kwilić i gruchać,
Tak mile grucha, szczebioce i kwili,
Że, nie chcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać,
I tylko chciałbym słuchać, słuchać, słuchać...

Lecz, mowy żywość gdy oczki zapali
I pocznie mocniej jagody różować,
Perłowe ząbki błysną wśród koralu —
Ach, wtenczas śmielej w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nie żądam,
Tylko całować, całować, całować...
Odessa, 1825.

Ś E N.

Chociaż zmuszona będziesz mnie porzucić,
Jeżeli serca nie zmienisz w kochaniu,
Rzucając nawet, nie chciej mnie zasmucić
I, rozstając się, nie mów o rozstaniu!

Przed smutnem jutrem niech jeszcze z wieczora
Ostatnia spłynie na pieśzczotach chwilka,
A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
Wtenczas trucizny daj mnie kropel kilka!

Do ust twych usta przycisnę — powieki
Zamykać nie chcę, gdy mię śmierć zamroczy —
Niechaj rozkosznie usypiam na wieki,
Całując lica, patrząc w twoje oczy!

A po dniach wielu, czy po latach wielu,
Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu
I zstąpisz z niebios, aby go ocucić.

Znowu mię złączysz na twem łonie białem,
Znowu mię ramię kochane otoczy —
Zbudzę się myśląc, że chwilę drzemałem,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.
Odessa, 1825.

DWA SŁOWA.

Gdy sam na sam z tobą siedzę,
Nie mam czasu o nic pytać:
Patrzę w oczy, ustek śledzę,
Chciałbym wszystkie myśli czytać
Wprzód, nim w oczętach zaświecą —
Chciałbym wszystkie słówka chwycić
Wprzód, nim od ustek odleczą.
I nie potrzeba tłumaczyć,
Co chcę słyszeć, co zobaczyć —
Rzecz nie trudna i nie nowa,
Moja luba, te dwa słowa:
„Kocham ciebie! Kocham ciebie!”

Innego nie chcę widoku,
Kiedy z tobą będę w niebie —
Tylko niech te dwa wyrazy,
Napisane w twojem oku,
Odbite po tysiąc razy,
Widzę wszędzie wkoło siebie,
Innej muzyki i w niebie
Nie chcę od wschodu jutrzeńki
Słyszeć do zachodu słońca:
„Kocham ciebie! Kocham ciebie!”
Dość mnie tej jednej piosenki,
Z wariacjami bez końca.

NIEPEWNOŚĆ.

Gdy cię nie widzę — nie wzdygam, nie płaczę;
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę;
Jednakże, gdy cię długo nie oglądam,
Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam

I, tęskniąc, sobie zadaję pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Gdy z oczu znikniesz, nie mogę ni razu
W myśli twojego odnowić obrazu;
Jednakże nieraz czuję mimo chęci,
Że on jest zawsze blisko mej pamięci;
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Cierpiałem nieraz — nie myślałem wcale,
Abym przed tobą szedł wylewać żale;
Idąc bez celu, nie pilnując drogi,
Sam nie pojmuję, jak w twe zajdę progi;
I, chodząc, sobie zadaję pytanie:
Co tu mię wiodło? Przyjaźń — czy kochanie?

Dla twego zdrowia życia-bym nie skąpił,
Po twą spokojność do piekieł-bym zstąpił,
Choć śmiałej żądzы niema w sercu mojem,
Bym był dla ciebie zdrowiem i pokojem.
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Kiedy położysz rękę na me dłonie,
Luba mię jakaś spokojność owionie,
Zda się, że lekkim snem zakończę życie;
Lecz mnie przebudza żywsze serca bicie,
Które mi głośno zadaje pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czyli też kochanie?

Kiedym dla ciebie tę piosenkę składał,
Wieszczy duch memi ustami nie władał;
Pełen zdziwienia, sam się nie postrzegłem,
Skąd wzięłem myśli, jak na rymy wbiegłem.
I zapisałem na końcu pytanie:
Co mię natchnęło? Przyjaźń — czy kochanie?

Z A L O T Y.

Póki córeczki opiewałem wdzięki,
Mamunia słucha, stryj czyta;
Lecz, skorom westchnął do serca i ręki
Ja słucham — cały dom pyta.

Mama o wioskach i o duszach gada,
Pan stryj o rangach, dochodach,
A pokojowa służącego bada
O mych w kochaniu przygodach.

Mamo, stryjaszku — jedną tylko duszę
I na Parnasie mam włości;
Dochodów piórem dorabiać się muszę,
A ranga — u potomności!...

Czym dawniej kochał? Ciekawość jałowa!
Czy kochać mogę? Dowiodę:
Porzuć lokaja, kotko pokojowa,
Przyjdź w wieczór na mą gospodę...

ROZMOWA.

Kochanko moja! Naco nam rozmowa?
Czemu, chcąc z tobą uczucia podzielać,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać?
Zaco ją trzeba rozdrabiać na słowa,
Które, nim słuch twój i serce dościgną,
W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną?

„Kocham, ach, kocham!“ — po sto razy wołam,
A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
Że ja kochania mojego nie zdołam
Dosyć wymówić, wyrazić, wyspiewać;
I, jak w letargu, nie widzę sposobu
Wydać znak życia, bym uniknął grobu.

Strudziłem usta daremnie użyciem:
Teraz je z twemi chcę stopić ustami
I chcę rozmawiać tylko serca biciem
I westchnieniami i całowaniami,
I tak rozmawiać godziny, dni, lata.
Do końca świata i po końcu świata.
Odessa, 1825.

DO ...

NA ALPACH W SPLÜGEN, 1823

Nigdy więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i łodem idziesz za mną w drogę.
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady,

I włosy mi się jeża, kiedy się ogłądał,
I postać twoją widzieć lękał się i żądał.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj w tych podniebnych górach,
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach,
Wstrzymuję krok, wiecznemi utrudzony lody
I, oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy na zamglonem niebie,
Szukam Litwy, i domku twojego, i ciebie...
Niewdzięczna, może dzisiaj, królowa biesiady,
Ty w tańcu rej prowadzisz wesołej gromady,
Lub może się nowemi miłostkami bawisz,
Lub o naszych miłostkach, śmiejąc się, prawisz!
Powiedz, czyś ty szczęśliwsza, że ciebie poddani,
Niewolnicze schylając karki, zowią: „Pani!”
Że cię rozkosz usypia i wesołość budzi
I że cię nawet żadna pamiątka nie nudzi?
Czy byłabyś szczęśliwsza, gdybyś, moja miła,
Wiernego ci wygnańca przygody dzieliła?

Ach — jabym cię za rękę po tych skałach wodził,
Jabym trudy podróże piosenkami słodził,
Jabym pierwszy w ryczące rzucał się strumienie
I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie:
I przeszłaby twa nóżka, wodą niedotknięta —
A całowaniem twoje ogrzałbym rączęta!
Spoczynek-by nas czekał pod góralską chatą;
Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą,
A tybyś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu,
Usnęła i zbudziła na mojem ramieniu!

DO MEGO CZICZERONA.

Mój cziczerone: Oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznanome imię
Wędrownik skreślił na znak, że był w Rzymie.
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku...

Może go wkrótce przyjmie do gospody
Kłótniwa fala — może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody,
I nigdy o nim nic się nie dowiemy.

Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,
Gdy w księdze twojej, wśród włoskiej krainy,
Za cały napis to imię wykryślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny.

Czy drżącą ręką, po długim dumaniu,
Rył go powoli, jak nagrobek w skale?
Czy go, odchodząc, uronił niedbale,
Jako samotną łzę przy pożegnaniu?

Mój cziczerone! Dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twem świeci czołem:
Przez rzymskie bramy, groby i świątynie,
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem,

Ty umiesz przejrzeć nawet w serce głazu;
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu...
Ach, ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma?
Rzym, 1830, kwiecień.

W IMIONNIKU.

Błogo temu, kto w twojej pamięci utonę,
Jak ten koral, lub owa jagoda perłowa,
Co ją woda Bałtycka w swem przeczystem łonie
Pod lazurową barwą na wieki przechowa!

Lecz ja, jak drobny kamyk, ni krasą korali,
Ni wdziękiem perłowego dochodzący blasku,
Chciałbym choć jedną chwilkę poigrać w tej fali,
Nim, zapomniany, legnę w niepamięci piasku.

DO MARJI PUTKAMEROWEJ.

OFIARUJĄC JEJ DRUGI TOMIK POEZJI.

Marjo, sioostro moja! Nie krewnym łańcuchem,
Aleśmy pobratani umysłem i duchem;
Gdy mi dziwactwo losu i twój wyrok wzbrania
Równie święte, a miłsze powtarzać nazwania —
Choć innem spojrzysz okiem w przeminione lata
I pamiątki kochanka przyjmij z ręki brata.

W IMIONNIKU M. S.

Jak wielorakie świecą na tem błoniu kwiaty!
 Jedne szumne, w jaskrawych dowcipu ozdobach,
 Drugie przyjaźń sadziła; te wzrastają z laty,
 Inne żałośnie więdnąć zdają się na grobach,
 W których są pochowane serca i nadzieje.
 Kiedy pani przechodzi ten ogród pamiętek.
 Nad jednym może westchnie, z wielu się rozśmieję —
 Ujrzy i szczupły, dla mnie oddany, zakątek...
 A choć równie z innemi nie możesz go cenić,
 Chociaż wyda się tylko łamoiną drożyną.
 Która, długiego słońca i niepogód winą,
 Nie może się zakwiecić, ani zazielenić —
 Wspomnisz jednak o dróżce choć z tego powodu,
 Że przedziela kwatery pięknego ogrodu.

1824, sierpnia 16 d. Kowno.

W IMIONNIKU JANA WIERNIKOWSKIEGO.

Żegnaj mi, parnaski bracie,
 I tu, w kraju, i za krajem!
 Ależ i w kazańskiej chacie
 Nie bądź hultajem!
 Poglądaj na Wschód, co tobie wytknięty,
 Jak szermierzowi olimpijska meta:
 Tam ci zabłysną perły, diamenty,
 Tam ci wileński zagaśnie kometa.

W SZTAMBUCHU MARYLI.

...Nessun maggior dolore, che ricordarsi
 del tempo felice nella miseria.

Bolesne mię dni błogich wspomnienie spotyka,
 Chociaż mię dziś Marja w swój imionnik przyjmie:
 Bo, gdy do swego Marją wpisał imionnika,
 Wpisałęm tylko jej imię.

W IMIONNIKU SALOMEI BECU

Minęły chwile szczęśliwsze, niestety,
 Kiedy na błoniach był kwiatów dostatek,
 Kiedy mi łatwiej było o bukiety,
 Niżeli teraz o kwiatek.

Ryknęły burze, ciągle leją sloty,
Trudno wynaleźć na ojczystej bloni,
Trudno wynaleźć, gdzie kwiat błyskał złoty,
Listka dla przyjaznej dłoni.

Co wynalazłem, niech tobie poświęcę.
Przyjmij go wdzięcznie, chociażby z tej miary,
Iż był ten listek w przyjacielskiej ręce,
Że to ostatnie są dary!

Wilno, 1824.

WIERSZ DO IMIONNIKA LUDWIKI MACKIEWICZÓWNEJ.

Nieznajomej, dalekiej — nieznany, daleki,
Kiedy nas jeszcze dalej losy chcą rozegnać,
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy: „Witam cię!” — „Bądź zdrowa na wieki!”

Tak wędrowiec, zbłąkany w alpejskim parowie.
Piosnką chce nudnej drodze przyczynić wesela.
A, kiedy nie ma komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela.
Lecz, nim piosnkę przypędzą echa ku jej stronie,
Może już podróżnego wieczny śnieg pochłonie...

DO ALEKSANDRA CHODŹKI.

(IMPROWIZACJA).

Olesiu, czemuż tobie zapłacę,
Za twoje rymy odwdzięczę?
Ja duch mój wieszczcy w obłędzie trace:
Jakim cię kwiatem uwieńczę?

Ty, jako sokół nad piękną błonią,
Ujrzałeś orła w polocie:
Smutny cień skrzydła samotne ronia.
Lecz w oczach jego gwiazd krocie.

Tyle jest w ustach twoich łoskotu,
Tyle w twych oczach bystrości —
Tyś pojął tajnie orlego lotu,
Sam orzeł tobie zazdrości.

Orzeł z łabędziem raz już ostatni
Może swą pnia wywodzi;
Jeszcze go ~~krzak~~ otacza bratni:
Lecz straszna chwila nadchodzi...

Precz żal niemęski, precz żal niewieści!
Zmienność ja nucę żalosną...
Bracia, słuchajcie dzikiej powieści!
Zdarzenia same urosną.

Raz poszły w zakład powietrzne ptaki,
Który z nich, w lotnym przegonie
Gdy się spróbują — obacz, jaki
Ma usiąść na ptaszym tronie?

Orzeł wyleciał: któż go doścignie,
Kto zagle takie ma pierza?
Kto kiedy orła w wiatrach wyścignie?
Gdzie orzeł znajdzie szermierza?

Lecz był kolibryk: on się rozczulił,
On królem ptaków chciał zostać;
On się pod orła skrzydło utulił,
Bo orła w locie nie dostać.

Orzeł wyleciał, lecz się zmordował
I spadł ku ziemi i zginął;
Kolibryk w jego skrzydle się schował,
Skąd się ku niebu wywinął.

Orzeł upada — ty latać będziesz;
Adam gdy ginie — ty żyjesz;
Na jego tronie ty kiedyś siedziesz,
Jego się blaskiem okryjesz.

Tyś go zrozumiał, ty go wysławisz,
Ty piosnkę świętą zadzwonisz,
I duszę jego światu objawisz,
I łezkę nad nim uronisz.

Tak, godną łezkę nad nim uronić
Tobie zostało, mój bracie —
Tobie i piosnkę świętą zadzwonić
Po przyjaciela utracie.

DO * W SZTAMBUCH.

Ku różnym stronom ściągaliśmy dłonie,
W różnych mieszkaly światach nasze myśli,
Oczy ku różnej wyglądały stronie —
Jakże, o luba, ku sobieśmy przyszli?...

Jak gwiazdy, równe wielkością i kształtem,
Do przeciwnego wyrzucone biegu,
Kiedy je niebo jednostajnym gwałtem
Wiecznie odtrąca od każdego brzegu —

Wieczni wygnance z powszechnego świata.
Jestże to dla nich szkoda czy korzyścią,
Że wstręt ku wszystkim znowu je pobrata,
I że się muszą kochać — nienawiścią?

W IMIONNIKU K. R.

Różnym losem rzuceni na świat powódzie,
Spotykamy się z sobą, jak dwie różne łodzie!
Twoja — barwą nowotną i pancerzem lśniąca,
Bisiorom wiatry chwyta, nurt roztrąca;
Moja — na woli burzy i morskich straszylei,
Wyrzucona bez steru, ledwo z resztą skrzydeł!
Gdy jej owad tajemny na wskroś piersi porze,
Gdy gwiazdy chmurą zaszyły — kompas ciskam w morze.
Rozumiem się!... I kiedyż w jedną pójdziem drogę?
Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nie mogę.

PODRÓŻNI.

(W IMIONNIKU H. HOŁOWIŃSKIEJ).

Błądzącym wśród ciasnego dni naszych przestworza
Życie jest wąską ścieżką, łączącą dwa morza.
Wszyscy z przeszłości mglistej w przyszłość lecim mroczną
Jedni najprościej dążą i najrychlej spoczną,
Drugich na stronę wiodą ludzające widoki:
Plony, ogrojce wdzięków i sławy opoki.
Szczęśliwi, jeśli, goniąc maryl wyobraźni,
Przed końcem drogi znajdziem świątynię przyjaźni!

W Stebłowie, r. 1825.

PORZUCENI NA ŚWIATA...

Porzuceni na świata lodowatym końcu,
Nie zazdrościmy krainom, sąsiedniejszemu słońcu:
Ich ład kaszemirskiego ma barwę kobierca,
Kwiat z jedwabiu jutrzeński, z płomienia ich serca.

.....
.....
Lecz, jak róża zabłyśnie i wnet oko zmruży,
Wnet giną w ziemi liście, w sercu pamięć róży,
A nasze lądy zimnem dochowają łonem
Pamięć istot, straconych przed lat milionem.
Jeśli ziemia tak długo chowa martwy szczątek,
Jakież są serca nasze dla żywych pamiątek!

ŻEGLARZ.

Ilekoć ujrzysz, jak zhukana fala
Po głębiach barkę przerzuca tułaczą,
Niech się anielskie serce nie użala
Nad płynącego trwogą i rozpaczą!
Tę barkę wichur odbił od okrętu,
Na którym żeglarz swe nadzieje złożył;
Jeżeli wszystko jest pastwą odmetu,
Czegóżby płakał, o coby się trwożył?
Lepiej mu, pośród żywiołów bezrządu,
Walczyć co chwila z nowymi przygodą,
Niż, gdyby wybrnął i z cichego ładu
Patrzył na morze i liczył swe szkody.

Odessa, 1825, kwiecień 14.

ŚLYCHAĆ, ŻE PUD SUWNIRÓW...

Słychać, że pud suwnirów pobrałeś z Rusinek,
Które ci pozyskała czułość albo sztuka;
Niechże i przyjaźń kilka życzeń w upominek
Do sentymentalnego wpakuje sunduka.
Czy jedziesz w kraje lodów, czy na dworzec słońca,
Obyś zawsze tam jeździł, gdzie ci się podoba;
Oby na twym kompasie u jednego końca
Zawsze było życzenie — na drugim żałoba.

W Moskwie, 1826, czerwiec.

DO MARJI SZYMANOWSKIEJ.

Na jakimkolwiek świata zabłysnęłaś końcu,
Tobie wieszczę, jak Gwebry indyjskiemu słońcu,
Chylą czoła, wieńczone w nieśmiertelne liście,
I arf tysiącem twoje opiewają przyjście.
Zdziwisz się, kiedy nagle z cherubinów chóru
Wyrwie się jakiś odgłos nieznany i dziki
Pomiędzy triumfalne pieśni i okrzyki,
Jako wieśniak pośrodku królewskiego dworu,
Ale śmiały i wszystkich roztrącać gotowy,
Pójdzie prosto ku Tobie i z duszą obejmie:
Królowo tonów, ty go powitaż uprzejmie,
To twój dawny znajomy — to dźwięk polskiej mowy.

NIEZNAJOMEJ SIOSTRZE PRZYJACIÓŁKI MOJEJ.

Przyjaciele, wyrokiem smutnym rozłączeni,
Kiedy im wszystko stawi na ziemi przegrody,
Wybierają z pomiędzy niebieskich płomieni
Wspólną gwiazdę za wiecznej powiernicę zgody,
I tą gwiazdę, jak kręgiem świętego pierścienia
Zaślubiają wzajemnie — przynajmniej wspomnienia.
Ale jest milsza gwiazda, która przyjaźń budzi
W sercach dwojga dalekich, nieznajomych ludzi:
Dopóki błyszczeć będzie na północnem niebie,
Patrząc ku niej, nam udziel choć cząstkę wejrzenia —
A, kiedy nas opuści, by świecić dla ciebie,
Poślę za nią ku tobie oczy i życzenia.
O, gdyby dozwoiliły wyroki łaskawsze
Widzieć tę gwiazdę społem i z bliska i zawsze!

W Moskwie.

WIERSZ DO H. S.

PROSZĄC O WYBRANIE BILETU NA LOTERJĘ.

Jeśli los ślepy nie zawsze,
Nie zawsze błądzi w wyborze —
Miejsce i względy łaskawsze
Posiadasz na jego dworze;
Na przychylne dla mnie wsparcie
Użyj twojego znaczenia
Niechaj na wybranej karcie
Zapisze do wyciągnięcia

Z koła, którem obraca, nie mniej ani więcej
Nad potrzebną mnie ilość: dwakroć sto tysięcy.

DO KSIĘCIA GOLICYNA.

Jeżeli wolność czuć i kochać umiesz,
W naszej rozmowie nie potrzeba słowa:
Ja twe westchnienie, ty me lzy zrozumiesz,
I dłoń uściśniesz; oto polska mowa.

PRZED WICHRAMI I SZRONEM...

Przed wichrami i szronem gdy przelotne ptaki
Uciekając, rozstania nucą pieśń żalosną,
Nie wiń ich o niestałość: one z każdą wiosną,
W jedne strony, jednemi powracają szlaki.
Słyszac głos ich, wygnańca wspomnij, przyjaciela!
Ilekoć mu po burzach nadzieja zaświeci,
Tyle razy duch jego na skrzydłach wesela
Znowu na północ, znowu ku tobie uleci.

W IMIONNIKU CELINY SZYMANOWSKIEJ.

Zaczyna się werbunek. Widzę, zdala goni
Ogromna ciżba pieszych, hułanów, huzarów,
Niosąc imiona nakszałt rozwitych sztandarów:
Chcą w albumie założyć obóz różnej broni.
Stanie się! Będę wtenczas siwym bohaterem
I, z żalem rozmyślając o mych lat poranku,
Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku
Jam w tej armji pierwszym był grenadyrem.
Petersburg, 1829.

DO MARCELINY ŁEMPICKIEJ.

W DZIEŃ PRZYJĘCIA KOMUNJI ŚW.

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł,
Dziś anioł tobie nie jeden zazdrościł;
Ty spuszczasz oczy, które bóstwem gorą! —
Jak ty mnie swoją przerażasz pokorą!
Święta i skromna! — Grzesznicy nieczuli,
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym,
Tobie, klęczącej przed Barankiem Bożym,
Jutrzenka usta modlące się stuli.

Wtenczas zlatuje anioł, twój obrońca —
Czysty i cichy, jak światło miesiąca:
Zasłonę marzeń powoli rozdziela,
A, troskliwości pełen i wesela,
Z takim nad tobą schyla się objęciem,
Jak matka nad swem sennem niemowlęciem.
Jeżeli promień nieśmiertelnej łaski
Zbyt żywo w oczach anioła jaśnieje,
I gdy się senna zbyt żywo rozśmieję,
Anioł łagodnie przygasza swe blaski,
Stula nad senną zasłonę marzenia
I odlatuje, biorąc twe westchnienia—
Lecz, nim odleci, kładzie wdzięki nowe,
Jak nowe suknie dziecięciu pod głowę;
Tak się piastunka jego codzień budzi
Z nową miłością u Boga i ludzi. —
Jabym dni wszystkich rozkosz za nic ważył,
Gdybym noc jedną, tak, jak ty, przemarzył.

WPÓŁ JEST ŻYDEM...

Wpół jest żydem, wpół Polakiem,
Wpół jakubinem, wpół żakiem,
Wpół cywilnym, wpół żołdakiem,
Lecz zato całym łajdakiem.

W DOMU BIŁ SIĘ...

W domu bił się hrabia z popem,
Kto z nich jest pocciwszym chłopem.
Pies z wieprzem gryzł się pod gankiem,
Kto z nich jest lepszym barankiem.
Pies i wieprz gryzą się z sobą,
Kto z nich jest trzody ozdoba.
Gryzła się kotka ze świnią,
Kto z nich w domu gospodynią.

DO FRANCISZKA GRZYMAŁY.

Franciszku! Ja na morze publicznej obrady,
Jak łódka za okrętem, płynąłem w twe ślady.
Zagielek mój z papieru i liny z jedwabiu —
Spotkałem wroga; weź mię do twego korabiu,

Schowaj mię z łódką w twoje szerokie zanadrze
Przeciw starozakonnej wojennej eskadrze!
Słyszysz, że działa z Litwy przywiózł Krępowiecki
I rdzennym strzałem mierzy w cały stan szlachecki.
Choć nie mam prócz Parnasu innych posiadłości
I nadzieja dochodów moich w potomności —
Jestem pono szlachcicem: truchleję z obawy
Przed bohaterem, sławnym z litewskiej wyprawy.
Jest sławiony w kantyczkach rabin z Świętogradu.
Najmężniejszy przed wieki z Hebreów narodu,
Który, kiedy Chrystusa związali Rzymianie
I wystawili na śmiech i na biczowanie,
Śmiał w synagodze, zbrojną wdziawszy rękawicę,
Uderzyć bezbronnego Zbawiciela w lice.
Tego męża był praprawnukiem naturalnym
Żyd, który za mych czasów był w Mirze kahalnym;
Sławili go z niezwyklej odwagi niechrzczeni,
Iż śmiał Radziwiłłowi dać figę w kieszeni.
Od tego żyda idzie mąż sławny w tułactwie,
Który, stanąwszy śmiało w paryskim opactwie.
Związanej od Moskali Polsce dał policzek
I związał na nią zdjęty ze swej szyi stryczek.
Przy nim stoi na deskach Puławski przeczysty
I wznosi rozczulony głos ewangelisty.
Woła: „Jam kapłan prawdy! Fałszujmy i łżyjmy!”
Woła: „Jam kapłan zgody! Kłóćmy się i bijmy!
Jam zrobił ślub czystości! Walajmy się w śmieciach!
Ja głoszę przebaczenie — mścijmy się na dzieciach!”
Tu głos jego oklasków zagłuszyły krocie,
Lecz on: „Krwi! Krwi! Krwi!” kwiczał, jak uwięzły w błocie.
Na ten kwik towarzysze z różnych dziur powstają —
Z nadstawianemi kłami: „Krwi, krwi, krwi!” kwikają.

RAZ GRZYMAŁA...

Raz Grzymała na Taranie
Wzniósł projekt pod kreskowanie
I rzekł wymownemi usty:
„Obywatele oszusty!
Obywatele łajdaki!
Chcę z was mieć pożytek jaki:
Z hrabików, mędrków i popków
Chcę porobić polskich chłopków!”

Polska cała poklask dała —
Wziął się do pracy Grzymała.
Dotąd się mąż wielki trzudi
Z rąk mozołem, w pocie czoła —
I dotąd zrobić nie zdoła
Dobrych chłopów z kiepskich ludzi.

WIZYTA PANA FRANCISZKA GRZYMAŁY.

Exegi monumentum...

Świeci się pomnik mój nad szklanny Puław dach,
Przetrwa Kościuszki grób i Paców w Wilnie gmach;
Ni go łotr Wirtemberg bombami mocen zbić,
Ni podły Austryak niemiecką sztuką zryć,
Bo od Ponarskich gór i bliźnich Kowna wód
Szerzę się sławą mą aż za Prypeci bród;
Mnie w Nowogródku, mnie w Mińsku czytuje młodź
I nie leniwa jest przepisać wielekroć.
W folwarkach łaskę mam, u ochmistrzyni cór,
A, w braku lepszych pism, czyta mnie nawet dwór.
Stąd mimo carskich groźb, na złość strażnikom cel,
Przemycza w Litwę żyd tomiki moich dzieł.

Paryż, 1833.

DO BOHDANA ZALESKIEGO.

Słowiczku mój, a leć a piej!
Na pożegnanie piej
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonej piosnce twej!

Słowiczku mój, twe pióra zzuju,
Sokole skrzydła weź
I w ostrzu szpon złotostrun
Dawidzki hymn tu nieś!

Bo wyszedł głos i padł już los
I tajne brzemię lat
Wydąło płód — i stał się cud
I rozraduje świat!

AD NAPOLEONEM III
CAESAREM AUGUSTUM
ODE IN BOMARSUNDUM CAPTUM.

Qualis fugacem quum Amphitryonius
Cacum insequutus belluae in occiput
Rupes ruens fumosque et ignes
Guttur in horrisonum retundens:

Auguste Caesar, te auspice, Gallicus
Ursam Bootae victor adordiens,
Spelaea lustrat, caedibus tot
Innumerabilibusque furtis

Obscena; quo nunc advolant undique
Gentes latronis funere sospites,
Svecusque Fennique et Polonus,
Quisque suas sibi res petundo;

Rati tuum illum, romulea manu,
Dirum superbis Caesarem avunculum,
Auguste, jam per te secundo
Cum imperio miseris reduci.

DO NAPOLEONA III
CEZARA AUGUSTA
ODA NA WZIECIE BOMARSUNDU.
(Przekład Jana Kasprowicza).

Jako potężny syn Amfitriona,
W lot doścignawszy Kakusa, na głowę
Skały mu wali i kłęby ogniowe
W potworną gardziel mu wtlacza, tak ona

Gallów wyprawa pod twoją, Cezarze,
Dopadłszy wodzą niedźwiedzia północy,
Przetrzęsa jego jaskinie, twej mocy
Dzisiaj oddane, krwawym łupem wrząc:

I oto zewsząd na ten pogrom zbója
Uszczęśliwieni zlatują sąsiedzi:
Wszyscy: Finowie, Polacy i Szwedzi
Krzywd swych dochodzą, bo snąc twego wuja

Dłoń Romułowa z mogiły powstała,
Groźna dla wszelkich pyszałków, snać ninie,
W tej powtórnego cesarstwa godzinie,
Cezara w tobie rozblęła znów chwala.

CHÓR STRZELCÓW.

(PODŁUG MUZYKI Z OPERY WEBERA: *Wolny Strzelec*).

Sród opok i jarów
I plonów i głogów,
Przy dźwięku ogarów
I rusznic i rogów,

Na koniu, co w czwale
Sokoli ma lot,
I z bronią, co w strzale
Huczniejsza nad grzmot —

Dalejże, dalejże, z tropu w trop, dalejże i t. p.
Z tropu w trop, hop, hop!

Wesoły, jak dziecko,
Jak zbójca, krwi chciwy,
Odważnie, zdradziecko,
Bój zaczął myśliwy.

Czy palnie na smugi,
Czy w górę do chmur —
Tam krwi płyną strugi,
Stąd leci grad piór.

Dalejże, dalejże i t. p.

Kto żubra wywiedzie
Z ostępu za rogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?

Hej, lasy i niwy,
Ozwijcie się w chór!...
Zatrąbił myśliwy,
Król lasów i gór.

Dalejże, dalejże i t. p.

Czyj dowcip gnał rojem
Lataczów do sideł?
Kto wstępny wzięł bojem
Sztandary z ich skrzydeł?

Hej, wiatry, w burzliwy
Ozwijcie się chór!...
Wystrzelił myśliwy,
Król wiatrów i chmur.

Dalejże, dalejże i t. p.

C Z Y N.

(NA NUTĘ PIEŚNI BERANŻERA: *Jeunes enfants*).

„Hej, dalej w płas,
Pokręcaj wąs!” —
Tak nasi mawiali przodkowie —
„Pocziwie bij,
A tego pij!”
Hej, pijmy za ich zdrowie!

Gdy młody Polak *czynem* się zbłaźni —
Dopóki krzyża nie dopnie,
Pnie się na świecie, jak w ruskiej łaźni,
Na coraz wyższe i wyższe stopnie.
Lecz darmo czady pije,
Próżno ćwicz pieczenie:
Jeżeli zbrukał sumienie,
Dalibóg, że skręci szyję.
„Tyś szlachty syn,
Nie dbaj o *czyn!*”
Tak nasi mówili przodkowie —
„Jeżeliś gracz,
Choć bieda, płacz!
Hej, pijmy za ich zdrowie!

Tamten astronom od nocy do rana
Do gwiazd wyprawia połowy —
I sadzi krzyże na brzuch, na pierś, na kolana,
Świeci się, jak wóz Dawidowy.

Lecz wkrótce śmierć się zbliża,
A z nią piekielna męka:
Tego jednego krzyża
Belzebub się nie lęka.

„Hej, dalej w płas,
Pokręcaj was!“ —
Tak nasi mówili przodkowie —
„Tyś szlachty syn,
Nie dbaj o *czyn!*“
Hej, pijmy za ich zdrowie!

W A R C A B Y.
DO FRANCISZKA MALEWSKIEGO.

Franciszku, dosyć prawne roztrząsać księgarnie!
Niech je pył zasłużony choć na czas ogarnie!
Rzuć słabości i niecnót przeglądając obrazy,
W naturze ziemskiej pilnie wszystkie liczyć skazy!
Zbyt to są dla ułomnych smutne widowiska:
Serce z nich nic nie czerpa, choć rozum coś zyska.
Inna jest żyć bez zbrodni, inna poznać zbrodnie;
Często i prawodawca nie był z prawem zgodnie.
Lokryjczyk, wbrew statutom, które sam uchwała,
Ojcowskie karał oko za grzechy syna —
I ten, co zakon wyrył na głazach dwunastu,
Zgwałcenia jego pierwszy daje przykład miastu.

Ale pocóż umarłe mam wołać przykłady?
Silniejszym jest natura mojej wsparciem rady.
Choć prawo siedzi w mieście, prawość na wsi mieszka,
Nie marmur, lecz zielona wiedzie do niej ścieżka.
Myśmy ze wsi nie mędrsi, może lepsi wyszli —
Bieźmy tam! Kto się bawi, ten o złem nie myśli.

A jeśli niedojrzałej wiosny słotna pora
Lub skwar nas w domu zamknie, albo chłód wieczora,
Czyż to piękną zabawkę wynaleźć zabroni?
Niechaj się czasem umysł i do gry nakłoni!
Nie do tej, gdzie, aż w północ oczekując nudnie,
Dręcząc ciało, a wdziecznie myśli nie zatrudnię;
Tak zwykle gmin się tylko bawi mało warty,
Kręcąc skazówki, kości miotając lub karty;
Kruszec jest grania celem, graczy wabi żądza,
Podłość walczy o zysk, ślepy los przysądza.

Ale, czyj duch wznioślejszy, pojętność nie słaba,
 Takim lepiej rozmyślna przystoi warcaba.
 Z nadkatajskich wzięliśmy tę zabawę granic,
 Przez nią w zbrojne rzemiosło wtrawiał się sultanic;
 Jak nacierać, jakimi wycofać się biegi,
 Pouczał się, kościane hetmaniąc szeregi,
 Lub, do miejsca stosując różnych zdatność osób,
 Z trudnej gry brał trudniejszy królowania sposób.
 Dziś nie koronna głowa, ni mieczny zabierca,
 Ale warcabę czule ulubiły serca,
 Hucznych znikając zabaw, nie łakome zysku,
 Dzionek na towarzyskiem skracają igrzysku.
 Precz od nich, z ulicznego wydobyty steku,
 Obyczajem i twarzą nieznany człowieku!
 Dobrańsza tylko para wychodzi do szranek:
 Przyjaciół z przyjacielem, z kochanką kochanek.

Franciszkę, sercem czuły, a zimny z urzędu,
 Nie znasz miłości, nie masz dla warcaby względu!
 Pozwól, niech tobie gry tej prawidła wymienię,
 Bo tamtej — jedno kiedyś nauczył spojrzanie.

O Wido! Gdybym dostał twój pędzel bogaty,
 Wido, tak biegle w polskie przestrojony szaty,
 Zdarz, niech, twojego torem idąc wynalazku,
 Opisom mym udzielię powabu i blasku!
 Niech stąd warcaba świeżej nabędzie zacności,
 Niech chwalonym przez ciebie szachom nie zazdrości;
 A mnie niech wdzięcznie czyta ten, dla kogo piszę,
 Niech cierpliwie słuchają mili towarzysze!

Wiedźcie tedy, iż gra ta jest bojów obrazem!
 Trzeba miejsca, chcąc wojska przeciwne zwieść razem:
 A więc naprzód dla warcab szranki przybierz szanie,
 Niech je siedem dróg równych z obu stron rozetnie,
 Potem czarne i białe strugaj czwororościany
 I w miejscach opisanych rozsądź na przemiany!
 Kiedy się plac ogrozi, skreśli i wymierzy,
 Nie zaniedbaj do walek przywołać rycerzy.
 Dwunastu ma ich jedna, tyleż druga strona
 Że pieszo walczą, *pieszków* niech noszą imiona.
 By omyłek w wojennym tłumie uniknęli,
 Tamci czarny strój mają, ci są całkiem bieli —

A, chociaż różni, szaty w różnym noszą wzorze,
Przecież stają na czarnym z obu stron kolorze.
Pułk chce się z pułkiem zetrzeć, trupem usłać pole,
Albo żywym broń wydrzeć i zaprzec w niewolę.
Każdy, na czoło jednym postępując krokiem,
Nieprzyjaciela swego pilnem śledzi okiem,
Patrzy, czy który rycerz, zapędzony w biegu,
Nie wymknie się choć na krok ze swego szeregu,
A, skoro z tyłu za nim próżny plac odkryje,
Wskoczy nagle i utnie zuchwalcowi szyję.
Czy wygrana ucieszy, czy pośród pogromu —
Cofnąć stopy pod karą nie wolno nikomu;
Iść naprzód, walczyć, gonić za nieprzyjacielem,
Wedrzeć się do obozu — jest głównym gry celem.
Kto pierwszy umiał zdobyć przeciwnika szranki,
Ozdobi się laurowym wieńcem z rąk kochanki
I, jako błędni niegdyś czynili rycerze,
Do boju idąc, *damę* na koń z sobą bierze.
Co wprzód stapał pieszo, dziś po całym szlaku
Wprzód i w tył, w lewo, w prawo, hasa na rumaku:
Jeśli mu jaki śmiałek waży się zająć w oczy,
Dopędzi go, zabije i nazad uskoczy.
Tak ów Karol trwożliwy już umykał z tronu
Przed nachodem powstańców i wojsk Albionu,
Ale, jak tylko dostał pomoc Orleanki,
Potłumił i Angliki i buntowne Franki.

Odpieraj więc, jak możesz, i kładź wszędzie tamy,
Ażeby twój przeciwnik nie mógł zdobyć damy,
Jeśli jej i sam z obcych wziąć nie zechcesz szyków,
I własną mocą w boju zgnębisz przeciwników,
Wtenczas dla nich, prócz straty, największa sromota:
Według praw tracą sławę i *paść* muszą *kota*.
Częstokroć wódz, w swej sile zaufany zbyt, —
Nie chce rycerki, myśląc, iż sam wszystkich wytnie —
A tymczasem przeciwnik, mając pomoc w damie,
Wypędzi go z obozu, doścignie i złamie.
Już wódz chwije się ranny, miecz upuszcza z dłoni:
Kochanka nad nim żadnej łezki nie uroni;
Tak, co wprzód zwycięstwa karmił się otuchą,
Umiera, a, co gorsza, umiera *na sucho*.

Pary więc szukaj, gwałtem lub przez chytre środki;
W parze miłe zwycięstwo, w parze i zgon słodki.
Choć przegrasz, mniejszą będzie daleko przegrana,
Jeżeli grób twój łzami odwilży kochana.

Masz tedy prawa wojny; krótkość je podaję.
Różnych jeszcze narodów znaj różne zwyczaje!
Sarmata, ufność w samej kładący odwadze,
Woła na cię przed bojem: „Zwalczę, lecz nie zdradzę!”
Stąd piersią w pierś uderza, w tył razów nie ciska,
Choćby kark nieprzyjazny nadstawiał się zbliśka.
Dama, jego podskoków wyprawiać niezdolna,
Równym, jak mąż jej, krokiem postępuje zwolna,
Ten tylko u rycerskiej względ zyskawszy młodzi,
Że się jej z krwawych bojów ująć bez hańby godzi.
Hiszpan śmiało uderza na miecze i spiże:
Z czoła walczy, lecz okiem i tam i sam strzyże;
Często skradać się lubi wśród gwaru, wśród pyłu,
I zdradliwie przebija nieprzyjaciół z tyłu;
Stąd w takich bojach nieraz za cięciem bułata
Dwóch, czterech, pięciu zgładzić potrafi ze świata.
Gdy zwyciężony padnie, Hiszpan, zdarłszy zbroje,
Cofa się, by łup unieść między pułki swoje.
Dama kastylska w bitwach różnym trybem stawą:
Niemasz w księgach zwyczaju wyraźnego prawa.
Raz, chciwa wojennemi ozdobić się łupy,
Staje na bojowisku i obdziera trupy —
Ale, kiedy nad niemi pastwi się okrutnie,
Często pieszek podskoczy i dumny łeb utnie;
Jeśli zaś rzuca martwych i dalej ucieka,
Od nieprzyjaznych szyków stawając zdaleka,
Choć jedna tylko walczy, gęste trupy ściele,
Licniejsi jej nie mogą zbić nieprzyjaciele.
Francuz, staczając walki, naprzód idzie żwawo,
Zabijając w tył, lata i w lewo i w prawo.
Strzelec trafny, nie zważa na damy, na pieszki:
Częstokroć kulą sięgnie aż w sam koniec ścieżki
I, jeśli mu się kogo położyć udało,
Przez całe szranki wpada do obozu śmiało.

Znając wojska, wybieraj, jakieć się podoba,
Jednak muszą się na to gracze zgodzić oba.

Po polsku walczą zwykle celniejsi zaśluga;
Bój ten wymaga sztuki i ciągnie się długo;
Pod koniec, kiedy damy wjadą tłumnie w szranki,
Bardzo trudno przychodzi ścigać jejmościanki.
Gra więc hiszpańska, krótsza, podstępna, zajadła,
Wielu dzisiejszym wodzom do smaku przypadła.
Bardziej, niżli do męstwa, do wybiegów zdadni,
Ćwiczą się nieprzyjaciół w chytrej łowić matni.
Francuz, że prędko kończy i daleko skacze —
Lubią go tylko młodzi i zuchwali gracze.

Lecz nie dosyć, Franciszku, żeś świadom obrotów,
Żeś widział wojska — jeszcześ do bitwy nie gotów,
Czyż ten hetman, kto tylko rąbie, strzela, kole?
Nie: umiej szyki sprawić, umiej przeznaczyć pole.
I w grze są różne miejsca: wskażę moja rada,
Kiedy je zająć, kiedy strzec się ich wypada.

Naprzód w prawo jest koniec o podwójnym głazie:
Młynek to, port, bezpieczny w niebezpiecznym razie.
Tam broń się, choćby na cię bito bez spoczynku;
Nim ustąpisz, przemoknie krwią droga do młynku.
Jeżeli grasz po polsku, a młynek w twej właści,
Możesz damy wygodnie bronić od napaści!
Przeciwnie, gdy hiszpanka na placu zostanie:
Stanąwszy w młynkach, łatwe na nią polowanie.
Z lewej strony głąz jeden w koniec szranków bodzie,
Miejsce to zowią *beczką*: groźne na przechodzie,
Gdyż, jeżeli w niem dama zasiądzie na czaty,
Nabawi pewnie klęski albo znacznej straty.

Te są w tyle, lecz inne z czoła stanowiska,
Kędy na nieprzyjaciół można natrzeć zbliśka.
Iż przyległe granicom, nazwane są *kątki*:
W nich bitwa często krwawe zwykła mieć początki
W nich się kryje, kto słaby lub ostrożny zbyt,
I w nich biegly gromiące stawia działobitnie.
Pomnij zrazu je zająć, byś obce rwał skrzydła:
Tak doświadczenie każe, tak walki prawidła.
Środkiem gracz najbiegłęjszy i najgorszy lezie:
Często jest tam zwycięstwo, ale częstsze rzeznie.

Chyba się losem szczęsnym przeciwnik omyli —
Wtenczas możesz mu pieszków w jednej zrząbać chwili.
Lecz, kiedy w kąty wjedzie, zapęd wojska wstrzyma,
Tak się zaprziesz na środku, iż stąpić gdzie niema.

Ale pocóż szeroko przepisy rozwodzę?
Nie przepisy stanowią zwycięstwo, lecz wodze.
Oni początkiem bojów, dają bojom prawa,
Od nich zależy cała w warcabach zabawa.
Nie prędko do potyczki bohater przywabi,
Co się powolnie wlecze, jak ów togar Fabi:
Nie śmiejąc ni uciekać, ani stawić czoła,
Wyda rozkazy, znowu wydane odwoła —
To w przód, to w tył pojeżdża, patrzy, głową kręci,
Myśli — wtem, co umyślił, wypadło z pamięci,
I, przegrawszy nareszcie po rozważach długich,
Pozna, iż sam się znudził i nie bawił drugich.
Równie śmieszny, kto, drobnych obyczajem dzieci,
Bez namysłu, bez celu, oślepi w ogień leci;
Biją go, jeśli natrze — łowią, jeśli zmyka —
Ginie wreszcie, nie ciesząc zgonem przeciwnika.
Ten tylko słusznie wielkie gracza imię bierze,
Kto męstwo i rozagę w jednej trzyma mierze,
Czyja głowa i ręka z bojem oswojona,
Kto i dobrze umyśli, i prędko wykona.
A gdzie są tacy gracze? Lecz wieszczy głos słyszę —
(Słowom moim udziela wiary towarzysze):
„Franciszek będzie takim, jeśli tylko przymie
Ustawy, w przyjacielskim nakreślone rymie“.

Lecz zacóż go nie wołam do stolika ze mną,
Z gry objaśniać naukę, może w pismach ciemna?
Gdy mu inni te służby pomniejszych oddadzą,
A jakąż one dla mnie zakazane władzą?
Warcaby, niegdyś moja zabawko ustawna,
Zacóż-em niewidziany koło was oddawna?

O ty, dla której wiecznie tajne me zapaly,
Której imię pomyśleć staje się za śmiały!
Tobie spokojność moją gdym przegrał w warcaby,
Odtąd już gra ta dla mnie straciła powaby!...
Nie dziw, że m toczył zawsze mniej szczęśliwe boje:
Tyś patrzyła w warcaby — ja w oblicze twoje;

Najdroższego oblicza będąc niedaleki,
I wiecznie chcąc je widzieć, i tracąc na wieki,
Miotany od sprzecznego poruszeń natłoku,
Ból w sercu, w licach bladość, ogień miałem w oku,
Alem się nadaremnym nie zdradził zapalem,
Westchnienie zatłumiłem, słówka połykałem,
Bo los, wynosząc ciebie między jasne rody,
Z samą nadzieją wieczne przykazał rozwody!
Ustąpię, jęki nawet z głębi nie wypadną —
Lecz pamiętam, bo pamięć nie jest mi podwładną,
Pamiętam dzień ów grania i szczęścia ostatni,
Gdyś mię i pieszki moje wpędziła do matni.
Odtąd, na wieki w jednym porzucone szyku,
Brańcy obok zwycięzców tkwią na mym stoliku:
Raz tylko śmiałem ulżyć grą długiej żalobie —
Lecz więcej grzechu tego nie pozwolę sobie,
Bo twoja oczywiście zstępująca postać
Kazała grze poczętej nietkniętą pozostać.

Franciszku! Czy litości, czyli doznam wiary,
Czy to bóstwo, czy zmysłu popsutego czary,
Z uniesieniem widzący, a niechętny badać,
Nadludzkie tobie cudo muszę wypowiadać.
Pomnisz, jak, przeraźliwych strat odniósłszy rany,
Z jej obecności, z waszej pociechy obrany —
Całe dni pustelnicza więziła mię klatka —
Wielu niespanych nocy dotrwałem ostatka.
Raz, gdy już światła lampa konająca skąpi,
Nagle się gęstwa cieniu koło mnie rozstąpi —
Wzrok osłupiał i myśli splątały się tłumnie...
Alić jasny powietrzem anioł spływa ku mnie.
Boże! To jej twarzyczka, jak poranek błada,
Włos na szyję srebrnymi promykami spada,
Chmurka jej przezroczysta za sukienkę służy,
Czerwieniejąc u piersi obwiązkami róży.
Widziałem ją, jak ciebie oglądam na jawie,
Widziałem ją w codziennej obecnej postawie,
Tylko mającą bardziej jasności dokoła,
Więcej boską — bo więcej piękną być nie zdoła.
Ku stolikowi potem przyśliznęła kroku —
Spotkaliśmy się okiem: cały byłem w oku,

Sercem tak blisko serca i licem do lica!...
 Szczupła nas rozdzielała tylko warcabnica.
 Odtąd już wielokrotnie w przedporanne cienie
 Bóg jest łaskaw podobne zsyłać mi widzenie.
 Zawszy około warcab pobawi się zbliżka,
 Lecz nie chce, abym graniem zmienił stanowiska;
 Snać od bóstwa sprawionych orszaków i błoni
 Dotykać skazitelnej nie godzi się dłoni...
 Tak gra musiała dla mnie wszelki powab zgubić.
 Franciszku, jeśli dłużej chcesz warcaby lubić,
 Na spółbliźnich uzyskuj triumfalny wianek,
 Nigdy nie wyzywając do boju niebianek.
 Pomnij, że, kto ośmielił na Pafią dłonie,
 Tydejczyk, rychło zbrzydził szeregi i bronie—
 A ja, com niegdyś smutki rozweselał cudze,
 Teraz, smutny, was mijam, lub uczeniem nudzę.

DO JOACHIMA LELEWELA.

Bellorum causas et vitia, et modos
 Ludumque Fortunae, gravesque
 Principum amicitias, et arma...
 Periculosae plenum opus aleae
 Tractas, et incedis per ignes
 Suppositos cineri doloso.

Horat. L. II c. I.

O, długo modłom naszym będący na celu,
 Znowuż do nas koronny znijdziesz Lelewełu!
 I znowu cię obstapia pobratymcze tłumy,
 Abyś naprawiał serca, objaśniał rozumy.
 Nie ten, co wielkość całą gruntuje w dowcipie,
 Rad tylko, że swe imię szeroko rozsypie
 I że barki księgarzom swemi pismy zgarbi;
 Nie taki ziomek serca na wieczność zaskarbi,
 Ale, kto i wyższością sławy innych zaćmi
 I sercem spółrodaka żyje między braćmi.
 Lelewełu, w oboim jak ci zrównać blasku?
 Szczęśliwyś i w przyjaciół i w prawd wynalazku.
 Oto nad wiek młodziana przerosłeś niewiele,
 Tobie, mędrszemu, siwe zajrzą Matuzele,
 Imię twoje wybiegło za Chrobrego szranki,
 Między teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki,
 A jak mocno w litewskim uwielbianyś gronie,
 Publicznie usta nasze wyznają i dłonie.

Zaczniij słynąc cudami dla uczniów natłoku,
Coś je tylekroć sprawił w onegdajszym roku,
Gdy twojem czarodziejskich użyciem sposobów
Greckie i Rzymian cienie ruszałeś z pod grobów.
Wstają zmartwych, przechodzą na prawdy zwierciadła,
Od czoła ich Plutona przyłbica odpadła
I żelazne na piersiach łamią się pokrycia,
W których myśli i chęci taili za życia.
Oto mędrzec Fedona — to Persów zabierca;
Patrzym w bezdenność myśli, w labirynt ich serca:
Tam iskra światła, owdzie nasiona potęgi.
Gdy je zdarzeń pomyślnych wzmagą oddech tęgi,
Iskra łunę roznieca, z nasionek wylęga
Olbrzym, dosięgający brzegów ziemiokręga.
Tak dzielne geniusze panują nad światem;
Teraźniejszość upada przed ich majestatem,
Stworzenia, które kiedyś wyda przyszłość mętna,
Niosą polor ich blasku, lub ich razów piętna.
Ale równa jest wielkość: czy to światu władać,
Czy skutki wielkiej władzy nad światem wybadać.

Nieraz miasto w podziemną rozpadlinę gruchnie,
Słońce kirem zachodzi, woda płomień buchnie;
Nadarzeń się takowych mnogie żyją świadki —
Przecież ich źródła dociec umie arcy-rzadki.
A na podobnej liczbie jeszcze gorzej zbywa,
Coby, różnego wątek spajając ogniwa,
Potrafili wybadać za rozsądku wodzą,
Jak się z przyczyny wspólnej różne skutki rodzą,
Jak podziemny wypadek morzem zakolata
I niebieskiego sprawi zaburzenie świata.

Z mniejszości postępujemy ustawnie do góry,
Z martwej przejdźmy w krainę żyjącej natury!
Kędy ludzkość jest światem, żywiołami duchy,
Jak śledzić przyczyn, związać następów łańcuchy?
Tu zaćmi nieskończona różność widowiska,
Tu po obcych świadectwach droga myli śliska,
A bóstwo Prawdy, skąpiąc nagiego promienia,
Pełni swojej nie raczy ukazać z pod cienia.
Bo jej trudno dostrzeże, choć kto oczy wlepi;
Od dzieciństwa jesteśmy długo na nią ślepi.

Skoro zacznem przezierać, że nie dosyć bystrze,
Podejmują się obcy nam usłużyć mistrze
I szkła swojej roboty wsadzają na oko,
Przez które widać szerzej i więcej głęboko.
Ale, jaką im barwę dał mistrz wynalazku,
W takim wszystkie przedmioty okazują blasku:
Stąd cudze malowidła, własne wzroku skazy
Omyłką na zewnętrzne przenosim obrazy.
Człowieku, sługo wieczny! Bo nie tylko zmysły,
Ale i sądy twoje od drugich zawisły:
Piersz dziecinna ojcowskie napęlniają czucia,
Gdyś młody, uciskają zwyczajów okucia —
Nieraz myślisz, że zdanie urodziłeś z siebie,
A ono jest wyssane w macierzystym chlebie,
Albo niem nauczyciel poił ucho twoje,
Zawždy część własnej duszy mieszając w napoje.
A tak, gdzie się obrócisz, z każdej wydasz stopy,
Żeś z nad Niemna, żeś Polak, mieszkanięc Europy.

A słońce Prawdy wschodu nie zna i zachodu,
Równie chętnie każdego plemionom narodu,
I dzień lubiące każdej rozszerzać ojczyźnie,
Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliżnie.
Stąd, kto się w przenajświętszych licach jej zacieka,
Musi sobie zostawić czystą treść człowieka,
Zedrzeć wszystko, co obcej winien jest pszysłudze,
Własności okoliczne i posagi cudze.

Ku takim pracom niebo dziejopisa woła.
Odważają się liczni — ale któż wydoła?
Tylko sam, komu rzadkim nadało się cudem
Złączyć natchnienie boskie z ziemianina trudem.
Nad burzę namiętności, interesu sieci,
Z pomroków ducha czasu nad gwiazdy wyleci,
Uważa, skąd dla ludów przyszła ryknie burza,
Albo się pod o'chłanie przeszłości zanurza,
Grzebiąc zapadłe wieków odległych ciemnoty:
Wykonuje z nich prawdy kruszec szczerozłoty.
I elewelu! Rzetelną każdy chlubę wyzna,
Że ciebie takim polska wydała ojczyzna;
Na świętym dziejopisa jaśniejac urządzie,
Wskazujesz nam, co było, co jest i co będzie.

Pierwszy towarzyskiego widzimy obraz stanu
Od łożyska Eufratu po wieże Libanu,
Na równiach, nie dzielonych żadnemi przegrody,
Tam naprzód w wielkie ciało zrosły się narody;
Zaraz na karku onych ciemieży usiedli,
Miasta wałem, a ludy łańcuchem obwiedli.

Owdzie między wysepki i morskie rękawy
Drobny Greczyn urządzał pospolite sprawy,
Ruchem do mirmidońskich podobny zwierzątek,
Od których słusznie mniemał wyciągać początek:
W cudzych osiada miastach, lecz je sam bogaci,
Przychodnim bogom swojskie nadaje postaci;
Dla nieznanych cór nieba pierwszy w jego rodzie
Wystawiono Piękności kościół i Swobodzie.
Tych natchnieniem Helenin gdy piersi zagrzewał,
Walczył, rozprawiał, kochał, nauczał i śpiewał.

Lecz już medańska szabla okraża dokoła —
Bałwanowi wschodniemu świat uchylił czoła;
Trzaskiem samowładnego napędzona biczą,
Wali się od Kaukazu zgraja niewolnicza.
Kserkses ludy podeptał, miasta porozwalał,
Morza flotą zahaczył, lądy tłumem zalał —
Wtem, z malej chmurki greckiej gdy pioruny padną,
Rozprysnęły się tłumy, floty poszły na dno.

Zgubnego Europejczyk umknawszy rozgromu,
Poszedł Azyanina nękać w jego domu,
A na perskie wezglowia upuściwszy skronie.
Drzemał i na bok rzucił ordzewiałe bronie.
Tak swobodnie sennego zabrali w łańcuchy,
Wilcze Romula plemię, italskie pastuchy.
Kłótniwi i przez własne wyuczeni zwady,
Jak gwałtem lub chytrością wyniszczają sąsiady,
Ustawni napastnicy, we chwilach pokoju
Ramiona do nowego krzepili rozboju,
Albo darli się z sobą, wtenczas tylko w zgodzie,
Kiedy społem o cudzej przemyślali szkodzie.
Lecz, skoro zapaśnikom przeciwnych nie stało,
Z otyłości próżniackiej coraz słabnie ciało.
Rzym pastwi się nad światem, a tyran nad Rzymem.
Świat rzymski obumarłym staje się olbrzymem.

Któż w nieżyjących zwłokach nowy duch roznieci?
Wy, ogniste z pod lodów skandynawskich dzieci!
Oto senjor, pełnym odziany kirasem,
Niosąc kopię w toku, różaniec za pasem,
Pobożności oddany, kochance i chwale,
Pod dach gotycki ściąga na ucztę wasale.
Damy wskazują wieńce, bardy w lutnie dzwonią,
Młodzież kopję kruszą albo w pierścień gonia.
Czulsze serce, niż u nas, biło im z pod stali;
Oni najpierwsi z niebios Miłość przywołali
Serdeczną i za dawnych nie cenioną wieków
U duchownych Hebreów i cielesnych Greków —
Oni, kiedy praw słaba chwieje się budowa,
Krzepili ją łańcuchem rycerskiego słowa.
Aby naprawiać krzywdy, piękne zyskać względy,
Ważyli się na puszcze i zamorskie błędy,
Nowe herby z odległych przynosząc turnie
Lub krwią kupując palmę męczeńską w Judei.
Tymczasem na ich zamkach zasiadły opaty,
Ksiądz cisnął się do celi, a mniszka za kraty;
Na wystrzał buli z tronów spadały korony,
Rzym powtórnie ziemię opasał ramiony —
Aż zadały pułkowe orężników władze
Śmierć domowym rozruchom i obcej przewadze.

U ludów, gdzie społeczny gmach na pismach wsparty,
Panów i sług powinność objaśniły karty.
Takie na Albiońskim spisano ostrowie,
I takie Jagiellony dali nam królowie.
Lecz w innostronnych krajach naczelników stopa
Buntujące się panky zniżyła do chłopu.
Hiszpańczyk dalej zrobił: od brzegów Gadesu
Dościągnął aż do światów nieznajomych kresu;
Tam co rok z flotą chodzi, nowe skarby kopie
I żelazami całej pogroził Europie.
Naprzeciw chęciom jego inne pany dążą,
Odcinają się mieczem i przynierza wiążą.
Natenczas sztuka stanu, w tajniach urodzona,
Rozciągnęła szeroko polip: ramiona;
Kto chcesz zyskać lub swoje posiadać bezpiecznie,
Oko miej zawsze czujne, broń dobytą wiecznie!

Stąd wzajemna nieufność, ustawiczne czaty,
Walki, częste nabytki, prędkie i utraty.
Wszystkie ludy i ziemie za swe mając spadki,
Rozdawano, jak przedaź, wiano, albo datki,
Nieprzyjaciółmi często bywali obrońce,
Albo dla okragłości cudze rwali końce.
Taką w całej Europie szły koleją sprawy,
Nim dojrzały w wulkanach nadsekwańskich lawy.
Tam zadawniony ucisk, ponawiane skargi,
Wieczne państwa świętego z doczesnem zatargi,
Wysoki głów myślących, zapaly młodzików,
Duma panów, rozkutyh wściekłość niewolników —
A, jak ziemia, ciężarna sprzeczniemi nasiony,
Z potwornem niegdyś cielskiem rodziła Pytony,
Tak z pomąconych chęci i myśli natłoku
Rewolucyjny Gallów wylałęś się smoku.
Darmo go przemoc złamie i w piasek zagrzebie:
Posiane kły mścicieli odradzają z siebie.
Kłótniwa wschodzi zgraja: w jednych chęć urasta
Platoniczne po ziemi odbudować miasta,
Drudzy skarbcę do nowej znosili budowy,
Żeby z nich potem własne poczynić obłowy.
Gdy przeciwników szyję zgięli albo zsiekli,
Poszli cudzą przelewać, własną krwią ociekli.
Z gminowładnego wzleciał ptak cesarski gniazda
I krwawa legionów zabłysnęła gwiazda,
A choć teraz skruszone olbrzymy zachodnie,
Jeszcze na ziemię krew ich może działać płodnie.

Gdzież jestem, Lelewelu? Jaka chęć uniosła
Opiewać morza, których nie tknęły me wiosła?
Poziomy płazik, orlej nabrawszy ochoty,
Uczone myśleń twoich naśladować loty?
Wyłączaj mię, bo w polskiem dziejopisów kole
Wyniosły jesteś, stanąć mający na czoł!
Ty, co nie dozwoliłeś tylu księgom kłamać,
Z samego kłamstwa prawdę umiejac wyłamać,
Znasz lepiej trudne twojej nauki ogromy,
I słodkości jej fruktów sam lepiej świadomy,
Głosem, którym okrzyki i przyklaski wzniecisz,
Powiedz, jak tam zaszedeś, skąd tak rano świecisz?

Na wierzchy, gdzie parnaska trzyma cię opoka,
Zwabiaj niższych łagodnym twego blaskiem oka.
Nie jedne już zyskałeś z godniejszych rąk wieńce:
Nie gardź tym, jaki wdzięczni składają młodzieńce,
I daruj, jeśli będziem chwalić się po świecie,
Że od Ciebie wzięliśmy na ten wieniec kwiatu.

DO MALARZA.

Stwórco malownych twarzy! Mocnom tobie winny:
Nad stwórcę żywych więcej tyś dla mnie uczynny.
Szczęście, wzięte z mych ramion ukazem wyroku,
Ty na wieki mojemu zapewniłeś oku.
Stąd, chociaż zdawna wszelkim uczeniom się wstrętny,
Twojego chciałbym kunsztu stać się umiętny.
Kiedy Klótniczy trąbią adwokatom w uszy,
Za doktorem biegają trupy z resztą duszy,
Kto szczerzy akadema, hołdownik Minerwie,
Zmudzkich łbów obuczaniem rychło pierś oberwie,
A mędrzec, arcytworów napisawszy wiązkę,
Dym pochwał ma za napój, wawrzyn na zakąskę,
Tobie twarzyczki piękne zawsze są dokoła,
Piękny świat tylko ciebie do posługi woła,
Okiem na jasne tylko kierujesz oczęta,
I dłoń pięknych ciałeczek robieniem zajęta.
Malarzu czarodzieju! Od ciebie pożyczę
Odkradzione od mojej Marji oblicze:
Wiecznie je cisnąć będę na serce uprzejme,
Z liców jej nigdy oczu i myśli nie zdejmę,
Unosząc się nadzieją, że tych rysów władza
Do reszty spsuje rozum, który mi zawadza —
I, jak uczucia moje o niej nie zapomną,
Tak ją wzrok, dłoń i piersi osądzą przytomną.

DO DOKTORA SIEMIASZKI.

PRZEDSIEBIORACEGO PODRÓŻ NAUKOWĄ DO AZJI,
W PRZEDMIOCIE HISTORJI NATURALNEJ.

Kapłanie Eskulapa, w pogaństwo zagnany!
Szerząc cześć twego bóstwa między Azyany,
Gdy cudzoziemcom zdrowie niesiesz w upominek,
Porzucasz chorujące serduszka Litwinek.

Sam nie umrzesz z tęsknoty, bo i w obcym niebie,
W wodach, w ziemiach, znajomi powitają ciebie.
Sporzyj na tłum, co wietrzne kraje rozwesela:
Jak król, najdrobniejszego znasz obywatela
Wiesz, swojska-li ptaszyna, czy ziem dzikich córa,
Ile wiosen przelata i gdzie złoży pióra.

Morze, straszące samym widokiem swych głębi,
Badawczego zapалу w tobie nie wyziębi;
Znijdziesz pod zwierciadlaną rozeznować tonią
Roślinki, hodowane Amfitryty dłonią,
Których postać znikoma, jak senne marzenia,
I kolory zmienniejsze od tęczy promienia.
Tam jest gwiazda, co tylko dnom podmorskim świta,
I latarnia, przy której dumał Stagiryta,
I łódź, wiosłem żyjącem morskie tnąca szyby,
I pałasse, któremi walczą wieloryby,

Godna zazdrości podróż! Ale tam pielgrzyma
Zewsząd śmierć liczna, łatwa i niesławna ima.
Dalszych rybiego państwa nie badajmy ciemnic,
Dosyć jest dla rozumu lądowych tajemnic.
Za twem skinieniem, władco cudotwornej laski,
Trysną źródłem nauki astrachańskie piaski.
Każemy pękać górą, znidziem w ich ciemnotę,
Zwazać w kuźni natury klejnotów robotę.
Ja, bogactw nie łakomy, cenię wynalazki,
W których wielkie pamiątki, choć pomniejsze blaski:
Odszedłbym od brylanty rodzącego szystu
Do geodów, zamkniętych na klucz z ametystu.

Wiesz ich początek? — Między edeńskimi drzewy,
Kiedy nasz ojciec pierwszy raz westchnął do Ewy,
Ziemia to pierwotne miłości westchnienie
Złowiła i w kosztowne zawarła kamienie.
Te prawdy, po hebrajsku zapisane w skałę,
W tajnych archiwach ziemi leżą skamieniałe.
Od Humboldta weź klucze na te alfabety
I stań się biografem naszego planety!
Niech cię nie trwoży żmudne latopismo świata:
Z warstw ziemi, jak ze zmarszczków, policzysz jej lata,
A gdzie w czasach i czynach zdarzy się zagadka,
Poradzisz się mamuta, naocznego świadka:

Zbudzisz na skamieniałym uśpionego cedrze —
W imię Bojana wstanie i paszczę rozedrze,
Ze snów czterdziestowiecznych ten przeszłości goniec
Przetrze oczy, obwieści swój żywot i koniec.
Wieść nowa, jako cudo, a jako świat stara,
Prawdziwa, jak rachunek, i dziwna, jak mara.

Żegnam cię! Idź, w przeszłości załóż twe dziedzictwa,
Przypomnij matce ziemi czasy jej dziewictwa!
Mnie, poecie, już zamiar opanował nowy:
Ja o przyszłości z niebem wdałem się w rozmowy.
Astrologicznem okiem wyczytałem z gwiazdy
I bliski i radosny koniec naszej jazdy.
Znowu czoło z podróży orzeźwiwszy znojów,
W stary tokaj niemeńskiej przymieszany zdrojów.
Tego królem badaczów ogłosi biesiada,
Czyje oko najpierwej dno kielicha zbada,
Gdy wszystkich nieprzyjaciół rozumu i cnoty,
Pomiędzy zaginione wliczywszy istoty,
I będziem o rozjeździe, co nas dziś rozżali,
Jak o przedpotowych dziejach, wspominali.

NA POKÓJ GRECKI

W DOMU KSIĘŻNEJ ZENEJDY WOŁKOŃSKIEJ, W MOSKWIE.

Skrós ciemnoty wiedziony jej gwiaździstym wzrokiem,
Goniąc białą jej szatę po szybach hebanu,
Wszedłem. — Czy to kraina za Lety potokiem,
Czy miast wielka mumja, zwłoki Herkulanu?
Nie! Tu cały świat dawny, na Piękności słowo.
Odbudował się, chociaż nie ożył na nowo!
Z mozaiki świat cały: każdy jego szczątek
Jest odłamem dzieł sztuki, wielkości pamiątek.

Tu kamienia podróżna nie śmie trącić noga,
Z kamienia płaskorzeźbą wygląda twarz boga;
Gniewny, zda się swojego pohańbienia wstydić,
Depcących dawną wiarę ludzi nienawidzić,
I na powrót w marmuru ukrywa się łonie,
Skąd przed wieki snycerskie wyzwały go dłonie.

Wkoło pędzłem i dłutem strojne sarkofagi,
Co miały proch królewski bronić od zniewagi,
Dziś, same na proch lecąc, potrzebują trumny.
Gdźnieniedzie ścięta głowa nieznanej kolumny,
Skaleczona, odarta, podeptana w pyle,
Wala się, jako trupia czaszka na mogile.

Tam od starości ledwie na nogach się trzyma
Obelisek, przychodziń z kraju Mizraima:
Widzisz na nim te rysy dziwacznej osnowy,
Te pisma zatraconej dawnych sfinksów mowy?
To hieroglif! Pod jego zasłoną leżąca
Myśl głęboka w letargu śpi od lat tysiąca:
Jak mumja, zamknięta w balsamiczne łożo,
Cała, nieskazitelna — zmartwychwstać nie może!

Nie tylko sztuki twoje, znikomy człowieku,
Lecz martwą pierś żywiołów przetrawia zań wieku!
Patrz na ów kamień drogi, zaniedbany w piasku:
Niegdyś był cudnej barwy, słonecznego blasku;
Ileż wieków przeświecił, aż, wylawszy z łona
Całą jasność, zamierchnął, jak gwiazda zgaszona.

Śród gruzów jeden cały stał ołtarz Saturna,
Tam jedna ryta z bronzu korynckiego urna.
W łonie jej zwolna płomyk przebudza się blady:
Czy to zmartwychwstającej genjusz Hellady?
Wzniósł głowę, błysnął okiem i, na skrzydłach tęczy
Podlatując — raz jeszcze promieniami wieńczy
Skronie bogów, niebianek, drzemiących wokoło,
I nimfy przewodniczki najpiękniejsze czoło.

O, niech te wszystkie bóstwa nad pamiętek ziemią
Wiecznie snem marmurowym i brązowym drzemią!
Ciebie tylko niech piękna przewodniczka zbudzi.
Najmniejszy z bogów, dotąd uczczony od ludzi!
Swawolniku! — Uciekłszy z Afrodyty łona,
Drzemiesz, ssąc rubinowe piersi winogrona.

Wielki grzech bez ofiary minąć bóstwo twoje!
O piękna Nimfo! Bądźmy nabożni oboje!
Niestety — przewodniczka chłodnym rzutem oka,
Jak laską Merkurego, uderza z wysoka
I duszę ma, lecącą w rozkoszy kraj błogi,
Wypędza bez litości za nadziei progi!...

Cóż opowiem wrócony do śmiertelnych kraju?...
Ach, opowiem, że byłem w pół drogi do raj!u!
Z duszą napół tęskną, napół radośną,
Słyszałem już tę rajska rozmowę, wpółgłośną,
I widziałem te rajske półświatła, półcienia,
I doznałem — niestety, tylko pół zbawienia!...
Moskwa, roku 1827.

G O D Z I N A.

ELEGJA.

Przed godziną żrenicy nie zdjawszy z zegarów,
Chciałaś naglić oczyma skazówek pochopy,
I słuchem natężonym pośród miejskich gwarów
Rozpoznawałaś zdała łoskot mojej stopy;
Dzień miał jedną godzinę, w której — wspomnieć miło,
Że nie u mnie jednego serce żywiej biło.
Ja, w tę godzinę wieczną wpleciony katuszą,
Jak Iksyon, w koło niej krążyłem z mą duszą.
Nim nadeszła, dzień cały ja na nią czekałem —
Gdy minęła, dzień cały o niej rozmyślałem,
Bawiąc się mnóstwem drobnych, lecz miłych, pamiątek:
Jakie było przyjęcie, rozmowy początek,
Jak się czasem przykre mu dało wymknąć słowu,
Po niem niezgoda, po niej milsza zgoda znowu...
Smuciłem się — ty z oczu powody wysłedzasz;
Przychodziłem z prośbami — ty jedne uprzedzasz,
Drugich wymówić nie dasz; na jutro odkładam,
I znowu jutro nie śmiem; czasem gniewny wpadam —
Rozbrajasz mnie uśmiechem; a gdy w gniewie przebrał,
Gniewałaś się — jam znowu przebaczenia żebrał...
Ach, każde słowo twoje, wszystkie twe spojrzenia,
Pieszczoty, i nadzieje, i wspólne cierpienia,
Wszystko to pamięć, wiernie malowane, trzyma...
Przeprowadzam ten obraz przed duszy oczyma,
Jak sknera, gdy mu skarbiec udało się schwycić:
Patrzy, i schnie, i oczu nie może nasycić.

Tą godziną jam przeszłość z mą przyszłością łączył,
Od niej milsze dni zaczął i na niej zakończył;
Ona, w zbrukanem paśmie mojego żywota,
Zabłysnęła mi, jedna, jedna nitka złota —

Jam się do niej, jak prządek skrzydlaty, uczepił,
Snuł ją wkoło i w niej się na wieki zasklepił.

Słońce wbiegło w tę samą nieba okolicę —
Godzina uderzyła! Gdzież są jej źrenice?
Gdzie myśli? — Ona teraz w czulej pleści dłoni
Cudzą rękę — niewierna! — i do cudzej skroni
Usta ciśnie — i łza jej na cudzą twarz spada,
I serce biciom cudzej piersi odpowiada...
Dziś możeby tej nowej pary nie rozdzielił
Piorun, któryby we mnie przed progiem wystrzelił!

Samotności wzgardzona! O tejże godzinie
Niegdyś cię porzuciłem. wracam w twą świątynię,
Jak do piastunki dziecię ze łzami powróci,
Obłąkane na chwilę ponętą łakoci.
Daruj! Ponęta szczęścia zawždy nazbyt silna;
Zbyt trudno się przekonać, że zawždy omylna.
Może jeszcze ten ogień niegodny zatłumię,
Wszak jest nadzieja w czasie i milczącej dumie.

Lecz nadzieje dalekie! Dziś pogoda nęci
W polach, w niebie, na falach szukać niepamięci.
Czas przechadzki — dlaczegoż me odejście zwlekam?
Za każdym drzwii ruszeniem jej posłańca czekam,
Niekiedy rąk jej zdradne charaktery czytam,
Niekiedy mój zegarek bez potrzeby chwytam.
Raz porwałem się z miejsca, stanąłem u progu:
Ach, była to godzina dawna! — Moc nałogu...

Jak ten, co mu śmierć lubą wydarła osobę,
Mimo dotkliwą boleść i długą żalobę,
Zabłąkawszy się w myślach — niestety, błąd luby! —
Na chwilę, mgnienie oka, zapomni swej zguby,
Bieży i tak się mocno złudzeniem omami,
Że już progi przestąpił — i zalał się łzami

DO D... D...

ELEGJA.

Gdybyś ty na dzień jeden była w mojej duszy...
Na dzień cały?... Nie, takiej nie życzę katuszy!
Gdyby godzinę tylko, szczęśliwe stworzenie —
Poznałabyś natenczas, co to jest cierpienie!

Myśli me na torturach, w uczuciach mych burza:
To mi gniew serce miota i czoło zachmurza,
To mię smutek w ponure zadumanie wtrąca,
To nagle oczy zaćmi żalu łza gorąca.
Ty albo od mych gniewów uciekasz ze wstrętem,
Albo lękasz się nudy z żałosnym natrętem...

Ty mię nie znasz! Namiętność zaćmiła me lice:
Ale spojrzuj w głąb duszy! Tam znajdziesz skrabnice
Czułości, poświęcenia, łagodnej dobroci
I wyobraźni, która ziemską dolę złoci.
Dziś ich nie możesz dojrzeć... Wszak i na dnie fali,
Kiedy ją wichher zmiesza, kiedy piorun pali,
Czyż widać kraśne konchy, perłowe jagody?...
Nim mię osądzisz, czekaj słońca i pogody!
O, gdybym zyskał pewność, że jestem kochany,
Gdybym z serca na chwilę wygnał bojaźń zmiany,
Którą mię straszy nieraz doświadczana zdrada!
O, niech będę szczęśliwym, będziesz ze mnie rada!

Jak duch, przez dzielnej wróżki zaklęty wyrazy,
Żyłbym twoje wypełniać, zgadywać rozkazy;
A jeżeliby czasem duma rozdaśana
Kazała poddanemu udać humor pana —
Śmieć się, luba! Choć duma przyznać się zabrania,
Sługą będę; cóż miałbym do rozkazywania?
Abyś raczyła chwilę dłużej ze mną bawić,
Podług mej woli suknię i włosy poprawić,
Abyś drobnych zatrudnień odbiegła domowych
Słuchać starych oświadczeń i piosenek nowych —
Wszystkobyś wielkimi dokazała trudy,
Godziną cierpliwości, pół-godziną nudy,
Albo chwilką udania. Kiedy będę mniemać,
Że słuchasz rymów moich, ty mogłabyś drzeć;
Choć oczy twoje będą co innego znaczyć,
Ja chcę w nich dobro czytać, na lepsze tłómaczyć.
W twe ręce powierzysz moją przyszłą dolę,
Na twem złożyłbym łonie mój rozum i wolę;
Pamiętki nawet serce głęboko zagrzebie,
Aby nigdy nic nie czuć oddzielnie od ciebie.
Wtenczasby dziki zapęd, co mną dotąd miota,
Wypadł z duszy, jak z łodzi miotanej niecnota,

Który burze sprowadza i bałwany pieni.
Płynęlibyśmy cicho po życia przestrzeni —
Chociażby los groźnemi falami powiewał,
Jak syrena-bym nad nie wzbijał się i śpiewał.

POPAS W UPICIE.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE).

Upita, niegdyś miasto, powiatu stolica,
Dzisiaj miasteczko liche; jedna w niem kaplica
I kilkanaście chatek żydowskiej siedziby:
Gdzie były ludne rynki, dziś tam rosną grzyby;
Wzgórek, obronny wałem i zwodzonym mostem,
Teraz broni się tylko pokrzywą i ostem —
Mury w gruzach; na miejscu zamkowego gmachu
Sterczy nędzna karczemka bez okien i dachu.

Tam, na popasie, z nudy rozważać począłem
Miny i mowy ludzi, siedzących za stołem.
Trzech było. Pierwszy starzec z posrebrzanym włosom:
Na łbie konfederatka rzucona ukosem,
Wąs augustowski — żupan, dzisiaj popielaty,
Trudno odgadnąć, jaką miał barwę przed laty;
U pasa karabela. Obok siedział młody
We fraku z samodziąłu, krojem nowej mody.
Fryzował sobie czubek, kołnierzyk, a czasem
Bawił się z pływającym u buta kutasem,
Lub żartował z sąsiada, którego płaszcz długi
I krzyż czerwony znakiem kościelnego sługi.
Czwarty był żydek. Temu człowiek od pałasza
Tak mówił: „Hejno! Dobra nasza bez marjasza!
Poco trupami w szabas arendarzów trwożyć?
Słuchajcie, kumy! Gotów z wami się założyć,
Że, jak tylko Siciński na cmentarz odjedzie,
Dostaniem garniec miodu. Nieprawdaż, sąsiedzie?“
Arendarz kiwnął brodą. Słuchałem ciekawy:
Siciński — i w Upicie? Imię strasznej sławy!
„O jakim trupie — rzekłem — toczycie rozmowy
I o jakim Sicińskim?“ Na to kontuszowy.
„O Sicińskim? Z początku całą rzecz wywiode.
Na miejscu, gdzie żydowską widzimy gospodę,

Był zamek nieboszczyka; przytem imion wiele,
Konneksje potężne, mnogie klientele,
A stąd ćma popleczników i kresek bez liku:
Siciński był dyktator na każdym sejmiku!
Starszych i zasłużeńszych *patricios* zhasał —
Ale niedosyć na tem: na wyższe się kasał.
Poczęła też kłuć w oczy zbyt rogata duma,
Przyszedł sejmik poselski — nauczono kuma;
Bo, gdy, pewny wyboru, posłem się ogłasza,
Kiedy dziękuje szlachcie, na obiady sprasza,
I gdy się na Mazowsze wybiera do drogi —
Liczą *turnum*: Siciński padł na cztery nogi!
Agitatus furis et impotens irae,
Umyślił zgubić szlachtę. *O scelus! O dirae!*
Daje obiad. Zwiedziona zbiera się drużyna:
Gnie się stół pod misami, cieką strugi wina,
Łyka *plebs*; wtem blekotem zaprawione męty
Durzą głowę: z wesela niechęci i wstręty —
Dalej kłótnia, hałasy, istna wieża Babel.
Od zębów szło do kijów, od kijów do szabel:
Nie patrząc oka, boku, mordując, jak wściekli,
Tros Rutulusve fuat, wszyscy się wysiekli.
Lecz truciznik niedługo wygraną się chwalił,
Bo go piorun z rodzeństwem i mieszkaniem spalił —
Jak ów *Ajax, scopulo infixus acuto,*
Expirans flammis! Straszna, lecz słuszna pokuto!“ —
„Amen!“ rzekł dziad kościelny. Ekonom we fraku
Porównywał tę powieść do zboża w przetaku
I, chcąc z bajecznej plewy prawdę wywiać naga,
Harfował żarcikami, zakończył uwagą,
Że pan marszałek, z którym on do stołu siada
I u którego książek niezmierna gromada,
Ileć o Sicińskim wspomni, zawždy mówi:
„On zgubił nas, on ręce zawiązał królowi“.

Z tych słów marszałka głowa ekonomiczna wniosła,
Że nie szło tam o sejmik, ani wybór posła:
Że musiała być wojna. Przeciw komu? Kiedy?
Trudno zgadnąć; zapewne z Turki albo Szwedy;
Pewno Siciński króla do Upity zwabił,
Oddał w ręce najeźdźcom i ojczyznę zabił.

Chciał dalej rzecz prowadzić, lecz sługa kościoła,
Zezem nań spozierając: „Niedobrze — zawoła —
Jeśli księdza plebana chcą uczyć dzwonniki,
Jeżeli przed siwymi biorą głos młodziki!
Ja wam opowiem, jako najlepiej świadomy:
Nie sejmik ani wojna ściąga niebios gromy,
Lecz bezbożność. Siciński, wyrzekłszy się wiary,
Zabrał, jak mówią, grunta, należne do fary,
Nie chciał płacić dziesięcin, nie bywał w kościele,
Pędził chłopów do pracy w święta i niedziele;
Chociaż mu nieraz biskup listami zagrażał,
Choć go wyklął z ambony — Siciński nie zważał.
W święto Bożego Ciała, pod samo południe,
Gdy msza była w kaplicy, kazał kopać studnię.
Dokopał się swej zguby i powszechnej szkody,
Bo z owej studni tyle wybuchnęło wody,
Że pola, kędy niegdyś bujały pszenice,
Zarosły w paproć, łąki poszły w trzęsawice.
Sicińskiego, jak słusznie pan sędzia namienił,
Piorun zabił, dom spalił, potomstwo wypenił,
Trup, klątwą uderzony, dotąd cały stoi:
Ziemia go przyjąć nie chce, robactwo się boi.
Nie znalazłszy na ziemi święconej spoczynku,
Strasząc ludzi, rzec można, wala się po rynku,
Bo go nieraz dziad jaki, uniósłszy z cmentarza,
Wlecze w szabas do karczmy straszyc arendarza”.
Skończył i drzwi stodoły odemknął. Tam stało
Szkaradne, starożytne nieboszczyka ciało.
Nogi długie i czarne sterczą mu, jak szczudła,
Ręce na krzyż złamane, twarz głęboko wchudła.
Oblicze wywędzone brud śmiertelny szpeci;
Usta wypsute, przez nie zęb gdzieś w niebieci —
Zresztą nietknięta ciała zdrowego budowa
Postać ludzką, od żywej niezbyt różną, chowa;
Twarz nawet właściwego nie traci wyrazu,
A, jako na powierzchni starego obrazu,
Jeżeli mogły rysy pierwiastkowe zostać,
W tych resztach jeszcze dawna przebija się postać —
Tak owa twarz: choć ogniem żywotnym nie płonie,
Lecz, kto ją znał za życia, poznałby po zgonie.
Za pierwszym rzutem oka coś takiego widać,
Czego żadnymi słowy niepodobna wydać.

Dzikość, szpecąca żywych oblicze zbrodniarzy,
Zda się dotąd, zamarła, grozić z jego twarzy;
Dotąd zdradziecka radość w ustach się uśmiecha,
Gniew rozbójniczy w czole, nade brwiami pycha.
Barki na dół pochylił, głową na pierś zwisnął,
Zda się, że ciężar hańby do ziemi go cisnął,
Albo że ręka gwałtu z piekieł go wywlekła,
I znowu radby gwałtem powracać do piekła.

Jeżeli jama, w której łotrowie mieszkali,
Chociaż ją ludzie skruszą lub piorun rozwali,
Dzikością swych położeń i krwawym ogromem
W gruzach daje odgadnąć, czym była domem —
Gdy węża po zrzuconej rozpoznasz skorupie —
Poznałbym Sicińskiego żywot po tym trupie.

„O towarzysze! — rzekłem, — pociście nie zgodni?
On był nie jednej winien, ale wszystkich zbrodni;
Jego trucizną naród zdurzony oszalał,
On królom ręce związał, kraj klęskami zalał!”

A pomyślałem w duszy: Cóż są gminne dzieje?
Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy tleje;
Hieroglif, mchem zarosłe zdobiający kamienie;
Napis, którym spowite usnęło znaczenie;
Odgłos sławy, wiejący przez lat oceany,
Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
Godzien śmiechu uczonych; lecz, nim się zaśmieje,
Niechaj powie uczony, czem są wszystkie dzieje?

Odessa, roku 1825.

DUMANIA W DZIEŃ ODJAZDU.

1825, 29 października, Odessa.

Skąd mi tu żal niewczesny? — Staję u podwojów —
Raz jeszcze do samotnych wracam się pokojów,
Jakbym czegoś zapomniał — wzrok mój obłąkany
Jeszcze wraca się żegnać przyjacielskie ściany.
One wśród tylu ranków, wśród nocy tak wielu
Z cierpliwością słuchały mych westchnień bez celu.
Przy tem oknie częstokroć wieczór przesiedziałem,
Wyglądając, nie wiedząc, czego wyglądałem.

Wstałem, gdy mię znudziła tosamność widoków,
Budząc echa łoskotem mych samotnych kroków;
Znowu ode drzwi ku drzwiom błędę bez zamiaru,
Liczę takt w takt żelazne stąpania zegaru,
Lub robaczka, co kędyś lekkimi przestanki
Kołace cicho, jakby do drzwi swej kochanki.
Bliski ranek... Czekają woźnice natręty.
Bierzcie te kilka książek i te drobne sprzęty
Jedźmy! Jak, nie witany, przestąpiłem progi,
Tak odjeżdżam: nikt dobrej nie życzy mi drogi.

Cóż, choć miasto porzucę? Choćby z oczu znikli
Mieszkańce, którzy do mnie sercem nie przywykli?
Mój wyjazd nie okryje nikogo żalobą,
I ja nie chcę łązy jednej zostawić za sobą.
Jak po błoni, kwitnącem kolorami tęczy,
Przelatuje samotnie mdły kwiatek pajęczy,
Zdmuchniony gdzieś daleko z uwiedłej gałęzi,
Chociaż napotka różę i w majowej więzi,
Pragnąc odpocząć, martwą zapłacze się dłonią,
Znowu go wichry zedrą i dalej pogonią —
Tak ja nieznane imię, cudzoziemskie lice
Nosilem przez te ludne place i ulice,
Chcą mnie poznać. — Dlaczego? — Że jestem przychodzień!
I roje pięknych niewiast spotykałem codzień.
Dziatwa pędzi motyla, póki zdala świeci:
Złowi, pojrzy i ciska — niechaj dalej leci!
Lećmy! Szczęściem, zostały pióra do powrotu...
Lećmy i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu!

Pamiętam, kiedy, młody, z lubej okolicy,
Od przyjaciół kochanych, od mojej dziewicy
Jechałem i patrzyłem i pomiędzy drzewy
Słyszałem głosy, chustek widziałem powiewy —
Płakałem. — Miło płakać, póki wiek namiętny...
Za cóż mam dzisiaj płakać, starzec obojętny?
Młodemu lekko umrzeć. On, nie znając świata,
Myśli żyć w sercu żony, przyjaciela, brata —
Ale starzec, co życie zdjął szatę obludy,
Nie wierzący w nadludzkie ani ludzkie cudy,
Zna, że całkiem, na wieki zamyka się w grobie...
Dlatego smutno, cudze miasto, mi po tobie!

Wsiadajmy! Nikt na drodze trumny nie zatrzyma,
Nikt jej nie przeprowadzi, chociażby oczyma,
I, wracając do domu, lica łzą nie zrosi
Na odgłos dzwonka pocztu, co me zejście głosi.

MAZUR.

URYWEK.

Na sali w dłoń kłaśnięto. Już muzyk uśpiony
Przeciera swoje oczy i naciąga struny,
Stroi lekko i smyczkiem pociąga po basie,
Palcem szybko dotyka, a ton w pełnej krasie
Z martwego instrumentu płynie, jakby żywy,
To silniej, to znów słabiej, to ciszej, to ckliwiej;
Za smyczkiem słychać oddech trąby silny, krótki,
I flecik i klarnecik i kornet i dudki.
Wszystko to jedną nutę z siebie wydobywa
I harmonijnym głosem w sali się rozplywa.
Trzy czwarte taktu słychać ostro i wesoło,
A nie melancholijnie, jak w tańcu, co wkoło
Wirować wciążby trzeba, na wzór biegu ziemi.
To wcale inny taniec... grupami różnemi
Się składa, a muzyka nasza narodowa
Tnie mazura polskiego z okolic Krakowa.
To też, skoro posłyszał tancerz to wezwanie,
Wstaje spieszenie i prosi do mazura panie.
Wstaje par osiemdziesiąt dokoła komnaty,
Tworząc szereg, przybrany w różnobarwne szaty.
Panowie, niby żołnierz, czarno postrojeni:
Czasem wdzięcznie na fraku róża się czerwieni,
I tylko wzrost, łysina, albo długa broda
Jakąś bliższą różnicę między nimi poda.
Panie strojne inaczej. Jednej ubior biały
Rozwiera się i świeci, jak lodu kryształy —
Często tenże ozdobny w różnobarwne kwiecie,
Lub czasem piękna wstęga suknię tą przeplecie,
To znów żółte sukienki, błękitne, zielone,
W różny sposób ujęte i modnie zdobione
Kwieciem i atłasem; u wszystkich ogony
Tarzają się po ziemi, wloką w różne strony
I na posadzce śliskiej dziwne koła znaczą,
Których nawet uczeni nam nie wytłómaczą.

Jeszcze muzyk zaspany nadstawia wciąż ucha
I kręci kołki basów i brzęka i słucha,
Kiedy naraz dyrektor wstaje, pałką trąca,
I płynie naraz zewsząd melodia pałaca.

Wszystko się naraz rusza: hołupiec ochoczy —
Wtem z bocznych komnat nowa para wnet wyskoczy.
Stanęli wszyscy, patrzą. Piękna pani młoda,
Na twarzy wiosna świeża — cud istny — uroda.
Jasno różowa suknia jej kibić okrywa,
Po której dookoła piękny wieniec spływa —
Włos spuszczone na ramię w długich puklach spada,
Niby fala stoczysta. A panienka rada,
Twarzyczka tak rumiana. wdzięku w niej jest tyle,
Że trudno go określić przez tę krótką chwilę. ‘
A oko jej, jak prorok, pełne przepowiedni...
Zazdrościli młodemu tej panny nie jedni!
A młody ją dzierzał...

Biegnie tam par wiele.
On z nią sam, jak wódz z armją, sam tańczy na czele:
Wszyscy biegną za nim w lewo, to w prawo,
To znowu w inną stronę gdzieś skręcają żwawo.
Wreszcie on, jak strategik, wstrzymuje dłoń damie,
A ona niespodzianie pada mu na ramię!
To hołupiec... Złapane dziewczę mieni się, jak tęcza,
A pan jej słówka szepcze, przyrzeka, zaręcza;
Pierś na piersi spoczęła...

Ta pierś serce skrywa,
A tętno serca szepcze: „Ty będziesz szczęśliwa“.

DRZEWO.

URYWEK.

I z drzewa wysłużyło już zostać robakiem:
Już świeci się po wierzchu liściem niejednakiem,
Barwistą wróżbą liszki, wierzchołki, jak różki,
Bodzie w górę i liśćmi przebiera, jak nóżki,
Gdy wiatr wionie, że nie wiesz, czy dziecko w kolebce
Czy gąsienica, szybko mącąca nogami.
Wysłuchać w szum wód głuchy, zimny i jednaki
I przez fale rozemnać myśl wód, jak przez znaki,

Dać się unosić wiatrom, nie wiedzieć gdzie lotnym,
 I zliczyć każdy dźwięk w ich ruchu kołowrotnym,
 Wnurzyć się w łono rzeki z rybami,
 Ich okiem niewzruszonym jak gwiazda,
 Nie wyczytasz

RECE, ZA LUD WALCZĄCE...

Rece, za lud walczące, sam lud poobcina;
 Imion, miłych ludowi — lud pozapomina...
 Wszystko przejdzie! Po huk, po szumie, po trudzie
 Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie.

WIDZENIE.

URYWEK.

Dźwięk mię uderzył... Nagle moje ciało,
 Jak ów kwiat polny, otoczony puchem,
 Pryśło, zerwane aniola podmuchem,
 I ziarno duszy nagle pozostało...
 I zdało mi się, że się nagle zbudził
 Ze snu strasznego, co mnie długo trudził —
 I, jak zbudzony ociera pot z czoła,
 Tak ocierałem moje przysze czyny,
 Które wisiały przy mnie, jak łupiny
 Wokoło świeżo rozkwitłego zioła.
 Ziemia i cały świat, co mię otaczał,
 — Gdzie dawniej dla mnie tyle było ciemnic.
 Tyle zagadek i tyle tajemnic,
 I nad którymi jam dawniej rozpaczał —
 Już w nim ujrzałem wszystko w głębi, na dnie,
 Jak w ciemnej wodzie, na którą blask padnie.
 Teraz widziałem całe wielkie morze,
 Płynące z środka, jak ze źródła, z Boga,
 A w niem rozlana była światłość błoga.
 I mogłem latać po całym przestworze,
 Biegać, jak promień, przy boskim promieniu
 Mądrości Bożej — i w dziwnym widzeniu
 I światłem byłem i żrenicą razem.
 I w pierwszym, jednym rozlałem się błysku
 Nad przyrodzenia całego obrazem:

W każdy punkt moje rzuciłem promienie,
A w środku siebie, jakoby w ognisku,
Czułem od razu całe Przyrodzenie.
Stałem się osią w nieskończonem kole —
Sam nieruchomy, czułem jego ruchy;
Byłem w pierwotnych żywiołów żywiole,
W miejscu, skąd wszystkie rozchodzą się duchy,
Świat ruszające, same nieruchome,
Jako promienie, co ze środka słońca
Leją potoki blasku i gorąca,
A słońce w środku stoi niewidome.
I byłem razem na okręgu koła,
Które się wiecznie rozszerza bez końca
I nigdy bóstwa ogarnąć nie zdoła —
I dusza moja, krąg napelniająca,
Czułem, że wiecznie będzie się rozżarzać,
I wiecznie będzie ognia jej przybywać,
Będzie się wiecznie rozwijać, rozpywać,
Rosnąć, rozjaśniać, rozlewać się, stwarzać,
I coraz mocniej kochać swe stworzenie
I tem powiększać coraz swe zbawienie.

Przeszedłem ludzkie ciała, jak przebiega
Promień przez wodę, ale nie przylega
Do żadnej kropli: wszystkie na wskroś zmaca,
I wiecznie czysty przybywa i wraca —
I uczy wodę, skąd się światło leje,
I słońcu mówi, co się w wodzie dzieje...

Stały otworem ludzkich serc podwoje:
Patrzyłem w czaszki, jak alchemik w słoje.
Widziałem, jakie człek żądze zapalał,
Jakie i kiedy sobie myśli nalał,
Jakie lekarstwa, jakie trucizn wary
Gotował skrycie. A dokoła stali
Duchowie czarni, aniołowie biali,
Nieprzyjaciele i obrońce duszni,
Skrzydłami studząc albo niecąc żary,
Śmiejąc się, płacząc — a zawsze posłuszni
Temu, którego trzymali w objęciu,
Jak jest posłuszna piastunka dziecięciu,

Które jej ojciec, pan wielki, poruczy,
Choć ta na dobre, a ta na złe uczy.

.
.
.

ŚNIŁA SIĘ ZIMA...

Miałem sen w Dreźnie 1832 r., marca 23,
który ciemny i dla mnie niezrozumiały.
Wstawszy, zapisałem go wierszem. Te-
raz, w r. 1840, przepisuję dla pamięci.

Śniła się zima — ja biegłem w szeregu,
Za procesją, pod niebem, po śniegu.
Nie wiem, skąd wiemy, że na brzeg Jordanu
Idziem, i w górze odgłos: „Chwała Panu,
Pokój trzem królom! Ludy, do Jordanu!“
Ludzie obok mnie szli dwoma rzędami,
Kobiety, starce i dzieci parami;
W bieli ubrani ci, co z prawej strony —
Ci, co na lewo, w żałobne opony,
Szli ze świecami, w dół obróconemi;
Świece gorzały płomieniem do ziemi,
Jak złote strzały.
A ci bez światła szli, co po prawicy:
Każdy z nich w rękę niósł kwiat zamiast świecy.
Spojrzałem w twarze: są i mnie znajome;
Zląkłem się: — wszystkie, jak głąz nieruchome.
Wtem jedna osoba wyszła z prawej strony:
Kobieta świeci okiem przez zasłony —
Stała przy mnie; wtem wybiegł chłopczyzna
I o jałmużnę dla ojca zaklina.
Dałem grosz, ona dała tyle dwoje.
Znowu sześć dałem, ona znów we dwoje.
Zbiegli się widze — po złoto sięgamy:
Kto z nas da więcej? Dajemy, szukamy --
Wstyd nam! Już wszystko daliśmy, co mamy.
Lud łajał chłopcu: „Oddaj im! Żartują!“
„Oddam — rzekł chłopiec — jeżeli żałują.“
Lecz nazad przyjąć już mi się nie chciało.
Postać mnie ręką przeżegnała białą --
Wtem weszło słońce. Lato — śnieg nie spłynął.
Lecz, jak ptak biały, dwa skrzydła rozwinął

I, skacząc, leciał; niebo się odkryło,
I wkoło ciepło i błękitno było!
Uczulem zapach Włoch, róż i jaśminu —
Różą pachnęły góry Palatynu.

Ujrzałem Ewę,
Jaką widziałem na Albańskiej górze:
W białej sukience i ubraną w różę,
Motyle wkoło — ona między niemi
Zdała się wznosić i nie tykać ziemi.
Twarz piękna, jako Przemienienie Pańskie.
Wzrok utopiła w jezioro Albańskie —
Ciekawie patrzy, nie ruszy powieki,
Jakby w tej głębi modrej i dalekiej
Odbite swoje oblicze widziała
I przed jeziorem różę poprawiała.
Chciałem przywitać, lecz siły nie miałem,
Z gwałtownej chęci: mówić — oniemiałem;
Lecz rozkosz moja, ach, ta rozkosz senna —
Któż ją opowie? — Mocniejsza, niż dzienna,
Łżejsza i miłsza. Jawa ma żar słońca,
A sen łagodność i ciszę miesiąca.
Za ręce wreszcie, jak siostrę ująłem —
Spojrzała ku mnie okiem niewesołem.
„O siostrze moja! Patrząc w to twe oko,
Czuję me szczęście tak dziwnie głęboko,
Że mi się zdaje, że jestem w kościele“.
Ona mi rzekła z uśmiechem dziecięcia:
„Rodzice moi chcą mnie z innym swatać,
Lecz ja, jaskółka, chcę daleko latać;
Mam skrzydła dobre, patrz, jaki ptak ze mnie!
Lecę popłukać pióra moje w Niemnie.
Wiem ja o twoich wszystkich przyjaciółach:
Znajdę ich — leżą w grobach, po kościołach.
Muszę i w lasy, w jeziora przepadać
I drzew popytać i z ziołkami gadać;
One o tobie dziwne rzeczy wiedzą:
Wszystko, gdzieś chodził, coś robił, powiedzą“.
Słuchałem — i mnie nie zdała się ciemna
Jej mowa, choć tak dziwna i tajemna —
I mnie się zdało, że sam lecieć mogę,
I prosiłem ją, by mnie wzięła w drogę.

Żłakłem się tylko, że chce na doliny
Iść pytać o mnie drzewa i krzewiny —
I przypomniałem nagle wszystkie błędy,
Chwile pustoty, szaleństwa zapędy —
I czułem serce tak mocno rozdarte,
Tak jej, i szczęścia, i nieba niewarte...
Wtem obaczyłem jaskółkę: z powrotem
Już leci — za nią, jakby wojsko czarne,
Sosny i lipy, piołuny i cząbry,
Świadczyć przeciwko mnie.
Przebudziłem się z obliczem ku niebu,
Z rękami na krzyż, jakby do pogrzebu.
Sen mój był cichy. Łzy jeszcze płynęły
Gęsto po licach i jeszcze wionęły
Świeżym zapachem i Włoch i jaśminu
I gór Albańskich i róż Palatynu.

S A M O L U B.

URYWEK.

Gdzie dobrze, tam ojczyzna! A gdzież kiedy było
Komu lepiej — gdzie kiedy komu się przyśniło
To wszystko, w co pan Baron na jawie opływa?
Przychodzień, dóbr książęcia, jak swoich, używa
I wkrótce pojmie wdowę, panią dóbr, za żonę,
A z nią księstwo i hrabstwa dwa uksiążęczone
I ten zamek wspaniały, tak sławny z piękności
Po świecie całym. że doń co rok mnóstwo gości
Z Anglii, z Niemiec, z Polski przybywa tłumami,
Jakby na miejsce jakie słynące cudami.

Nie dziw tedy, że Baron, budząc się w pościeli
Edredonowych puchów, miększej od kąpieli,
I z za kotar indyjskich wychylając głowę,
Powitał temi słowy słońce południowe:
„Gdzie dobrze, tam ojczyzna!“ Już ruszył nawiasem
Wstęgę, tkaną z jedwabiu, ze złotym kutasem.

Na ten ruch, jak na laski czarodziejskiej zamach,
Zaraz we drzwiach pokoju zabłysło, jak w ramach
Obrazu zaklętego, wojsko malowane
I w cichości na całą rozlało się ścianę,

Żywe a nieruchome — i tylko z wyrazu
Oczu i twarzy widać, że czeka rozkazu.
Służba niemiecka: wszystko we fraki ubrane
Czarne, białe pończoszki, glansowne trzewiki,
W rękę trzymają lustra, brzytwy, ręczniki,
Baron dał rozkaz, służba rzuca się. Dwaj pazie
Niosą bieliznę, czystsza, niżli śnieg na głazie.
Gdy ją Baron przywdziewa, z przodu go osłania
Dwóch pokojowych suknią indyjskiego tkania,
Gdzie złotych kwiatów więcej lśni, niż na ornacie:
Baron zwykle zaczyna ranek w takiej szacie.
Gdy ją włożył, to znak jest, że z łoża powstaje,
I wnet mu pochyleni do nóg dwaj lokaje
Podścielają meszt parę z marokińskiej skóry,
Mających i barwistość i świeżość purpury,
A każda z nich złocistą naszywana gwiazdą.
Stąpa, do nich wślizga się lekko, jak ptak w gniazdo,
I po kobiercach cicho, jako łyżwa lekka,
Płynie ku stolikowi, gdzie go kawa czeka.

Kamerdynier lał kawę — murzyn, z lewej strony,
Trzymał nabitą lulkę i lont zapalony;
Za danym znakiem, ogień podłożywszy chybką,
Sklonił się z dwusążniową ku panu antybką,
Na której końcu bursztyn, wielkości ogórka,
Pełen drogich kamieni, jak zawój u Turka.
W tejże chwili, znów z tyłu inny pokojowiec
Stając, safianowy rozwijał pokrowiec
Angielski — zeń nożyczki dobył: temi krzesze
Podbródek Baronowi i szyldkretem czesze
I ręką muszcze, pełną utłuszczonej farby;
Potem, żeby włos ująć w należyte karby,
Chustką je opasuje, która uwikłana
Na szczycie głowy w węzeł, nakształt tulipana.

Baron hawańskich dymów z bursztynu snuł smugi,
Naprzód w górę przed siebie, potem w dół na sługi;
Ci, ze znaków pojmować wolę pana zwykli,
Drzwiami, kędy w cichości weszli, tędy znikli.
On został sam, dumając, a w bursztyn grał ciągle,
Puszczając dym to krągło, to znów wpół-okrągłe.

Rozwałęsana jego w tych dymach się błąka
Samoćna i ponura myśl, nakształt pająka:
Lecz widno, że gdzieindziej myśl, gdzieindziej dusza,
Bo z ust, któremi puszcza dym i ledwie rusza,
Wyszedł głos i słowa i zdania; lecz rzeczy
Trudno w nich znaleźć: jedno drugiemu więc przeczy.
Naprzykład takie słowa: „Gdzie mi dobrze będzie,
Tam i ojczyzna moja, tam dom...
W domu lepiej
Sława?... Chleb to grunt, a sława — zabawa!...
Mądry Baron po szkodzie! Żyj, pókiś na świecie!”
Po mnie niech spadnie niebo i skowronki zgniecie;
I tym podobne zdania,
A każde zdanie jego mieszało się z dymem.

Z takich to tęczowatych rozmyślań wytrąca
Mrok, spadający nagle, jak zaćmienie słońca.
Baron uczuł, że mu się poza skronie wije
I oczy ściska dwoje rączek. Zgadnął, czyje:
Westchnął — puszcza z ust bursztyn, którego świecidła,
Jak puszczone z dziecięcej słomki bańka mydła,
Błysnęły i zagasły cicho na kobiercu
Podłogi. On prawicę położył na sercu,
A lewą koło głowy lekkuchno wychyla,
Jak chustkę, którąby ktoś odpędzał motyla —
Aż nakoniec milczenie przerwał ciężkim jękiem.
Potem głosem cichutkim, jak komara brzękiem:
„Ach, ach, jeśli mi szczęście zawiera powieki
W kształcie nocy — ach, niechże ta noc trwa na wieki!
Jeżeli fala, która w nicość nas zagłębia,
Ma tę świeżość i ten puch skrzydeł gołębia,
Niech umrę teraz, niech zniknę!...” Lecz, wzdychając, zniżał
Głowę i prawie aż do kolan ją przybliżał.
Wtem jedna z rączek, co mu więziła powieki,
Rozsunęła się zwolna, jako obłok lekki.
Baron, podobien temu, co się cuci z mdłości,
Wydobywał wpółsenne oko z tych ciemności,
Aż dojrzał śród nich postać, która, jak królowa
Nocy, wdzięki swe w szatach zaciemnionych chowa:
Suknia długa i czarna — nad głową się sępi
Czarny kapelusz i w krąg strusie pióra strzępi.

Była to księżna, w stroju, który zwykle służy
Wielkim paniom niemieckim do konnej podróży:
W rękę trzymała biczek z szyldkretowym prętem,
Którego skówkę gryzła, strojną diamentem.
Temi rzeczami gdy się bawił, lokaj wlatą
Z krzykiem: „Hofrat oznajmia wizytę...”
Wszedł człek półwieczny, twarzy poważnej, w ubraniu
Podróżnem, z biczem w rękę, jakby na wsiadaniu.
Dawny znajomy, krótko witał się z Baronem
Dorywczem rąk ściśnieniem i lekkim ukłonem.
Baron przysunął krzesło, ręką i pół głową
Ukloniwszy się — Hofrat skłonił się na nowo.
Usiedli, milczą oba. Jegomość się krząta
Służbą. Lokaj w milczeniu pospiesza do kąta,
Gdzie naksztalt hodowanych w donicy cebulek
Wschodnich kwiatów, sterczały główki wschodnich lulek
Bursztynowe, natkane w stolik cyndałowy.
Lokaj wybrał z nich cybuch półtrzeciałokciowy,
Nasadził piętę, nabił, zapalił i wtyka
Cybuch w usta Hofrata, a sam, jak wszedł, znika.

Siedzą tedy i palą. Dwaj przyjaciele,
Gdy się zejda i gdy są oba marzyciele,
Mogą razem przemyślać i przegadać wiele,
Nie siląc się na słowo. Taż myśl, co i w gwarze
Głosów brzmi, może równie przemawiać i w parze

Hofrat zaczął dąć szybko i dym rączo ciskał.
Który, szerząc się, w górze, jak wodotrysk, pryskał,
Naprzeciw Baron, z usty wszere rozciągniętemi,
Jak gdyby ze skalistej rozpadliny, dymi.
Fala poziomo w pół izby zawisa
I nad głowami, jako obłok, się kołysa.

Zdziwiło to Hofrata; cybuch spuścił na dół,
I czystem, z płuc ciagnionem powietrzem się nadał;
Potem z taką siłą dmuchnął w dymu środek,
Że go rozbił i zrobił w nim jasny obwodek,
Przez który odkryło się nieco dno sufitu,
Jak nad rozstępującą się mgłą krąg błękitu.
Taką przygotowawszy dla oczu widownię,
Pochwycił znowu cybuch, pociągnął gwałtownie
I, cały przepędziwszy dym przez ust naczynie,
Puścił z nich jedną kulę, wielką, jako dynię

Podniosła się wspaniale i środkiem obłoku
Dążyła do sufitu — a wtem Baron z boku
Wystrzelił ku niej bańką małego rozmiaru,
Lecz kręciła się szybko, jak kula bilaru:
Ta dopędza wnet banię, swym obwodu brzegiem
Trąca ją, aż obiedwie wstecznym poszły biegiem.

Cichym uśmiechem Hofrat dał poklask tej sztuce,
A tymczasem gotował i cybuch i płuce.
Nakoniec rozwarł usta; widno, jak w ich głębi
Dym, długo gromadzony, warzy się i klębi
I, przy brzegach ust krążąc, ciasno je obwieńcza,
Aż się zerwał i wyszedł na świat w kształt obręcza.
Kręcąc się, przed obliczem Barona zawiesza
I już się ma rozplynać — gdy Hofrat pospiesza
Podeprzeć go obręczem drugim, mniejszym nieco,
Za którym trzeci, piąty, dziesiąty wciąż lecą.
Z obręczy wnet tworzy się postać ostrokrega,
Który końcem gardzieli Hofrata dosięga,
A podstawą wprost przeciw Baronowi mierzy.
Wzdrygnął się Baron, zdumiał, ledwie oczom wierzy,
Żeby ktoś w Niemczech zdołał wydać arcydzieło.
Któreby u fajkarzy chińskich poklask wzięło;
Chce godnie odpowiedzieć, i za jednym tchnieniem
Ów ostrokrag spaja takim zokrągleniem,

.



Objaśnienia autora i uzupełnienia.

BALLADY I ROMANSE.

Strona 12. „ŚWITEZIANKA“.

Jest wieść, że na brzegach Świtezi pokazują się ondiny czyli nimfy wodne, które gmin nazywa świteziankami.

Strona 27. T O L U B I Ę.

Ta ballada jest tłumaczeniem wiejskiej pieśni.

Jakkolwiek zawiera opinie fałszywe i z nauką o czystcu niezgodne, nie śmieliśmy nic odmienić, aby tem wyraźniej zachować charakter gminny i dać poznać zabobonne mniemanie ludu naszego.

Strona 36. T U K A J.

Kołodyczewa nurty sine.

Nazwisko jeziora.

Strona 42. A. E. Odyniec napisał dokończenie tej ballady. W przypisku do tej swej pracy powiada: „(Mickiewicz) polecił mi dokończenie (dwu pierwszych części Tukaja) i sam do ułożenia treści trzeciej części dopomógł“. Z tego powodu umieszczamy ten utwór tutaj.

III.

Tukaj przeżył lat czterdzieście.
Zdrowia, złota nie żałował,
Hulał, szalał — aż nareszcie
Przesycił się i zmordował.
Kochanki się postarzały,
Młode młodszych wybierały.
Mógł odmłodzić — pocóż zwlekać?

Z przyjaciół — miał ich nie mało —
Trzech się tylko pozostało,
Którymby się dał posiekać —
Ma się rozumieć, po próbie.
Rzekł więc naprzód najstarszemu:
„Przyjacielu, ufam tobie.
Nie pytaj, na co i czemu —
Lecz weź ten słój, pójdź do źródła,
I, cokolwiek będzie w słoju,
Proszę, byś do wody wrzucił“. —

Przyrzekł, poszedł, nie powrócił. —
Tukaj się mocno zasmucił.
Szczęściem, że przyjaciel drugi
Staął, gotów do posługi.

Wrócił — lecz dziwem przejęty:
„Tukaju! To diamenty!
Co za kaprys lub powody
Taki skarb rzucić do wody?“ —
— „Będziemy dość mieli oba:
Weźmiesz, ile się podoba“. —

— „Mniejsza o to; powiedz raczej,
Co to? Naco? Co się znaczy?
Nikommu nie powiem o tem“. —
— „Jeszcze nie czas! Potem, potem! —
Masz słój drugi, wrzucić do źródła,
Ale nie patrz, co jest w słoju!“ —

Wziął słój — ale nic nie mówi.
Patrzy w oczy Tukajowi.
„Idź, idź! Resztę czas wyświecił“.
On odszedł, milcząc ponuro.
Alić, ledwie znikł za górą,
Z za góry czarny kruki leci.
„Cóż, Tukaju! Wracam suchy! —
Cha, cha! Lecz nie trać otuchy:
Idzie twój przyjaciel trzeci!“ —

Tukaj się uderzył w skronie,
Z rozpaczą załamał dłonie
I, wzrokiem tocząc po niebie,
Klął ludzi, diabłów i siebie. —

„Tukaju! Co się to znaczy?
Wyjaw mi powód rozpaczy:
Jeśli osłodzić nie zdoła,
Przyjaźń twój smutek podzieli!“ —
— „Ha! Przyjaźń! — Tukaj zawoła —
Wszak wiesz, miałem przyjacieli:
Gdzież są po najpierwszej próbie? —
Lecz znana mi dusza twoja.
Mów, mogę-ż zaufać tobie?“ —
— „Doświadczył! To odpowiedź moja“.

Wziął słój — skarb do wody wrzucił.
Wziął drugi — kruk nie powrócił.
On wraca. — Skoro go zoczył,
Tukaj na spotkanie skoczył.
Już są blisko, już wzajemnie
Wyciągają uścisk tkliwy...
Tukaj szepnął coś tajemnie,
Skinął — i wtem — dziw nad dziwy! —
Potwór — lew, gryf, smok straszliwy,
Z dymem w paszczy, z ogniem w oku,
Na Tukaja wypadł z boku.
„Ratuj, bracie!“ — Tukaj krzyknął.
On zapomniał, że bezbronny,
Skoczył śmiało — zapęd płonny:
Zwierz, jak wypadł, tak i zniknął.
Głos tylko, z śmiechem zmieszany,
Zabrzmiął: „Winszuję wygranej!
Ale jeszcze, jeszcze próba!“

Ci się uścisnęli oba.
Tukaj już się nic nie trwożył,
Odkrył sekret, rzecz wyłożył;
Dał przepisy, dał przestrogi,
Jak ściąć głowę, siekać nogi —
Lecz nadewszystko powtórzył,
Jak pocięte skleić członki,
Jakie zioła i korzonki
Rwać na nowiu lub pod pełnię,
Po ile brać szczypt i łutów. —
To skończywszy, był zupełnie
Do operacyi gotów.

Jednak żal mu się zrobiło.
Słońce pięknie zachodziło,
Księżyc wznosił się od wschodu —
Tukaj poszedł do ogrodu.
Kwiaty kwitły naokoło,
Wonny wietrzyk chłodził czoło,
Słowik śpiewał gdzieś wesoło. —

Tukaj stanął ponad strugą.
Myślał, patrzył — długo, długo —
Wtem łzą błysnął wzrok ponury,
Oczy, ręce, wznosił do góry:
„Niebo, słońce — bądźcie zdrowe!“ —
Wtem przyjaciel ściał mu głowę.

1829 r. w Wejmarze.

IV.

Drugi miesiąc na młodziku.
Już cała ciała budowa
Uklejona — tylko głowa
Leży pod szkłem na stoliku.
Lecz i tę głowę z kolei
Przyjaciel dziś już przyklei.

I pełen wiary, nadziei,
Z miłością marzy o chwili,
Kiedy się Tukaj ocuci:
Jak mu na szyję się rzuci,
Co będą czuli, mówili,
Jak się kochali, jak żyli!
Świata się staną przykładem,
Jak nowy Orest z Pyladem.

I w tem rozkosznem marzeniu,
Wzruszeniu i uniesieniu
Ani spostrzega, jak burza
Cały horyzont zachmurza.
Aż jednym razem nad domem
Wichrem, ulewą i gromem
Rykła — i trzęsie ścianami. —
A w tejże chwili pod drzwiami
Głos jakiś błaga o wnijście.

Gość nie w porę, rzeczywiście
Gorzej Tatara — lecz już cię
Niepodobieństwo nie wpuścić!
(Albowiem rzecz się, jak wiecie,
Dzieje w litewskim powieście,
A żaden bardziej być ludzki
Nie może, jak nowogródzki).

Gość więc wszedł. — Postać i mina
Nie ukazują Litwina;
Lecz kto — zagadką nie łąda,
Bo chociaż po polsku gada,
Znać po nim, że cudzoziemiec.
Lecz kto? Włoch, Francuz czy Niemiec?
Z każdego zda się mieć trocha.
Oczy ogniste, jak Włocha —
Ruch, uśmiech, podróżna błuza
Przypominają Francuza —
A ledwo usta otworzył,
Zda się, że Niemiec Faust ożył,
Tak się z nich raptem połała
Mądrość — jak owa nawała
Z chmur ponad domem. —

On, burzę

Wziąwszy za asumpt, wnet z progu,
Jak zaczął, to o naturze,
To o człowieku i Bogu
Prawić — a wszystko tak ślicznie,
Tak górno, filozoficznie,
Że, czy to urok wymowy
Czy figiel sztuki Faustowej,
Dość, że gospodarz osłupiał.
I tak, czy zmańdzał, czy zgłupiał,
Że chociaż dobrze słów jego
Ani ogarnął ni zmierzył,
Od razu zaczął od tego,
Że im na oślepu uwierzył
I sam, w *jajości* swej środku,
Nagle, jak kurczę w zarodku,
Poczuł straszliwą ochotę
Zbadać wszech rzeczy istotę.

Więc, choć mu zawsze w pamięci
Tukaj i nad nim robota —
Chęć wiedzy również go nęci,
Ciekawość również nim miota:
Jak może stać się, gdy stanie,
Że martwy z martwych powstanie? —

Ale jak zadać pytanie? —
Wie on i dobrze pamięta
Tukaja *pacta conventa*,
Że zdradzić przed kimbaż sekret,
To znaczy wydać nań dekret
Nie tylko śmierci — lecz piekła.

A więc ubocznym sposobem
Zagadł: Co mądrość dociekła
O życiu dusz poza grobem —
I czy są siły, co mogą,
Naprzykład — oł, wskrziesić kogo?

Gościowi radość na lica
Wybłysła, jak błyskawica,
I tając uśmiech wpół drwiący,
Co się z ust wymknął nie chcący,
Nuż *ex cathedra, ab ovo*,
Rozprawiać na dane tema.
Naprzód o Bogu:

Bóg — słowo.
I jest — i razem go niema.
Niema na ziemi ni w niebie,
Ale jest w mędrców rozumie.
Bez nich-by nie był — bo siebie
Sam bez nich pojąć nie umie.
Wbrew więc dawnych teozofów
Dopiero ludzie poznają,
Że nie Pan Bóg filozofów,
Ale go oni stwarzają“. —

Gospodarz strasznie się zdziwił.
Wytrzeszczył oczy, twarz skrzywił
I, jak mógł, nastawił uszy,
A gość tak dalej o duszy
Ciągnął rozprawę swą:

„Dusza,
Jako jest Boga obrazem,
Tak też jest i nie jest razem.
Jest to wiatr, co światem rusza —
A jak rusza światem całym,
Tak rusza i każdym ciałem.
A jak to ciało spróchnieje,
Wiatr wiatrem: jak wiał, tak wieje
I drugie ciało kołysze.
Z bytu jego w każdym ciele
Zostaje tylko tak wiele,
Ile kto w księgach zapisze.
O kim zaś raczą w swej głowie
Pamiętać filozofowie,
Ten dopiero rzeczywiście
Żyje w Bogu wiekuiście,
Co gmin ślepy niebem zowie“.

Gospodarz w ciągu tej mowy,
Jak oczadzony, z początku
Czuł tylko kręcenie głowy —
Ale przy dalszym jej wątku
(Jak zwykle w osadzie bywa)
Poczuł nudzenie i cikliwość.
Już, już na wybuch go zrywa —
Lecz się uzbroił w cierpliwość,
Ściał zęby i znów w milczeniu
Słucha. — A gość o wskrzeszeniu
Tak zaczął:

„Chcieć wskrzesić ciało,
Formę człowieka, czy ludu,
Głupcom się tylko ubrdało.
Rzecz zresztą nie warta trudu!
Bo forma ciał nie określi
Absolutu życia myśli.

Ale podźwigać tułowy
Ludów, narodów lub stanów,
Gnijące w śmierci *mysłowej* —
Im nowe nasadzać głowy —
Do głów tych, jak pustych dzbanów,
Łać wyskok mądrości nowej

Ow nektar, którego dzielność
Bogów ma czynić z bałwanów,
Nicości dać nieśmiertelność —
To dział tych wielkich, tych dzielnych,
Tych boskich i nieśmiertelnych
Mistrzów z nad Sprei i Pregli,
Co ponad ziemią się zbiegli,
Jak mglistych komet *jajości*,
I, twardo-mocni nauką,
Jak w bitki wzajem się tłuką
Na firmamencie mądrości!

Lecz biada, biada mu, ktoby,
Mając dokonać tej próby,
Szedł torem ślepej natury,
W czyichby rękę ta nowa,
Wsadzić mająca się głowa,
Była tej samej struktury
Lub w takim samym została
Stosunku do reszty ciała,
Jak ta, co dziś ją człek dźwiga:
Istną makówkę łodyga,
Rodzącą tylko nasienia
Uśpienia lub upojenia.

Za pierwszy przeto warunek
I *sine qua non* — potrzeba
Stargać jej z sercem stosunek
I wzrok osłonić od nieba,
By ciągły ruch serca rzutu
Nie mącił w niej *absolutu*,
A on wyższego od siebie
Nie upatrywał na niebie.

Wtenczas to ludzieby przyśli
Do swoich przeznaczeń szczytu,
Do swej mądrości zenitu,
Do życia w myśli, dla myśli,
Co dziś tli jeszcze w iskerce,
Ale świat słońcem okraśli,
Gdy całkiem zagłuszy serce
A wiarę całkiem wygasi". —

Tu już uczniowi się zdało,
Że mistrz drwi z niego wyraźnie.
Krwia polską serce zawrzało —
I, jak Trentowski w „Przedburzy”,
Nie mogąc wytrzymać dłużej,
Jak fuknie: „Ach ty, ty, błaznie!
Ty, szoldro, taki, owaki!
Albowiem to ja żak jaki,
Że mi śmiesz świecić te baki?...

Widzę, że alboś sam szatan
Albo być musisz z nim zbratan,
Gdy wiesz zajęcie dziś moje. —
Lecz ja się diabła nie boję!
Nie dam się zwieść i nie zgrzeszę.
Przyjaciela kocham szczerze,
W nieśmiertelność duszy wierzę,
Przez Boga z martwych go wkrzeszę!“ —

— „Cha, cha, cha! — gość parsknął śmiechem:
„Nie każdy grzech zda się grzechem.
Tyś nieodrodny w swym rodzie,
Mądry — lecz zawsze po szkodzie!

Gdybyś był czynił wytrwale,
Co teraz krzyczysz w zapale,
A wczas mu głowę przyłożył,
Tukaj by może i ożył.
Lecz teraz — czas już przeminał!“ —
Rzekł — i świsnął, chychnął i zginął.

A w tem — o Jezus Maryja! —
Północ dwunastą wybija...
Tukaj miał wstać o północy! —

Przyjaciół skoczył, jak z procy —
Alic u progu alkowy —
O zgrozo! — Tukaj bez głowy
Stoi, a w ręku swą głowę
Grozi, jak kulą działową.

Cisnął — i nagle po domu
Rozległ się jakby trzask gromu.
W całym powiecie słyszano
Ów nocny łoskot — a rano

Ze wszech stron zbiegła się zgraja
 Na gruzy zamku Tukaja,
 Próżno chcąc zbadać przyczynę,
 Czemu tak runął w ruinę,
 Co, jako wielka mogiła,
 Tajnię tej nocy pokryła. —

Lecz wkoło góry Żarnowej
 Lud dotąd widzi co nocy
 Dwa cienie: jeden bez głowy
 Goni — a drugi, jak z procy,
 Ucieka. A ten, co goni,
 Własną snąć głowę ma w dłoni
 I za ściganym tą głową
 Raz w raz, jak kulą działową,
 Ciska — a skoro, odbita,
 Odskoczy — on znów ją chwyta,
 By wnet znów cisnąć na nowo.

Tak ów przyjaciel z Tukajem,
 Tak pokutują nawzajem.
 I póty będą, aż póki
 Wnuki ich, albo prawnuki,
 Świadomi smutnych przykładów
 Dziadów swych, albo pradziadów,
 A świadki kary nad niemi,
 Nie oduczą się powoli:
 Jedni — holdować swej woli
 A chcieć żyć tylko dla ziemi,
 Drudzy — nakłaniać wnet ucha
 Na słowa cudzego ducha,
 Choćby był w zmowie ze złemi.

Strona 51.

D U D A R Z.

Myśl z pieśni gminnej.

Strona 52. Komu ślubny splatasz wieniec itd.
 Te trjolety wyjęte są z poezji Tomasza Zana.

Strona 59.

TRZECI BUDRYSÓW.

A książd Kiejstut napadnie Teutony.
 Książd, po staremu, zamiast: książę.

R E N E G A T.

„Cały dwór klasnął“ — wyrażenie europejskie; w duchu wschodnim należałoby powiedzieć: „cały dwór włożył do ust otwartych milczenia palec podziwu“.

W „Albumie“ Piotra Moszyńskiego znajduje się druga część „Renegata“.

BASZA. CZĘŚĆ II.

„O dziwy, zgroza!“ — wołają janczary

I mędrce, w prawie ćwiczeni.

„Tę Nazaretkę za okropne czary

Zakopiem w stosie kamieni.

Owoż to Hasan, ów renegat basza,

Sroższy nad lwa i tygrysa,

Co go nie tknęła żadna dziewczka nasza,

Ni Dzurdzistanu hurysa!

On, gdy chanowi na srebrny półmisek

Rzucił łeb księcia Iflaku,

Wdzięczny mu chagan dziesięć odalisek

Z własnego przysłał orszaku —

Wszystkiemi wzgardził; teraz go zabija

Postać lękliwej gazeli,

Jako motyla lada modra żmija

Promieniem oczu zastrzeli.

Niechże tę żmiję bej na pastwę czerni

Z warownej straży przywiedzie;

Już od godziny zebrali się wierni,

I kady z miasta już jedzie“.

Przyjechał kady, zbierają kamienie —

Czekają — próżna nadzieja!

Bej nie przychodzi, odbite więzienie:

Ani dziewczicy — ni beja. —

Wiktor hr. Baworowski ogłosił w nr. 244 „Czasu“ z r. 1890
jeszcze trzecią część „Renegata“:

Wkrótce ojczyznę ujrzała branka,

Lecz wszędzie jej tam niemiło:

Nie widzi bowiem swego kochanka,

Z którym się wszystko skończyło.

Wszystko! — I w swoich pamiątek kraju
Wkrótce z rozpaczy umarła,
A ciało martwe, według zwyczaju,
Dębowa trumna zawarła.

A gdy rodzina płacz swój rozwodzi
I ksiądz do modlitwy wzywa —
Nieznany Turczyn zziajany wchodzi
I tak się do nich odzywa:

„Basza zostawił w zgonie rozkazy,
Abym tę urnę wziął z sobą,
Gdy go śmiertelne okryją głazy,
Gdy go okryją żałobą.

Kazał, bym obszedł cały świat kołem,
Trafił do północnej ziemi,
I niósł tę urnę z jego popiołem,
Złączyć z prochami lubemi.

Znalazłem popiół! Ty, o kapłanie,
Wypełnij Baszy zlecenie.
Z urną swat wchodzi, przed tobą stanie —
Dziwne będzie ożenienie.

Zdejmij z tej martwej ręki pierścionek
I włóż jej pierścień Turczyna;
Ona małżonką, on jej małżonek —
Po śmierci się ślub zaczyna!“

Ksiądz odpowiedział: „Czyż te zamiary
Mam w groźnym wykonać musie?
Czyliż twój Basza był naszej wiary,
Czyliż on umarł w Chrystusie?“

Ksiądz mówił, ale na księdza głosy
Turczyn nic nie odpowiadał —
I tylko z czoła rozgarnął włosy
I, milcząc, księdza twarz badał.

Ksiądz obrażony chciał zerwać śluby,
Chciał z jej palca zdjąć pierścienie —
Lecz próżne jego były rachuby:
Broniło dłoni ściśnienie.

Martwa dziewczica ścisnęła rękę,
 Pierścienia wydrzeć nie dała.
 Na tem ja, bracie, kończę piosenkę,
 I piosnka moja skołała.

Strona 61.

U C I E C Z K A.

Ta powieść znajoma jest ludom wszystkich krajów chrześcijańskich. Poeci rozmaicie ją przerabiali; Burger ułożył z niej sławną swoją „Lenorę”. Nie znając piosnki gminnej niemieckiej, niemożebna wiedzieć, o ile Burger rzecz i styl odmienił. Niniejszą balladę ułożyłem podług piosnki, którą niegdyś słyszałem w Litwie, śpiewaną po polsku. Treść i układ zachowałem wiernie, ale wierszy gminnych ledwie kilka zostało mi w pamięci, i te służyły mi za wzór stylu.

Strona 62. Ma kwiat paproć i car ziele.

Zioła, używane do gusłów w Litwie.

Strona 63. Dom mój na górze Mendoga.

Góra Mendoga pod Nowogródkiem, obrócona na cmentarz; stąd w tamtych okolicach Litwy „pójść na Mendogową górę” znaczy: umrzeć.

SONETY.

Strona 75. POEZJO GDZIE CUDNY PĘDZEL

Ten sonet, nie ogłoszony przez poetę i nie wykończony w zupełności znajduje się w „Albumie” Piotra Moczyńskiego. (Przyp. wydawcy).

Strona 80.

E K S K U Z A.

Alcejski chwytam bardon, i strojem Ursyna.

Bardon czyli lutnia alcejska, tak nazwana od sławnego liryka greckiego Alceusza, który, urodzony w Mitylenie, żył około roku 604 przed Chrystusem. *Ursyn*, przydomek Juliana Niemcewicza.

Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy.

Lete, rzeka zapomnienia w Elizjum, z której piły dusze zmarłych, aby zapomnieć doznanych na ziemi cierpień, a kie-

dy po kilku wiekach w inne wracały ciała, znowu z niej pić miały, aby wygluzować z pamięci tajemnice tamtego świata (mitologiczne).

SONETY KRYMSKIE. STEPY AKERMANSKIE.

Strona 83. Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Na Ukrainie i Pobereżu nazywają burzanami wielkie krzaki ziela, które, w czasie lata kwiatem okryte, nadają przyjemną rozmaitość płaszczynom.

WIDOK GÓR ZE STEPÓW KOZŁOWA.

Strona 85. Czy diwy z ćwierci ładu dźwignęli te mury.

Diwy, podług starożytnej mitologii Persów, złośliwe geniusze, które niegdyś panowały na ziemi; potem wygnane przez aniołów, mieszkają teraz na końcu świata za górą Kaf.

Strona 85. Na szczycie jaka łuna! Pożar Carogrodu!

Wierchołki Czatyrdahu, po zachodzie słońca, skutkiem odbijających się promieni, przez czas jakiś zdają się być w ogniu.

Strona 85. Czy Allah, gdy noc chylał rozciągnęła bury.

Chylat, suknia honorowa, którą sułtan obdarza wielkich urzędników państwa.

Strona 85. To Czatyrdah!

Najwyższa w pasmie gór krymskich na brzegu południowym; daje się widzieć z daleka, niemal na 200 wiorst, z różnych stron, w postaci olbrzymiej chmury sinawego koloru. (Siedm wiorst idzie na milę — dodatek wyd.)

Strona 85. BAKCZYSARAJ.

W dolinie, otoczonej ze wszec stron górami, leży miasto Baczysaraj, niegdyś stolica Girajów, chanów krymskich.

Strona 86. I pisze Baltazara głoskami „Ruina“.

„Tejże godziny wyszły palce ręki człowieczej, które pisały przeciwko świecznikowi na ścianie pałacu królewskiego, a król (Baltazar) widział część ręki, która pisała“. Proroctwo Danielowe, V, 5.

Strona 86. Rozchodzą się z dżamidów pobożni mieszkańcy.

Meszdjid lub dżiami, są to zwyczajne meczety. Zewnątrz, po rogach świątyni, wznoszą się cienkie, wystrzelone w niebo wieżyczki, które minaretami (*menaré*) zowią; są one w połowie swej wysokości otoczone galerją, *szurfe*, z której *muezzinowie* czyli oznajmiciiele zwołują lud na modlitwę. To zwoływanie, wyśpiewane z galerji, zowie się *izanem*. Pięć razy na dzień, w oznaczonych godzinach, daje się słyszeć izan ze wszystkich minaretów, a czysty i donośny głos muezzinów przyjemnie rozlega się w powietrzkregu miast muzułmańskich, w których z powodu nieużywania kołowych pojazdów szczególniejsza cichość panuje. (Sękowski, *Collectanea*, T. I, str. 65—8).

Strona 86. Jak szatany, siedzące w dywanie Eblisa.

Eblis albo Iblis lub Garazel, jest to Lucyfer u mahometanów.

Strona 86. Budzi się błyskawica i pędem Farysa.

Farys — rycerz u Arabów Beduinów.

Strona 86. GRÓB POTOCKIEJ.

Niedaleko pałacu chanów wznosi się mogiła, w guście wschodnim zbudowana, z okrągłą kopułą. Jest powieść między pospółstwem w Krymie, że ten pomnik wystawiony był przez Kerym Giraja dla niewolnicy, którą nadzwyczajnie kochał. Niewolnica miała być Polka, z domu Potockich. Autor uczenie i pięknie napisanej *Podróży po Krymie*, Murawjew-Apostoł, utrzymuje, że powieść ta jest bez zasady i że grobowiec kryje zwłoki jakiejś Gruzinki. Nie wiem, na czem opiera swoje mniemanie, bo zarzut, iż Tatarowie w połowie ośmnastego wieku tak łatwo niewolnic z domu Potockich uprowadzać nie mogli, nie jest dostateczny. Wiadome są ostatnie zaburzenia kozackie na Ukrainie, skąd niemało ludu uprowadzono i przedano sąsiednim Tatarom. W Polsce liczne są familje szlacheckie imienia Potockich, i wspomniana branka niekoniecznie mogła należeć do możnego domu dziedziców Humania, który najazdom tatarskim lub rozruchom kozackim mniej był dostępny. Z powieści gminnej o grobowcu baczysarajskim poeta rosyjski Aleksander Puszkין z właściwym sobie talentem napisał powieść: *Fontana Baczysarajska*.

Strona 87. MOGIŁY HAREMU.

W rozkosznym ogrodzie, wśród wysmukłych topoli i drzew morwowych stoją grobowce z białego marmuru chanów i sułtanów, ich żon i krewnych; w pobliskich dwóch budowlach leżą trumny, zwalone bez ładu: były one niegdyś bogato wybite; dziś sterczą nagie deski i szmaty całunu.

Strona 87. Nad niemi turban zimny błyszczy wśród ogrodu.

Muzułmanie nad grobami mężczyzn i niewiast stawiają kamienne zawoje, innego dla obu płci kształtu.

Strona 87. Zostały dłonią giaura wyryte imiona.

Giaur, poprawniej *kiafir*, znaczy niewierny. Tak muzulmanie nazywają chrześcijan.

Strona 87. BAJDARY.

Piękna dolina, przez którą zwykle wjeżdża się na brzeg południowy Krymu.

Strona 88. AŁUSZTA W DZIEN.

Jeano z miejsc najrozkosznieszych Krymu. Tam już wiatry poimnocne nagay nie uosiodają, i podróżny w listopadzie szuka częstokroć cniodu pod cieniem ogromnych orzechów włoskich, jeszcze zielonych.

Strona 88. Rannym szumi namazem niwa złotokłosa.

Namaz, modlitwa muzulmańska, którą odprawiają, siedząc i bijąc pokłony.

Strona 88. Jak z różańca chalifów, rubin i granaty.

Muzułmanie używają w czasie modłów różańca, który u znakomitych osób z kosztownych bywa kamieni. Granatowe i morwowe drzewa, czerwieniejące się rozkosznym owocem, są pospolite na całym brzegu południowym Krymu.

CZATYRDAH.

Strona 89. O minarecie świata! O gór paoyzahu!

Padyszah, tytuł sułtana tureckiego.

Strona 89. Gabryel, pilnujący edeńskiego gmachu.

Zostawiam linię Gabryela, jako powszechniej znajome, ale właściwym strażnikiem niebios podług mitologii wschodniej jest Rame (konstelacja Arcturus), jedna z dwóch wielkich gwiazd, zwanych *as semekein*.

PIELGRZYM.

Strona 89. Niż słowiki Bejdaru, Salhiry dziewice.

Salhir, rzeka w Krymie, wypływa z podnóża Czatyrdahu.

Strona 90. DROGA NAD PRZEPAŚCIĄ W CZUFUT-KALE.

Miasteczko na wyniosłej skale; domy, na brzegu stojące, mają podobieństwo do gniazd jaskółczych, ścieżka, wiodąca na górę, jest przykra i nad przepaścią wisząca. W samym mieście ściany domów łączą się prawie ze zrębem skały; spojrzawszy przez okno, wzrok gubi się w głębi niezmiernej.

Strona 90. Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.

Koń krymski w trudnych i niebezpiecznych przeprawach zdaje się posiadać szczególniejszy instynkt ostrożności i pewności; nim krok postawi, trzymając na powietrzu nogę, szuka kamienia i próbuje, czy bezpiecznie stąpić i ostać się może.

GÓRA KIKINEIS.

Strona 90. To jest morze. Śród fali, zda się, że ptak-góra.

Ptak-góra, znajomy z „Tysiaca Nocy“. Jest to sławny w mitologii perskiej, po wielekroć od poetów wschodnich opisywany ptak Simurg. „Wielki on (powiada Firdusi w *Szahn-Namie*), jak góra, a mocny, jak twierdza; słonia unosi w szponach swoich“, i dalej: „ujrzawszy rycerzy (Simurg) zerwał się, jak chmura, ze skały, na której mieszka, i ciągnął przez powietrze, jak huragan, rzucając cień na wojska jeźdźców“. Obacz *Hammera Geschichte der Redekünste Persiens*. Wien, 1818, str. 65.

Strona 90. Ta wyspa, żeglująca w otchłani, to chmura!

Z wierzchołka gór, wyniesionych nad krainę obłoków, jeśli spojrzymy na chmury, płynące ponad morzem, zdaje się, że leżą na wodzie w kształcie wielkich wysp białych. Ciekawy ten fenomen oglądałem z Czatyrdahu.

Strona 91. RUINY ZAMKU W BAŁAKŁAWIE.

Nad zatoką tego imienia stoją gruzy zamku, zbudowane go niegdyś przez Greków, przychodniów z Miletu. Później Genuieńczycy wzniesli na tem miejscu twierdzę Cembalo.

WIERSE RÓŻNE.

Strona 115.

F A R Y S.

Farys, jeździec, jest to zaszczytne nazwanie u Arabów Beduinów, znaczące to samo, co *chevalier*, rycerz w wiekach średnich.

Czarny mój rumak, jak burzliwa chmura,
Gwiazda na czole jego, jak jutrzienka, błyska,
Na wolę wiatrów puścił strusiej grzywę pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Te cztery wiersze, zawierające opisanie konia, są tłumaczone z arabskiego czterowiersza, umieszczonego w notach do „Antologii arabskiej” de Lagrange.

Strona 116. Czuję, krakał, zapach trupi.

Powszechny na Wschodzie przesąd, że sępy czują śmierć z daleka i krążą za człowiekiem, mającym umrzeć. Jakoż zaledwie skona podróżny, wnet kilka ich zjawia się w okolicy, chociaż pierwiej nie były widziane.

Strona 118. Huragan, z afrykańskich pierwszy wichrzycieli.

Huragan. Jest to wyraz amerykański *urikan* i oznacza straszliwą burzę tropikową. Ponieważ znajomy powszechnie w Europie, użyliśmy go zamiast wyrazów arabskich *semum*, *serser*, *asyf* itp. w znaczeniu wichru albo trąby powietrznej, zasypującej niekiedy całe karawany. Persowie nazywają go *girdebad*.

Strona 118.

W I M I O N N I K U M . S .

W dostępnych nam wydaniach krytycznych dzieł Mickiewicza znajduje się data: 1824. sierp. 16 d. Kowno. Musi tu zachodzić omyłka, gdyż Mickiewicz został w październiku 1823 r. aresztowanym i już do Kowna nie wrócił. Wiersz ten został napisany prawdopodobnie w sierpniu 1823 r. (Uwaga wyd.)

Strona 162.

W A R C A B Y.

Przez nią w zbrojne rzemiosło wprawiał się sułtanic.
Warcaby, równie, jak szachy, dla nauki monarchów wschodnich wynalezione.

Strona 162. O Wido!...

„Szachy“ poety włoskiego Wida, wzorowie tłumaczone przez Jana Kochanowskiego.

Strona 163. Ale, jak tylko dostał pomoc Orleanki.

Joanny d'Arc.

Strona 168. DO JOACHIMA LELEWELA.

Z okoliczności rozpoczęcia kursu historii powszechnej na uniwersytecie wileńskim dnia 6 stycznia 1822 roku.

Strona 169. Od czoła ich Plutona przyłbica odpadła.

Szyszak Plutona sprawiał niewidomymi tych, którzy go nosili.

Strona 169. Oto mędrzec Fedona, to Persów zabierca:

Plato i Aleksander Wielki.

Strona 171. Ruchem do mirmidońskich podobny zwierzątek

Mirmidonowie, według mitologii, powstałi z mrówek.

Strona 172. Ahy naprawiać krzywdy.

Redresser les torts, hasło Paladynów.

Strona 175. DO DOKTORA SIEMIASZKI.

Tam jest gwiazda, co tylko dnem podmorskim świta,
I latarnia, przy której dumał Stagiryta,
I łódź, wiosłem żyjącem morskie tnąca szyby,
I pałasze, któremi walczą wieloryby.

Gwiazda morska, rodzaj molusków. *Latarnia Stagiryty*, Arystotelesa, gatunek muszli. *Palasz morski*, ryba.

Strona 175. Te prawdy, po hebrajsku zapisane w skałę.

Skała hebrajska, tak zwana od czarnych rysów, podobnych do liter hebrajskich.

Strona 176. W imię Bojana wstanie i paszczę rozedrze.

Bojanus, sławny przed czterdziestu laty nauczyciel automji porównawczej w uniwersytecie wileńskim.

- POPAS W UPICIE.

Strona 181. Siciński? I w Upicie?... Imię strasznej sławy!

Siciński, poseł upicki na sejmie (r. 1652), pierwszy dał przykład zerwania obrad, użyciem bezprawnem *veto*, przez

co władzę królewską do reszty osłabił, a kraj gminowładztwem szlacheckiem zawichrzył. Jest podanie, że, gdy wracał do domu okryty przekleństwem ziomków, na samym progu zginął od pioruna. Kilka lat temu pokazywano w Upicie dawnego, ale dobrze zachowanego trupa, który pod imieniem Sicińskiego, włączony od dziadów kościelnych, jako osobliwość, był igiaszką miasteczka.

SPIS RZECZY.

	Str.
Od Wydawcy	III
Adama Mickiewicza życie i dzieła	V
 BALLADY I ROMANSE.	
Pierwiosnek	3
Romantyczność	4
Świtez. Ballada do Michała Wereszczaki	6
Świtezianka. Ballada	12
Rybka. Ballada	16
Powrót taty. Ballada	20
Kurhanek Maryli. Romans ze śpiewu litewskiego	22
Do przyjaciół посыłając im balladę „To lubię”	26
To lubię. Ballada	27
Pani Twardowska. Ballada	31
Tukaj albo próby przyjaźni. Ballada w czterech częściach	35
Lilje. Ballada	42
Dudarz. Ballada	51
Czaty. Ballada ukraińska	57
Trzech Budrysów. Ballada litewska	58
Renegat. Ballada turecka	60
Ucieczka. Ballada	61
 SONETY.	
Przypomnienie	69
Do Laury	69
Widzenie się w gaju	71
Ranek i wieczór	72
Do Niemna	72
Z Petrarcki	73
Strzelec	73
Błogosławieństwo. Z Petrarcki	74
Rezygnacja	74
Do	75
Poezjo, gdzie cudny pędzel...	75
Dzień dobry	76
Dobranoc	77
Dobry wieczór	77

	Str.
Do D. D. Wizyta	78
Do wizytujących	78
Pożegnanie. Do D. D.	79
Danaidy	79
Ekskuza	80

SONETY KRYMSKIE.

Stepy Akermańskie	83
Cisza morska. Na wysokości Tarkankut	83
Żegluga	84
Burza	84
Widok gór ze stepów Kozłowa	85
Bakczysaraj	85
Bakczysaraj w nocy	86
Grób Potockiej	86
Mogiły haremu	87
Bajdary	87
Ałusztą w dzień	88
Ałusztą w nocy	88
Czatyrdah	89
Pielgrzym	89
Droga nad przepaścią w Czufut-Kale	90
Góra Kikineis	90
Ruiny zamku w Bałakławie	91
Ajudah	91
Jastrząb	92

WIERSZE NAJWCZEŚNIEJSZE.

Dodatek do „Cwibaka”	95
Zima miejska	98
Już się z pogodnych niebios	100
Kiedy ślesz bilet bogatym	103
Jamby powszechne	103
Triolet	107
Do Jana Czeczota	107
Hej, radością oczy błyszczą	107
Pieśń Filaretów	108
Toasty	109

WIERSZE RÓŻNE.

Oda do młodości	113
Farys. Kasyda na cześć emira Tadz-Ul-Fechra ułożona	115
Do matki Polki. Wiersz, pisany w roku 1830	119
Pieśń żołnierza	120
Nocleg	121
Śmierć pułkownika	123
Reduta Ordona. Opowiadanie adjutanta	124

	Str.
Zdrajca	127
Hymn na dzień Zwiastowania Najśw. Panny Marji	127
Rozmowa wieczorna	129
Rozum i wiara	130
Arcy-mistrz	131
Mędry	132
Broń mię przed sobą... Urywek	133
Pytasz, za co Bóg...	134
Żeglarz	134
Majtek	136
Do samotności	137
Pieśń pielgrzyma	138
Nad wodą wielką i czystą	139
Snuć miłość...	139
Gdy tu mój trup...	140
Polaty się łyzy	140
Kochanek duchów...	140
Do M... Wiersz, napisany w roku 1822	141
Do D. D.	142
Sen	142
Dwa słowa	143
Niepewność	143
Zaloty	144
Rozmowa	145
Do *** Na Alpach w Splügen, 1829	145
Do mego Cziczera	146
W imionniku	147
Do Marji Putkamerowej. Ofiarując jej drugi tomik poezji	147
W imionniku M. S.	148
W imionniku Jana Wiernikowskiego	148
W sztambuchu Maryli	148
W imionniku Salomei Becu	148
Wiersz do imionnika Ludwika Mackiewiczówny	149
Do Aleksandra Chodźki	149
Do * w sztambuch	151
W imionniku K. R.	151
Podróźni	151
Porzuceni na świata...	152
Żeglarz	152
Słuchać, że pud suwnirów...	152
Do Marji Szymanowskiej	153
Nieznajomej siostrze przyjaciółki mojej	153
Wiersz do H. S. Prosząc o wybranie biletu na loterję	153
Do księgi Golicyna	154
Przed wichrami i szronem...	154

	Str.
W imionniku Celiny Szymanowskiej	154
Do Marceliny Łempickiej. W dzień przyjęcia Komunji św.	154
Wpół jest żydem...	155
W domu bił się...	155
Do Franciszka Grzymaly	155
Raz Grzymała...	156
Wizyta pana Franciszka Grzymaly	157
Do Bohdana Zaleskiego	157
Ad Napoleonem III caesarem Augustum ode in Bonmarsum Captum	158
Chór strzelców	159
Czyn	160
Warcaby. Do Franciszka Malewskiego	161
Do Joachima Lelewela	168
Do malarza	174
Do doktora Siemiaszki	174
Na pokój Grecki w domu księżnej Zenejdy Wołkońskiej, w Moskwie	176
Godzina. Elegja	178
Do D... D... Elegja	179
Popas w Upicie	181
Dumania w dzień odjazdu	184
Mazur. Urywek	186
Drzewo. Urywek	187
Ręce, za lud walczące...	188
Widzenie. Urywek	188
Śniła się zima...	190
Samolub. Urywek	192
Objaśnienia autora i uzupełnienia	197

SPIS ALFABETYCZNY.

	Str.		Str.
Ad Napoleonem III . . .	158	Do Jana Czczota . . .	107
Ajudah	91	Do Joachima Lelewela .	168
Alusztą w dzień . . .	88	Do księcia Golicyna . .	154
Alusztą w nocy	88	Do Laury	69
Arcy-mistrz	131	Do M***	141
Bajdary	87	Do malarza	174
Bakczysaraj	85	Do Marceliny Łempickiej	154
Bakczysaraj w nocy . .	86	Do Marii Putkamerowej	147
Bez serc, bez ducha... .	113	Do Marii Szymanowskiej	153
Biedny jastrząb!... . .	92	Do matki Polki	119
Bije raz, dwa, trzy... .	26	Do mego Cziczera . . .	146
Błędzącym wśród... . .	151	Do Napoleona III	158
Błogo temu	147	Do Niemna	72
Błogosławieństwo	74	Do przyjaciół	26
Błogosławiony rok... . .	74	Do samotności	137
Bolesne mię dni błogich	148	Do wizytujących	78
Broń mię przed sobą... .	133	Do * w sztambuch . . .	151
Burza	84	Dobranoc	77
Chcicie wiedzieć... . . .	73	Dobry wieczór	77
Chociaż zmuszona... . .	142	Dodatek do „Cwibaka“ .	95
Chór strzelców	159	Droga nad przepaścią... .	90
Cisza morska	83	Drzewo	187
Co się niedawno stało... .	60	Drząc, muślinin całuje... .	89
Coby było wśród zakresu	100	Dudarz	51
Czaty	57	Dumania w dzień od-	
Czatyrdah	89	jazdu	184
Czyn	160	Dwa słowa	143
Danaidy	79	Dzień dobry	76
Do	75	Dziś cię za stołem... . .	154
Do ***	145	Dźwięk mię uderzył... .	188
Do Aleksandra Chodźki	149	Ekskuza	80
Do Bohdana Zaleskiego .	157	Farys	115
Do D. D.	78	Franciszku, dosyć... . .	161
Do D. D.	142	Franciszku! Ja na morze	155
Do D... D...	179	Gdy cię nie widzę... . .	143
Do doktora Siemiaszki .	174	Gdy sam na sam... . .	143
Do Franciszka Grzymały	155		

	Str.		Str.
Gdy tu mój trup... .	140	Lubię spoglądać... .	91
Gdybyś ty na dzień... .	179	Majtek	136
Gdzie dobrze, tam... .	192	Marjo, siostró moja!... .	147
Godzina	178	Mazur	186
Góra Kikineis	90	Mędrycy	132
Grób Potockiej	86	Minęły chwile... .	148
Hej, dalej w płas... .	160	Mogily haremu	87
Hej, jambie, wystąp... .	103	Moja pieśczołka... .	142
Hej, radością oczy... .	107	Mój cziczerone!... .	146
Hej, użyjmy żywota!... .	108	Mówię z sobą... .	70
Hymn na dzień Zwiasto-		Na jakimkolwiek... .	153
wa! ia N. Marji P. . . .	127	Na pokój grecki	176
Ilekrć ujrzysz... . .	152	Na sali w dłoń... .	186
I z drzewa wysłużyło... .	187	Nad wodą wielką i czystą	139
Ja umieram	35	Nam strzelać nie kazano	124
Ja w tej izbie... . .	120	Nasz Naczelnik... . .	121
Jak łódź wesół... . .	115	Nie uczona twa postać .	70
Jak wielorakie świeca .	148	Niemnie, domowa rzeko	72
Jakiż-to chłopiec... .	12	Niepewność	143
Jakiż to dziadek... . .	51	Nieszczęśliwy, kto próżno	74
Jako potężny syn... .	158	Nieznajomej, dalekiej... .	149
Jamby powszechne . . .	103	Nieznajomej siostrze... .	153
Jastrząb	92	Nigdy więc, nigdy... .	145
Jedzą, piją, lulki palą... .	31	Nocleg	121
Jest mistrz...	131	Nuciłem o miłostkach... .	80
Jeszcze wielka... . . .	85	O, długo modłom... . .	168
Jeśli los ślepy... . . .	153	O matko Polko!... . .	119
Jeżeli wolność czuć... .	154	O moze zjawisk!... . .	134
Już góra z piersi... . .	88	Objaśnienia autora i uzu-	
Już wstążkę pawilonu... .	83	pełnienia	197
Już się z pogodnych... .	100	Od dworu, z pod lasa... .	16
Kapłanie Eskulapa,... .	174	Oda do młodości	113
Kiedy rozumne... . . .	130	Odpychasz mię?... . .	79
Kiedy ślesz bilet bogatym	103	Olesiu, czemuś tobie... .	149
Kochanek duchów... . .	140	On wojuje...	61
Kochanko moja!... . .	145	Pani Twardowska	31
Ktokolwiek będziesz... .	6	Patrzysz mi w oczy... .	75
Któż nad ciebie... . . .	107	Pielgrzym	89
Kurhanek Maryli	22	Pierwiosnek	3
Ku różnym stronom... .	151	Pierwszy raz jam... . .	75
Lauro! Czyliż te piękne	69	Pieśń Filaretów	108
Lilje	42	Pieśń pielgrzyma	138
Ledwiem ciebie zobaczył	69	Pieśń żołnierza	120
Ledwie wnijdę... . . .	78	Płci piękna! Gdzie wiek	79
Lecz proszę się nie ważyć	95	Podróżni	151
Luba ja wzdycham... .	76	Poezjo, gdzie cudny... .	75

	Str.		Str.
Pójdźcie, o dziatki...	20	Spojrzyj. Marylo...	27
Póki córeczki...	144	Spojrzyj w przepaść...	90
Poklon Przeczystej...	127	Stary Budrys...	58
Polaly się lzy...	140	Stepy Akermzańskie...	83
Popas w Upicie...	181	Strzelec...	73
Porzuceni na świata...	152	Stwórco malowanych...	174
Potępi nas świętoszek...	71	Szum większy...	84
Powrót taty...	20	Śmierć pułkownika...	123
Pożeganie...	79	Śniła się zima...	190
Pragniesz miłym być...	78	Śród opok i jarów...	159
Precz z moich oczu!...	141	Świeci się pomnik mój...	157
Przed godzina...	178	Świtez...	6
Przed wichrami...	154	Świtezianka...	12
Przeszły dżdże wiosny...	98	Tak! Nigdy już...	107
Przyjaciele, wyrokiem...	153	Tam — czy Allah...	85
Przypomnienie...	60	Tam, u Niemnowej...	22
Pvtasz, za co Bóg...	134	Te rozkwitłe świeżo...	138
Qualis fugacem...	158	Te zamki, połamane...	91
Ranek i wieczór...	72	To lubię...	27
Raz Grzymała...	156	Toasty...	109
Reduta Ordona...	124	Triolet...	107
Renegat...	60	Trzech Budrysów...	58
Rezygnacja...	74	Tu z winnicy miłości...	87
Ręce, za lud walczące...	188	Tukaj...	35
Romantyczność...	4	Tyżeś to? I tak późno?	71
Rozchodzą się...	86	U stóp moich kraina...	89
Rozmowa...	145	Ucieczka...	61
Rozmowa wieczorna...	129	Upita, niegdyś...	181
Rozum i wiara...	130	W domu bił się...	155
Różnym losem rzuceni...	151	W głuchej puszczy...	123
Ruiny zamku w Bałakl...	91	W imionniku...	147
Rybka...	16	W imionniku Celiny Szy-	
Rzeźwia się wiatry...	88	manowskiej...	154
Samolub...	192	W imionniku Jana Wier-	
Samotności, do ciebie...	137	nikowskiego...	148
Sen...	142	W imionniku K. R...	151
Skąd mi tu żal...	184	W imionniku M. S...	148
Skróś ciemnoty...	176	W imionniku Salomei	
Słońce błyszczący...	72	Ecu...	148
Słowiczku mój, a leć...	157	W kraju wiosny...	86
Słuchaj dziewczeczko!...	4	W nieczulej...	132
Słuchaj, o majtku...	136	W sztambuchu Maryli...	148
Słychać że pud...	152	Warcaby...	161
Snuć miłość...	139	Widok gór ze stepów...	85
Sonety...	67	Widzenie...	188
Sonety krymskie...	81	Widzenie się w gaju...	71

	Str.		Str.
Wiersz do H. S. . . .	153	Z Tobą ja gadam... .	129
Wiersz do imionnika		Zaczyna się werbunek...	154
Ludwiki Mackiewi-		Zaloty	144
czównej	149	Zbrodnia to niesłychana	42
Wizyta pana Francisz-		Zdarto żagle...	84
ka Grzymały	157	Zdrajca	127
Widziałem, jak dzień...	73	Zima miejska	98
Wpłynąłem na suchego	83	Zmów pacierz...	90
Wpół jest żydem... . .	155	Żeglarz	132
Wypuszczam na wiatr...	87	Żeglarz	134
Z bramy więzienia... .	127	Żegluga	84
Z niebieskich najrańsza	3	Żegnaj mi, parnaski...	148
Z ogrodowej altany... .	57		
Z Petrarki	73		



KSIĘGARNIA

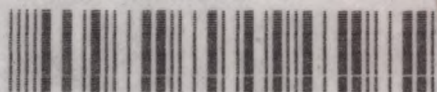
ANTYKWARIAT



Nr 939371 F

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

10454/I S



001-010454-01-0